


De II 1.

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE
NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1874.



Lipiec.

TOM III.—ZESZYT 7.

W A R S Z A W A.

Skład i Eksp. Główn. w Księg. GEBETHNERA i WOLFFA.

Ukończono druk dnia 1 Lipca 1874 roku.

T R E Ś Ć.

	stron.
I. PRZEMYSŁ KRAJOWY. Sprawozdania banków warszawskich z lat: 1871, 1872, 1873. Przez Aleksandra Oskierkę.	1
II. POWIEŚĆ. Brühl. Opowiadanie historyczne. Przez J. I. Kraszewskiego. Tom I. (Dalszy ciąg).	23
III. PODRÓŻE. Pierwszy rok pobytu w Ameryce. Przez Juliana Horaina.	64
IV. LITERATURA ZAGRANICZNA. Kronika zagraniczna, naukowa, literacka i artystyczna.	76
V. LITERATURA KRAJOWA. Przegląd prassy peryodycznej w Królestwie Polskiem. Rok 1873:	
Pisma Rolnicze Przez St. R.	109
Gazeta Rzemieślnicza.	113
Pisma Codzienne. Przez A. P.	115
Pisma Humorystyczne.	117
Kolce. Przez <i>ab.</i>	118
Kuryer Świąteczny.	120
Mucha. Przez <i>ab.</i>	121
Pisma Prowincjonalne.	121
I. Kuryer Lubelski.	122
II. Kaliszanin.	123
III. Tydzień. Przez Tadeusza Korzona.	123
Zamknięcie.	125
VI. PIŚMIENICTWO KRAJOWE I ZAGRANICZNE.	
J. Kościelski. Władysław Biały książę Gnicwkowski. Tragedya w 5-ciu aktach z prologiem. Poznań. Nakładem Żupańskiego, 1874. Stronnic 171 tekstu i 6 str. nut. Pieśń wojenna i śpiew Anny, muzyka St. Moniuszki. Przez Henryka Struve.	128
Pisma Kazimierza Brodzińskiego. Tom VII. Wydanie zupełnie poprawne i dopełnione z nieogłoszonych rękopismów staraniem J. I. Kraszewskiego. Poznań, 1874 (w 8-ce, str. 308 i VII). Przez W.	157
Lud. Jego zwyczaj, sposób życia, mowa, podania, przysłowia, obrzędy, gusła, zabawy, pieśni, muzyka i tańce, przedstawił Oskar Kolberg. Krakowskie. Część III (Kraków, w drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego 1874 r. w 8-ce, str. 350). Przez K. Wł. W.	160
Album F. Kostrzewskiego, wykonane w zakładzie artystyczno-litograficznym B. Sławoszewskiego (folio, kart 24) r. 1874. Przez R.	162
VII. KORRESPONDENCYA. Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej. Przez Zygmunta Glogera.	164
VIII. WIADOMOŚCI LITERACKIE.	165
Od redakcyi.	172

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE
NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1874.

— 5025.00 —

Tom trzeci.

W A R S Z A W A.

Skład i Eksp. Główna w Księg. GEBETHNERA i WOLFFA.

1874.



С. 2 II. 1

Доволено Цензурою.
Варшава 18 Июня 1874 года

SPRAWOZDANIA

BANKÓW WARSZAWSKICH

z lat 1871, 1872, 1873.

Ruch przemysłowo-handlowy od lat kilku zwiększa się u nas i rozwija. Literatura ciągle nawołuje publiczność na tę drogę; budzący się interes ku wszystkiemu co finansowe i przemysłowe, zdaje się kierować działalność większej liczby ludzi w tę samą stronę; coraz to wyraźniej objawiające się między młodzieżą upodobanie do specjalnego i technicznego wykształcenia, ułatwić może z czasem samą pracę przemysłową; kredyt rozwijający się i kształcący wśród nas szczególnie w Warszawie, otwiera szersze pole przemysłowości ludzkiej. Wszystko to zdaje się nam obiecywać w prędkiej przyszłości większy wzrost bogactwa w całym narodzie, podniesienie dobrobytu, łatwiejsze zatem szerzenie się oświaty i wykształcenia i stąpanie śmielszymi krokami po drodze cywilizacji.

Wszystkie te nadzieje zapewne mogą się ziścić i nie mamy do brój racy do powątpiewania w tój materji. Jednakże wchodząc na tę drogę przemysłowej czynności, na której miara i waga więcej niż gdzieindziej muszą być głównym regulatorem ruchu, my, ludzie z tradycyi już naszej mało szanujący miarę i wagę, powinniśmy jak najczęściej obliczać dokonane roboty, przeglądać drogę którąśmy przeszli i okiem przynajmniej mierzyć przestrzenie jakie nam do przebycia pozostają. Obliczenia takie przy niezmierném ubóstwie u nas statystycznego materiału, trudne bardzo dla publiczności; bo nie wiadomo zkądby dostać można elementów rachunku; jakieg wielkości przyjąć za podstawę obliczeń, jakimi siłami kapitału pracy i surowego materiału rozporządzać można w kraju w danym czasie. Dlatego to zdawało się nam ciekawem, a może i pożytecznem zgrupować kilka liczb ze sprawozdań Banków warszawskich; liczb te zarysowują jeden z kierunków, na który się zwracamy, przedstawiając jedną z gałęzi ekonomicznego ruchu tutejszego; a jeżeli wzrost ich świadczy o zwiększającej się na tём polu pracy, to uwagi nad nimi i myśli, jakie one w czytelnikach obudzić mogą, posłużą za przyczynekdo



wyjaśnienia ekonomicznych kwestyj i wskażą położenie jakie gospodarstwo kraju naszego zajmuje lub zająć powinno.

Nim przystąpimy do zestawienia cyfr wyjętych ze sprawozdań Banków warszawskich, musimy powtórzyć znajome już zapewne czytelnikom rzeczy, o głównych podstawach i o mechanizmie bankowych operacyj i postaramy się jaknajkrócej to przypomnieć, ale zdaje się nam to koniecznym dla dokładniejszego rzeczy przedstawienia.

I.

Czynność gospodarska czyli przemysł narodu dąży koniecznie do o władnięcia materją i wszystkimi temi siłami, które Stwórca w nią złożył, usiłuje obrócić je na pożytek ludzki, na podtrzymanie i rozwijanie w ludziach siły żywotnej, kształtującej najprzód sam organizm człowieka, a zatem siły jego fizyczne i duchowe. Odwieczne doświadczenie nauczyło ludzi, że podział pracy nieskończenie zwiększa jęj skutki czyli wydajność: i dlatego wśród społeczeństw, chociażby na niższym stopniu wykształcenia stojących, zajęcia specjalizują się, skutkiem czego każdy stara się robić coś jednego, a wyroby swęj pracy innym ludziom do spożycia oddawać, dostając od nich wzamian wyroby sobie potrzebne. Zamiana tych wszystkich wyrobów pomiędzy sobą stanowi *wymianę ogólną* czyli *obrót*, który im szybciej i łatwiej się dokonywa, tém lepiej wszyscy na tém wychodzą.

Prócz tego do obrobienia jakiegokolwiek bądź materiału człowiek potrzebuje narzędzi. Nie każdy posiada takie narzędzia, lub nabyć jest wstanie i w takim razie musi szukać kogoś, coby mu dostarczył środków nabycia tych narzędzi. Głównym warunkiem takiego dostarczania środków jest zaufanie, że człowiek korzystający z tego awansu, najprzód użyje go rzeczywiście na ułatwienie sobie pracy, czyli, jak zwykle mówią, użyje go produkcyjnie, a powtóre że awans ten akuratuie w oznaczonym czasie zwróci. Skoro te dwa warunki przedwstępne są pewne, inne dodatkowe t. j. sam termin zwrotu i wysokość wynagrodzenia za awans łatwo się dają ułożyć wedle bieżącej normy zysków. Ztąd wyrasta pojęcie kredytu czyli wierzzenia ludziom, iż spełnią ściśle wzięte na siebie zobowiązania.

W naszej publiczności samo pojęcie kredytu nie zdaje się być jeszcze dość jasnym i czystym. Jak wszystkie narody, początkując w zawodzie przemysłu i handlu, wiążemy zawsze z kredytem pojęcie zastawu nieruchomości. Chociaż zabezpieczenie kredytu zastawem jest rzeczą ze wszechmiar słuszną i naturalną, niemniej jednak tam, gdzie się kredyt lepiej wykształcił, miejsce zastawu w wielu razach zastępuje sama osoba przemysłowca. Nie odrazu jednak do tego się dochodzi i nie odrazu publiczność przywyknie do kredytu osobistego, opierającego się na działalności ludzkiej. Bo pierwój wśród tęj publiczności musi się wyrobić znaczna masa ludzi pracujących pro-

dukcynie, żądających i używających kredytu tylko w celu przysporzenia bogactwa, wytworzenia nowych wartości.

Wśród dawniejszego społecznego porządku, który już dzisiaj nazywamy starym, właściciel ziemski jeden posiadał znaczenie i wpływ w towarzystwie, to też stanowisko to jego dawało mu kredyt, czyli ufano mu, iż powierzone sobie summy i wartości zwróci w każdym czasie. Nieraz właściciel ziemski nadużył tego zaufania, często i mimowolnie zupełnie, tak samo jak i dzisiaj zdarzają się bankructwa firm uczciwych. Za czasów dawniejszych używanie kapitałów produkcyjne, t. j. obracanie ich na wytworzenie nowego bogactwa bywało rzeczą rzadką, a właścicielom ziemskim prawie niedostępną. Pojęcia o obowiązkach zwłaszcza publicznych, co do formy swęj były odmienne od dzisiejszych; pojęcia o obowiązkach stanu i osoby nawet, różniły się też znacznie. To też wielkie summy zlokowane u właścicieli ziemskich szły na użytek publiczny lub prywatny, a kiedy po wojnach lub przewrotach politycznych przychodziło do likwidacyi t. j. do obliczenia wartości własnych i cudzych przez się zużytych, pokazało się nieraz, że to, co jest, nie wystarcza na opłacenie tego, co wzięto. Przy takiej ogólnej kraju pozycyi uciekano się do ratunku za pośrednictwem Towarzystw kredytowych ziemskich, które, wiążąc wszystkich właścicieli kraju lub prowincyi solidarną odpowiedzialnością, za długi ich wszystkich, przywracały zaufanie i dawały możność częstkowemi wypłatami uiścić się z należności.

Kredyt handlowy nie odrazu też odważył się obchodzić bez zastawu. Pierwotne banki przyjmowały w depozyt drogą metale lub metalowe pieniądze wedle ich rzeczywistej wartości i na te depozyta otwierały kredyty swoim klientom, czyli poprostu załatwiały ich rozrachunki. Dzisiaj jeszcze figurujące w sprawozdaniach bankowych rachunki *kredytów otwartych*, są zupełnie tém samem, z tą tylko różnicą, że przy dzisiejszym ogromnym rozwoju kredytu państwowego i wielkich przedsięwzięciach przemysłowych, nikt już prawie z prywatnych ludzi nie składa w bankach na depozyt monety lub metala, a miejsce ich zastąpiły papiery publiczne i akcje.

Wyższym stopniem wykształcenia kredytu handlowego jest kredyt wekslowy, w sprawozdaniach bankowych oznaczony pod rachunkiem *skupu weksli*. Weksel jest to znak wymiany, obrotu handlowego, znak czynności przemysłowej, reprezentujący zawsze jakąś robotę produkcyjną. Każdemu wiadomo, że handel bez kredytu obejść się nie może. Jakoż jeżeli pomyślimy o wszystkich formach i kształtach przez które przejść musi cząstka materji, ażeby ze stanu swego naturalnego dostać się do rąk spożywczy jako wyrób zdalny do spożycia; jeżeli pomyślimy, że te kilka a czasem kilkanaście i więcej przerabiań i przemieszczań, które ona przechodzić musi, dokonywają się każde przez kogo innego, prawie każde, na innem miejscu: łatwo zrozumiemy, że gdy wyrób przy każdym przejściu z rąk do rąk musiał być opłacony gotowym już kapitałem, nigdyby ludzie

do podobnych zasobów nie doszli i nigdyby cała ta manipulacja nie była możliwą. Nietylko u nas w kraju nie bogatym nie moglibyśmy opłacić gotówką wszystkich tych przejść, ale i w najbogatszych krajach byłoby to rzeczą niemożliwą, ponieważ bogactwo jednocześnie z przemysłem wzrasta, im kraj bogatszy, tem większemi i częstszemi są obroty i dlatego zapas kapitału nigdy na opłacenie ich nie wystarcza. To też ludzie znajdując się w konieczności ufać sobie nawzajem i zamiast opłaty za swe wyroby przyjmować obietnicę tej opłaty po pewnym czasie, kiedy mniej więcej już sam nabywca coś do nabytego materiału przyczyni i puści go dalej w obrót. W praktyce handlu i przemysłu rzeczy się w ten sposób dzieją. Fabrykant nabywa surowy materiał i wydaje za to weksel, że w pewnym oznaczonym terminie pewną zaś sumę zapłaci. Tenże fabrykant sprzedaje swój wyrób hurtownikowi i bierze od niego weksel na inny termin, hurtownik przewozi go na miejsce zbytu i ustępuje właściwemu kupcowi trudniącemu się sprzedażą detaliczną i znowu bierze weksel na pewny termin. Kupiec zaś sprzedaje już spożywcom i spożywcy, płacąc za wyroby czyli towary, opłacają wszystkie te weksle. Dodajmy tutaj dla objaśnienia więcej szczegółowego, że nie koniecznie w każdym z wyżej wspomnianych wypadków ma być wystawiony weksel szczególnie; a że zbywający swój wyrób mając należność u fabrykanta czy kupca, nabywa prawa wystawienia na niego wekslu, t. j. zobowiązania go do wypłaty należnych mu pieniędzy we właściwym terminie nie sobie samemu, a innej jakiej osobie.

Pamiętać przytém należy, że każde przejście z rąk do rąk wyrobu lub materiału nie jest bynajmniej samowolnym lub bezcelowym przemieszczaniem go albo przekształcaniem, a każde owszem ma na celu zrobić przedmiot ten do użycia dogodniejszym, lepszym lub też zbliżyć go do spożywcy, a zatem każde dodaje jakąś wartość przedmiotowi i każde jest produkcyjnym. Ztąd już zrozumieć można, że jeżeli kredyt w przemyśle i obrotach handlowych jest koniecznym, niemniej koniecznym jego warunkiem jest akuratność, punktualność nawet pomiędzy ludźmi kredytu używającymi; bo jak wszystkie te rachunki wiążą się ze sobą i jeden drugiemu za podstawę służą, tak nieogłędność lub niesumienność jednego człowieka, wprowadza w rachunki wszystkich nieporządek, zamieszanie i płacze ich interesa.

Spożywca ostatecznie, nabywając wyrób dla spożycia i płacąc zań, zamyka ten cały rachunek, a opłacone przez niego pieniądze, wynagradzają wszystkich, którzy w wytworzeniu wyrobu brali udział i idą na spłatę całego szeregu weksli jeden za drugim wystawionych. Tutaj nawiasowo wspomnieć musimy, jak źle robią ci nieogłędni spożywcy, którzy więcej rzeczy nabywają, aniżeli opłacić mogą, u których rachunki kupców długu na opłatę czekają. Odsyłanie kupców z nieuregulowanym rachunkiem, tak często wśród światowego życia praktykowane i w opinii publicznej wcale za złe nieuważane, niczem innym nie jest, jak nieopłaceniem długu w terminie przy-

rzeczonym, niewywiązaniem się z danego słowa, niby cząstkowém bankructwem, jak robak toczącym cały przemysł i handel krajowy.

Gdyby wszyscy, biorący udział w wytworzeniu wyrobu, musieli czekać dla ostatecznego rozrachunku aż spożywca za wyrób zapłaci i wtedy tylko do nich kolejno pieniądze dochodziły, żaden z nich nie mógłby przemysłu swego rozwinąć na szerszą skalę, bo prędko zabrakłoby mu środków na rozchody bieżące, na opłatę robotników, na nabycie i podtrzymanie narzędzi. Przymtem jeszcze natura ludzka ma tę właściwość, że skoro raz człowiek na seryo pracować zacznie, stara się pracować coraz więcej, bo w miarę użycia sił swoich, czuje, że one na więcej wystarczą, a myśl płodna rodzi coraz to nowe plany i projekta lepszego zastosowania pracy; dlatego każdy przemysłowiec ciągle do tego dąży, żeby swój przemysł powiększyć i rozszerzyć. Nie może więc czekać długo, aż do niego wrócą wartości, które odprzedał, ale musi zaraz szukać kogós, coby za tę wartość, którą wyobraza weksel, dostarczył gotówki, ażeby mógł jej użyć na bieżące potrzeby swego przedsiębiorstwa.

Poszukiwania takie bezpośrednie dla przemysłowca, jak dla kupca, byłyby bardzo trudne i uciążliwe, wiele czasu i zachodów wymagające. Tutaj poczyna się rola bankiera, czy banku. Potrzebujący gotówki przemysłowiec udaje się do banku i żąda tam gotówki, ofiarując jako zakład pewnej wypłaty weksel, który od kupca otrzymał; podpisuje go sam na znak, że w razie niewypłacalności jego, sam zaręcza wypłatę mieniem i osobą swoją. Bank przyjmuje ten weksel do swego portfela i wydaje odpowiednią ilość gotówki, odliczając sobie pewien procent za czas, który do terminu wypłaty weksłu ma jeszcze upłynąć. Bankier nadpłacający w ten sposób weksle, pobierający procenta, chcąc rozszerzyć czynność swoją, często potrzebuje odprzedawać weksle, które ma swym portfelu i udaje się z tém do jeszcze zamożniejszych bankierów lub do banków publicznych z większym zwykle kapitałem operacye swe prowadzących. Wtedy kładzie on na wekslu swój podpis, również poręczający wypłatę i weksel taki, opatrzony trzema podpisami, przez to samo już znacznie pewniejszy, jeszcze łatwiej sprzedanym czyli negocyowanym być może. Skupowanie takie weksli i pobieranie odsetków za awansowaną gotówkę, daje bankierom i bankom zyski pewne i dość znaczne; ażeby dochody te czy zyski powiększyć, bank potrzebuje mieć w swém rozporządzeniu więcej gotówki. Bankier prywatny może mieć kredyt obszerny, mogą u niego rozmaite osoby lokować swoje fundusze, i wtedy może on interesu swoje rozwinąć na szeroką skalę. Jednakże bank z kapitałem akcyjnym, jako instytucya już publiczna, ogłaszająca sprawozdania swych czynności, zwykle ze znacznym kapitałem zakładana, może odrazu mieć kredyt obszerniejszy i zająć się jakby wyrabianiem czyli fabrykacją kredytu w większych rozmiarach. Udaje się do publiczności w ogóle, ogłaszając iż gotów jest przyjmować od każdego pieniądze do przechowania, że zwracać tako-

we będzie na każde zapotrzebowanie, lub w kilkodniowym po zapotrzebowaniu terminie, i ofiaruję za to pewien procent od siebie. Ponieważ bank taki ma swoje znaczne kapitały, zawsze odpowiedzialne za jego zobowiązania; ponieważ kapitały te w stosunku do summ składanych przez każdą pojedynczą osobę są bardzo wielkie; każdy z zaufaniem doń się udaje uznając dla siebie dogodnym, że pieniądze których obecnie nie potrzebuje ani na przedsiębiorstwo, ani też na bieżące rozchody, będą złożone w miejscu pewnym, i za to jeszcze przyniosą procent, to jest dochód.

Ztąd powstają *rachunki przekazowe* banków, dostarczające im wielką ilość gotówki, wprawdzie na krótkie terminy, ale zawsze pozwalające używać ich na skupowanie weksli także krótkoterminowych. Doświadczenie i rozum zarządzających bankiem z łatwością potrafią wynaléźć i oznaczyć praktyczny stosunek pomiędzy summami lokowanymi u nich na rachunki przekazowe, a ilością podnoszoną z tychże rachunków gotówki. Ztąd też z pewnością wiedzieć mogą ile każdego czasu mogą użyć gotówki na skupowanie weksli. Różnica pomiędzy procentem, jaki płacą a tym, który pobierają, stanowi dla banku zysk pewny i dość znaczny.

Zatém bank korzysta z zaufania publicznego, zlokowanych u siebie pieniędzy stara się użyć najkorzystniej dla siebie, umieszcza je nadpłacając weksle pewne, które odzyskałby mógł z łatwością, i przeto być zawsze w możności zwrócić na zapotrzebowanie zlokowane u siebie pieniądze. Procent zaś od skupu czyli eskonto pobiera wedle bieżącej ceny, ustanawiającej się znowu ogólną summą obrotów, i ogólną normą zysków danego rynku. Używając tój gotówki przez publiczność sobie powierzonej na skupowanie weksli, robi tém ogromną dogodność handlowi i przemysłowi, bo ułatwia mu dostanie pieniędzy na każde zapotrzebowanie. Dla dokładniejszego tój rzeczy wyjaśnienia przytoczamy przykład. Pan Piotr, właściciel ziemski sprzedał pszenicę i wziął zadatku rs. 600, z tych 300 złożył w banku na rachunek przekazowy za siedmiodniowém wypowiedzeniem, za co mu bank płaci 5% w stosunku rocznym. Bank za te pieniądze kupił nazajutrz weksel od fabrykanta mydła, fabrykant użył pieniędzy na opłacenie robotników, robotnicy wypłacili je piekarzowi za zabraną u niego chleb, piekarz oddał je właścicielowi młyna za zabraną mąkę; młynarz nie potrzebując obecnie tych pieniędzy złożył je znowu do banku na rachunek przekazowy, zkąd albo pan Piotr mógł je odebrać napowrót, albo jeżeli ich nie potrzebował jeszcze, posłużyły one znowu do nadpłacenia wekslu i rozpoczęły nową seryą podobnych operacyj. Na każdej z tych operacyj, każdy coś skorzystał, bo przy każdej z nich pieniądze te były użyte produkcyjnie, każde z tych przejść oznaczało pewien przyrost bogactwa ogólnego w kraju. P. Piotr składając swe pieniądze w banku, chociaż sam nie produkował, ułatwił jednak trzy razy produkcją innym. Bank wystąpił tutaj jako pośrednik dogodny dla p. Piotra, bo mu pieniądze w cało-

ści przechował i za to jeszcze zapłacił; bank sam skorzystał, bo, kupując weksel od fabrykanta, wziął od niego nieco więcej niżeli to, co dał p. Piotrowi; skorzystał fabrykant który dostał za weksel w banku pieniędzy taniej aniżeli by ich mógł dostać gdzieindziej; skorzystali robotnicy którzy, w porę zapłatę swą odebrawszy, w porę też mogli opłacić piekarza i przez to zapewnić sobie u niego nadal dostarczenie chleba na dogodniejszych warunkach; skorzystał piekarz, bo opłacając należność właścicielowi młyna, może przed terminem mógł od niego uzyskać ustępstwo, a jeżeli i w terminie, to mógł sobie nadal kredyt na lepszych warunkach wyjednać.

Powię kto może: zwyczajny to przykład przez teoretyków przytaczany, lecz grzeszy przesadą, bo i cóż te 300 rubli tak ważnego zrobić mogły; zresztą gdyby p. Piotr ich nie złożył w banku, znalazłyby się tam inną jaką drogą. Odpowiemy na to: być może żeby się znalazły, lecz w każdym razie to „być może“ nie jest pewnością, a jeżeli by nie były tam złożone, w kassie bankowej byłoby o 300 rubli mniej; co wszystkich tych, którym one pracę i rozrachunki ułatwiły, naraziłoby na kłopoty szukania pieniędzy, i na mniej dogodne warunki przy ich dostaniu. Nie twierdzimy też bynajmniej, aby podobne składanie pieniędzy w bankach, a nawet same bankowe operacje skupowania weksłów były jedynym a nawet głównym źródłem tworzenia się bogactwa; tylko wskazać chcemy, o ile one ludziom pracę wytwórczą ułatwić są w stanie. A o cóż chodzi przy całej pracy ludzkiej jeżeli nie o ułatwienie? Lepiej jeździć po drodze gładkiej, niżeli po drodze w doły obfitój i kamieniami zasypanej, temu nikt pewno nie zaprzeczy, a kredyt lepiej ułatwia komunikacje i stosunki pomiędzy ludźmi, i staje się jednym z przyczyn ulżenia ciężaru pracy i udugodnienia życia. Podobne ulepszenia, podobne równanie dróg i usuwanie zawał stanowi właśnie całą podstawę ekonomicznego rozwoju. Zresztą przytoczyliśmy tu przykład 300 rubli, umyślnie w tak małej cyfrze, dla wykazania że i małe cyfry mogą grać ważną rolę w udogodnieniu stosunków ludzkich. Przykład ten nikomuby się nie zdawał przesadzonym, gdybyśmy zamiast 300, wzięli 300,000 rubli. A jednak rachunki przekazowe znacznie i te cyfry przewyższają, chociaż składają się z summ nie wielkich, każda oddzielnie do kogo innego należących.

Bank każdy, prowadząc umiejętnie operacje swoje, będzie miał zasługi względem akcyonaryuszów dając im wysokie dywidendy; względem przemysłu i handlu krajowego, dostarczając im kredytu na warunkach przystępnych i dogodnych; względem publiczności w ogóle, będąc wiernym stróżem powierzonych sobie kapitałów, i nie używając ich lekkomyślnie na hazardowne chociażby widoki znacznych zysków dające spekulację; zasługi nakoniec względem kraju czyli zasługi publiczne, niosąc pomoc tym właśnie gałęziom przemysłu, tym przedsiębiorstwom lub operacyom handlowym, które w obecnej chwili dla kraju są najpotrzebniejsze. Nie każdy bank zapewne jest instytucją

dość potężną, aby aż do zasług publicznych mógł sięgnąć, bo na to trzeba rozporządzać bardzo znacznym kapitałem, i być niejako regulatorem interesów t. j. mieć możność dowolnie ścieśniać lub pobudzać obrót interesów. Lecz każdy bank może mieć zasługi względem publiczności, handlu i przemysłu, a przedewszystkiēm względem akcyonaryuszów. Każdy tēż jeżeli nie stanowczo, to pośrednio, odpowiednio do sił swoich, czyli odpowiednio do swego kapitału, może wpłynąć na kierunek interesów, zapomagać jedne przed drugimi, i na korzystniejsze lub mniej korzystne drogi kierować przemysłność i działalność ludzi.

Naturalnym rzeczy porządkiem zarząd każdego banku najpierw dbać musi o zasługi względem akcyonaryuszów, t. j. o wysokie dywidendy; że zaś one łatwo się osiągnąć dają drogą spekulacji, która zwykle czas jakiś się udaje, tutaj więc leży prawdziwe niebezpieczeństwo i najsilniejsza pokusa ciągnąca w otchłań.

Spekulacja—to bystre i prędkie obliczenie naprzd szans zysków i strat, które przedsiębiorstwo jakiegokolwiek w przyszłości przedstawia. Tam gdzie człowiek z interesami nie oznajmiony, ani ruchu ich nie świadomy nic jeszcze nie widzi, waha się, czy ma zapracowany grosz włożyć w projektowane przedsiębiorstwo; tam spekulant bystro oblicza wszystkie szanse powodzenia i staje jako przedsiębiorca, lub opiekun przedsiębiorstwa, jako założyciel; a skoro na wiarę słów i uczynków jego, bo on pierwszy na akcye się zapisał, publiczność za nim pociągnie, on na żądanie odstępuje jēj podpisane przez siebie akcye, ale za wyższą już cenę: zarabia na tēm zysk, dochodzący często do summ ogromnych. Otóż taki spekulant, rozumny i sumienny, nie lada usługi oddawać może, bo przemysłowi toruje drogę do kapitału. Lecz skoro sam zacznie działać ze złą wiarą, lub skoro zaufany w swe powodzenie, zbyt śmiało zacznie się puszczać na nieznanie sobie samemu ścieżki, staje się powodem zguby wielu ludzi i nazywany będzie oszustem. Banki akcyjne i ich zarządy nie łatwo na tak hazardowną wejść drogą to pewne; ale spekulacja oprócz założycielstwa wiele ma innych pokus mamiących, pomiędzy nimi tēż jedno z ważniejszych miejsce zajmuje gra na papiery publiczne. Handel papierami prawy, prawny, bezpieczny skoro we właściwych trzyma się granicach, przechodząc w tak zwaną grę giełdową, staje się często źródłem zysków, ale tēż częściej strat wielkich; a w każdym razie zajęciem nie produkcyjnym, rodzajem zabawy chociażby i zyskownej dla pewnych osób, ale kosztownej dla publiczności w ogóle, bo odwracającj kapitały od zajęć prawdziwie produkcyjnych i prawidłowe normalne życie ekonomiczne narodu zamieniającj na gorączkowe paroksyzmy spekulacyj ciągnące ze sobą zastój i jakby otrętwienie.

Przypatrzwszy się teraz mechanizmowi głównej operacji bankowej, rozpatrzmy o ile banki warszawskie w ciągu lat ostatnich operacye te rozwinęły, t. j. o ile były one dla obrotu użyteczne.

II.

Bank polski założony w roku 1828, w epoce, kiedy przemysł fabryczny zaczynał rodzić się w Królestwie Polskiem, i zakłady przemysłowe wspólnemi usiłowaniami rządu i prywatnych przedsiębiorców zaczynały u nas na nowo powstawać, przez lat górną czterdzieści samotnie rozwijał czynność swoją. Kapitał jego zakładowy wynoszący z początku $4\frac{1}{2}$ mil. rs., zwiększony został w następstwie czasu do 8 milionów rubli, miał prawo emisji biletów swoich do 10 mil.; zajmował się operacyami kredytu państwowego, spłacaniem obligów skarbowych; czynności te jego wedle ścisłych przepisów prawa wykonywane, mało publiczność obchodziły. W stosunku swoim do gospodarskiego ruchu w kraju, bank polski otwierał kredyty zabezpieczone papierami publicznymi lub hypoteką; zajmował się skupowaniem weksli, wydawał pożyczki zabezpieczone zastawami, dawał zaliczki na towary i produkta rolnictwa, w składach jego zlokowane; wydawał też pożyczki na hypotekę majątków ziemskich i zakładów przemysłowych; oprócz tego dawniej sam budował lub zakładał na nowo całe fabryki. Przejścia te jego niezmiernie ciekawą złożyłyby historię, gdyby kto dostatecznie obeznany ze źródłami zechciał zająć się opisaniem całego przebiegu czynności banku polskiego, od założenia jego aż do naszych czasów; kiedy w ostatnich latach przekształcać się zaczął na bank czysto handlowy, ścieśniając i zwiżając wszystkie inne operacye, a głównie zajmując się otwieraniem kredytów, skupowaniem weksli i udzielaniem pożyczek krótkoterminowych. Podobne studyum historyczno-ekonomiczne byłoby niemal historią przemysłowego rozwoju w kraju naszym i o wiele więćjby nas nauczyło, aniżeli rezonowania na wątpliwych teoriach oparte. Nim się jednak takiej historyi doczekamy, przytoczyć tutaj możemy tylko kilka liczb z lat ostatnich, w których bank polski sam jeszcze tylko udzielał na szerszą skalę kredytu przemysłowi i handlowi, a cyfry te wykażą nam w jakim stopniu rozwoju kredytu w Warszawie i w całym Królestwie, zaczęły funkcjonować nowo założone w ostatnich latach banki.

I tak w roku 1869 bank polski wydał rozmaitym domom handlowym:

Na otwarte kredyty.	rs. 36,902,000
Skupił weksli:	
„ krajowych na 14,681,000	
„ zagranicz. „ 3,219,000	„ 17,900,000
Pożyczki na zastaw towarów i produk-	
tów rolnych.	„ 1,025,000
Wydął pożyczek fabrykom	„ 161,000
„ „ na maszyny rolnicze	
i bydło.	„ 130,000
	<hr/>
	Razem rs. 56,118,000

W roku 1870 wydał:

Na otwarte kredyty.	rs. 35,229,000
Skupił weksli:	
„ krajowych na 13,035,000	
„ zagranicz. „ 4,657,000 . . .	„ 17,692,000
Pożyczył na zastaw papier. publicznych.	„ 4,657,000
„ „ „ towar. i prod. rol.	„ 1,170,000
„ fabrykom.	„ 93,000
„ na maszyny rolnicze i bydło. .	„ 111,000
	<hr/>
	Razem rs. 58,952,000

Dwie te summy 56 i prawie 59 milionów przedstawiają nam całość środków, jakie handel, przemysł i w części rolnictwo w ciągu tych dwóch lat mogły zaczerpnąć w kredycie.

Już w ciągu 1870 roku, a mianowicie dnia 15 lipca otworzono pierwszy bank akcyjny pod firmą: Bank handlowy w Warszawie, operacje jego od dnia tego rozpoczęte musiały być w początkach mało znaczące, zresztą rezultata ich są ogłoszone w piéwszém sprawozdaniu obejmującym razem cały peryod od 15 lipca 1870 r. do 31 grudnia 1871 r.; i dlatego przez nas w cyfrach 1871 roku zamieszczone będą. Kapitał banku handlowego wynosić miał 3 mil. rs., z których na początek wpłacono tylko 1 milion; drugie 2 miliony wpłacono w ciągu roku 1871, a w roku 1873 kapitał zwiększony jeszcze o 2,400,000 nadpłata, po 100 rubli na 24,000 nowych akcji, które obecnie zredukowane być mają do 12,000 akcji, tak, że kapitał został ostatecznie ustanowiony na 6 milionów rubli.

W roku 1871 dnia 1 października otworzony został Bank dyskontowy z kapitałem 2 miliony rubli, z których 1,200,000 r. wpłacono w roku 1862, a 800,000 dnia 31 maja 1872.

Oba te banki występują w charakterze banków czysto handlowych, główne ich operacje, to skup weksli z dwoma podpisami, lub też sola weksli (t. j. z jednym podpisem) zabezpieczonych odpowiednią hipoteką; wydawanie pożyczek na zastaw papierów publicznych lub towarów, oraz przyjmowanie w komis na sprzedaż wyrobów fabryk lub produktów rolnictwa; przyjmowanie pieniędzy t. j. gotówki na lokatę lub na rachunki przekazowe, przyjmowanie w depozyt wszelkich wartości. Obok tego kupują one i sprzedają papiery publiczne i mają prawo na weksle zabezpieczone hipoteką wydawać jako pożyczkę zamiast gotówki obligacje swoje.

W ciągu roku 1872 dnia 9 kwietnia rozpoczęło swe czynności Warszawskie Towarzystwo Wzajemnego kredytu; zakres jego działalności jest o wiele ciaśniejszy od dwóch uprzednio otwartych banków akcyjnych. Towarzystwo może udzielać kredytu, t. j. skupować weksle i wydawać pożyczki zabezpieczone papierami publicznymi, czy zastawem towarów, tylko członkom swoim. Każdy z członków składa dziesiątą część summy na jaką ma prawo żądać kredytu,

jeżeli zaś nie zajmuje się handlowemi interesami, kredyt swój musi zabezpieczyć hipotecznie; złożone przez członków pieniądze stanowią kapitał obrotowy Towarzystwa. Każdy z członków odpowiedzialnym jest za zobowiązania Towarzystwa na sumę taką, na jaką ma prawo żądać kredytu, t. j. o dziesięć razy większą, aniżeli ta, którą złożył. Najmniejszy udzielany kredyt jest oznaczony na 100 rubli, największy obecnie przez radę ustanowiony 30,000 rubli. Towarzystwo wzajemnego kredytu nie może dowolnie rozwijać operacyj swoich, nie może kupować i sprzedawać papierów publicznych, musi ograniczać się do skupu weksli swoich członków, i to w oznaczonej dla każdego z nich normie. To téż i stosunek zarządu Towarzystwa do członków jest inny, aniżeli stosunek zarządu banku akcyjnego do akcjonaryuszów. Kiedy tym ostatnim chodzi głównie o dywidendę, członkom Towarzystwa chodzi głównie o to, aby zawsze na zapotrzebowanie mieli kredyt nie drogi, aby weksle ich w kasie Towarzystwa nadpłacone były. Kupcowi lub przemysłowcowi, który złożył jeden a chociażby i trzy tysiące rubli w Towarzystwie, nie wiele chodzi o to, żeby i 20% od téj sumy jako dywidendę otrzymać; ważniejsza dla niego, aby zawsze na zapotrzebowanie mógł do 10 lub 30 tysięcy w kasie Towarzystwa zaczerpnąć. Jakkolwiek zarząd ma prawo odmówić przyjęcia weksłu, nikomu z tego nie zając rachunku, jednakże odmowy takie bez dostatecznych powodów robione być nie mogą. Z drugiej znowu strony pewność lokaty i nadzieja wysokiej dywidendy przyciągać mogą na członków właścicieli drobnych kapitałów, którzy kredytu wszelkiego się wyrzekają, a z natury swojej ostrożni, do tak obwarowanej instytucji kredytowej, chętniej przyniosą swe kapitałiki, aniżeli do banków na szerszą skalę działających, a zatem i na możebność strat więcej narażonych. Dlatego zarząd, nie tracąc z oka dywidendy, musi przedewszystkiém starać się o to, aby miał ciągle dostateczną ilość gotówki w kasie, ażeby słusznym wymaganiom kredytu mógł zadość uczynić. Przyznać należy, że administracya Towarzystwa godnie odpowiada zaufaniu członków, i umie zjednać zaufanie publiczności. Rozpoczynając swe czynności 9 kwietnia 1872 roku ze 176 członkami i kapitałem obrotowym 98,420 rubli, w ciągu dziewięciu miesięcy do 31 grudnia 1872 r., Towarzystwo liczyło już 941 członków i kapitał obrotowy wynosił 352,000 rubli; w tymże czasie na lokatę i na rachunki przekazowe przyjęto 2,792,000 rubli, i udzielono kredytów pod rozmaitemi nazwaniami na 3,036,000 rubli. Z końcem zaś roku 1873 członków było 1581, a kapitał obrotowy wynosił 602,000; złożono w kasie Towarzystwa w ciągu tego roku 5,706,000 i udzielono kredytów na 7.501,000.

Trzy te nowe instytucje kredytowe znacznie bardzo przyczyniły się do nadania popędu przemysłowi i handlowi, najprzód przeto, iż otwierając dla publiczności rachunki przekazowe, zaczęły ją przyzwyczajając do składania w kassach swoich gotówki, która dotąd po prywatnych biurkach lub szkatułkach, ze nie powiem kassach, bez

użytku leżała; a otworzywszy sobie w ten sposób środki obfitsze, śmieliej też mogły przystąpić do udzielania kredytu firmom czy przedsiębiorcom drugorzędnym, którzy dawniej do banku polskiego po kredyt zgłaszać się nie śmieli, a musieli go szukać na drogach prywatnych. Przytém bank polski mając tuż koło siebie współzawodnictwo poważnych instytucyj, naturalnym rzeczy porządkiem poniosł dobrodziejstwa kredytu w inne okolice kraju, zakładając kantory i wydziały swoje w Łodzi, Włocławku, Lublinie, Kaliszu, Płocku, Częstochowie i Radomiu; tak że już nie jedna Warszawa, ale i znaczniejsze miasta nasze, mogą się posługiwać kredytem w normalniejszych niż dotąd warunkach.

W ustawach wszystkich tych banków widzimy, że są przyjmowane weksle hipotecznie zabezpieczone; właściwość to kraju naszego, który tak jeszcze przeważnie rolnictwem się zajmuje, że instytucje w celach czysto handlowego kredytu formowane, nie mają możności odmówić zupełnie kredytu rolnictwu; dlatego każda z nich zastrzegła sobie prawo udzielania go na zabezpieczenie hipoteczne i każda też zajmuje się chociażby potrosze sprzedażą produktów rolnych. Tak też być musi koniecznie, gdzie ludność, zajmująca się wyłącznie przemysłem tak jest jeszcze małoliczna, że zaledwo 1% całej ludności stanowi, a cała produkcja fabryczna licząc w to gorzelnictwo, ledwo sześćdziesiąt kilka milionów rubli wynosi, handel zaś zewnętrzny tak jeszcze mało rozwinięty, że i śladów jego w żadnych cyfrach statystycznych doszukać się nie można. Jeszcze więc braknie elementów do doskonalszego wyspecjalizowania rozmaitych gatunków kredytu; chociaż po banku polskim, jako wielkim regulatorze obrotów kraju całego, mamy banki handlowy i dyskontowy, z klientelą mniej zapewne okazałą, jednakże zawsze poważnych jeszcze rozmiarów, Towarzystwo wzajemnego kredytu, udzielające już członkom swoim kredytów storublowych, a zatem zstępujące pomiędzy drobniejszy handel i przemysłowców mniejszej ręki, a dalej jeszcze zatem kasę przemysłowców, kilka towarzystw zaliczkowo-wkładowych, tak że mamy zawiązki wszelkiego rodzaju kredytu, ale jeszcze do prawdziwego ich udoskonalenia bardzo daleko, bo też ruch przemysłowy a bodaj i handlowy dopiero zaczyna się rodzić i rozwijać, i w przyszłości dopiero, kiedy już nabierze siły i znaczenia, możemy się spodziewać doskonalszej organizacji instytucyj kredytowych.

Oto cyfry wyrażające operacye banków warszawskich w ostatnich latach. Już w roku 1871 summy wypożyczone handlowi i przemysłowi znacznie się zwiększają, co znaczy, że przedsiębiorstwa się mnożą lub silniej rozwijają. W sprawozdaniach za ten rok 1871 znajdujemy liczby następane:

<i>Skupiono weksli:</i>		<i>krajow.</i>	<i>zagranicz.</i>
W banku	polskim na rs.	15,818,000	4,870,000
" "	handlow. " "	5,326,000	5,359,000 ¹⁾ .
" "	dyskont. " "	804,000	800,000
Razem		21,948,000	11,029,000 32,977,000

Wydano na otwarte kredyty.

W banku	polskim rs.	36,631,000	
" "	handlow. " "	5,936,000	42,567,000

Wydano pożyczek: na zastaw papierów publicznych.

W banku	polskim rs.	1,758,000	
" "	handlow. " "	1,538,000	
" "	dyskont. " "	388,000	3,684,000

Na zastaw towarów.

W banku	polskim rs.	1,256,000	
" "	handlow. " "	698,000	
" "	dyskont. " "	46,000	2,000,000

Razem 81,228,000

W ciągu tegoż roku zlokowano we wszystkich bankach summy następujące:

Oddano na lokatę:

Do banku	polskiego . . rs.	303,000	
" "	handlowego . .	1,903,000	
" "	dyskontowego . .	3,000	1,209,000

Złożono na rachunki przekazowe.

W banku	polskim . . rs.	4,551,000	
" "	handlowym . .	16,752,000	
" "	dyskontowym . .	1,424,000	22,727,000

Razem 23,936,000

Ogólne cyfry kredytów udzielonych w roku 1872 są następujące:

<i>Skupiono weksli:</i>		<i>krajow.</i>	<i>zagranicz.</i>
W banku	polskim na rs.	20,013,000	5,451,000
" "	handlow. " "	6,286,000	7,305,000
" "	dyskont. " "	5,458,000	3,609,000
" Tow. wzajem. kr.	" "	2,884,000	—
Razem		34,641,000	16,365,000 51,006,000

¹⁾ Operacje banku handlowego w tym roku pokazane są za czas od 15 lipca 1870 r., do 31 grudnia 1871 r. t. j. za 17 1/2 miesięcy. Operacje zaś banku dyskontowego za dwa tylko miesiące: październik i grudzień 1871 r.

Otwarte kredyty.

W banku polskim	rs.	42,266,000	
„ „ handlowym		2,969,000	45.235,000

Pożyczki:

1) *Na zastaw papierów publicznych.*

W banku polskim	rs.	1,376,000	
„ „ handlowym		1,586,000	
„ „ dyskontowym		1,912,000	
„ Tow. wzajem. kredytu		82,000	4,956,000

2) *Na zastaw towarów.*

W banku polskim	rs.	1,382,000	
„ „ handlowym		2,183,000	
„ „ dyskontowym		788,000	
„ Tow. wzajem. kredytu		69,000	4,422,000

 Razem 105,619,000

W ciągu roku 1872 zlokowano we wszystkich bankach:

Oddano na lokatę.

Do banku polskiego.	rs.	14,000	
„ „ handlowego		5,618,000	
„ „ dyskontowego		837,000	
„ Tow. wzajem. kredytu		183,000	6,652,000

Złożono na rachunki przekazowe.

W banku polskim	rs.	12,473,000	
„ „ handlowym		17,875,000	
„ „ dyskontowym		5,850,000	
„ Tow. wzajem. kredytu		2,609,000	38,807,000

 Razem 45,459,000

W ciągu roku 1873 te same cyfry wynoszą:

Skupiono weksli: krajow. zagranicz.

W banku polskim		27,718,000	3,543,000	
„ „ handlowym		7,419,000	11,593,000	
„ „ dyskontowym		7,248,000	5,015,000	
„ Tow. wzajem. kredyt.		7,009,000	—	
		49,394,000	20,151,000	69,545,000

Otwarte kredyty.

W banku polskim	rs.	49,293,000	
„ „ handlowym		2,762,000	52,055,000

Pożyczki:

1) *Na papiery publiczne.*

W banku polskim . . .	rs.	1,626,000	
„ „ handlowym . . .		2,303,000	
„ „ dyskontowym . . .		1,755,000	
„ Tow. wzajem. kredytu . . .		176,000	5,860,000

2) *Na zastaw towarów, oraz zaliczki na towary w komis oddane.*

W banku polskim . . .	rs.	1,165,000	
„ „ handlowym . . .		3,773,000	
„ „ dyskontowym . . .		1,389,000	
„ Tow. wzajem. kredytu . . .		316,000	6,643,000

 Razem 134,103,000

W ciągu roku 1873 zlokowano w bankach.

Oddano na lokatę:

Do banku polskiego . . .		853,000	
„ „ handlowego . . .		7,411,000	
„ „ dyskontowego . . .		3,114,000	
„ Tow. wzajem. kredytu . . .		1,169,000	12,547,000

Na rachunki przekazowe:

W banku polskim . . .		9,989,000	
„ „ handlowym . . .		17,586,000	
„ „ dyskontowym . . .		5,610,000	
„ Tow. wzajem. kredytu . . .		4,537,000	37,722,000

 Razem 50,269,000

Zgrupowaliśmy tutaj ogólne cyfry gotówki, przez publiczność w bankach lokowanej i z banków wydawaną ludziom zajętem wszelkiego rodzaju przemysłem. Pominęliśmy ze sprawozdań banków rachunki z korespondentami skupu i sprzedaży papierów publicznych, i inne, które się tyczą interesów samych banków, ich zysków i strat, ale publiczność w ogólności mało obchodzić mogą. Objaśnić tutaj należy, że skup weksli zagranicznych nie może być cały zaliczony, jako kredyt udzielony handlowi, dlatego że w tej cyfrze mieszczą się koniecznie weksle, wynikające z operacyj arbitrażowych; wystawiane wprawdzie z powodu stosunków handlowych z zagranicą, ale mające na celu tylko korzyść banku, z różnicy w kursach monet zagranicznych wpływającą.

Przytoczone więc przez nas cyfry wiernie wykazują o ile handel, przemysł, a w części i rolnictwo korzystały z kredytu; cyfry te z każdym rokiem wzrastają. W roku 1870 bank polski udzielił tych kredytów na 59 milionów, w 1871 już trzy banki razem wypożyczyły 81 milionów, w 1872 cztery banki wypożyczyły 105 mil., a w 1873 r. 134 mil. Jednocześnie zaś, nowo-wprowadzone w użycie rachunki przekazowe razem z kapitałami na lokacyą złożonemi,

przyniosły bankom gotówki w roku 1871 około 24 milionów, w 1872 r. przeszło 45 mil., a w 1873 r. przeszło 50 mil. Rozwijanie się to operacyj kredytowych, wskazuje też rozwijanie się przemysłu i handlu, ale nie możemy powiedzieć, żeby wzrost ten był znacznym; nie przenosi on dwudziestu kilku milionów corocznie; ruch to naprzód, ale bardzo powolny w kraju, który obecnie przeszło 6 milionów ludności już liczy. Widać nawet, że ruch interesów w ogóle jest za mały, ażeby dostarczyć dostatecznych zysków kapitałom zakładowym banków, kiedy bank handlowy założył filią w Petersburgu i operacje tej filii znacznie przewyższają sumę interesów samego banku. W roku 1873 bank handlowy w Warszawie przyjął od publiczności około 25 milionów, a wypożyczył około 28 mil., filia zaś banku w Petersburgu przyjęła przeszło 68 mil., wypożyczyła wprawdzie tylko około 59 mil., a na sam interes skupu i sprzedaży papierów publicznych, użyła 20 milionów.

Wzrastanie jednocześnie summ lokowanych i wypożyczonych wykazuje, że banki o tyle tylko mogą świadczyć usług kredytowi, o ile im samym publiczność ufa; zasługą ich wszystkich jest zapewne, że kiedy w r. 1873 w porównaniu do 1872, cyfra summ deponowanych wzrosła tylko o 5 milionów, summa udzielonych kredytów zwiększyła się o 29 mil. Jakoż dotychczas publiczność nie ma zdaje się żadnych powodów nie ufać bankom; nieznaczny wzrost w rachunkach przekazowych w ciągu roku 1873, przypisywany przez pana prezesa banku polskiego ¹⁾, małej ilości gotówki w kraju, może też być skutkiem zagranicznych popłochów finansowych, które zawsze sięją trwogę w publiczności i każdemu myśl nasuwają, że bezpieczniej trzymać pieniądze u siebie. Banki nasze, jako instytucje początkujące, prędzej może zbyt ostrożnie działają; zarzucićby im można pobieranie trochę za wysokich procentów, chociaż i ten zarzut nie może być na seryo stawianym, bo kiedy żaden z nich nie ma prawa emisji biletów własnych, to tylko tyle może dać, ile mu dadzą, a nie wiele mając, musi stopę procentową dość wysoko trzymać, bo i sam płaci procent wysoki.

III.

Przypatrując się temu ruchowi kredytowemu, najciekawszem bodaj byłoby dowiedzieć się, ile z tego kredytu przypada na dolę handlu, przemysłu fabrycznego i rolnictwa. Ale zadania tego dzisiaj rozwiązać nie można: w sprawozdaniach banków nie znajdziemy nigdy cyfr dość wyspecjalizowanych, ażebyśmy na nich jakiegokolwiek wniosków w tej materii oprzeć mogli; bo i sam bank nie wie często,

¹⁾ Sprawozdanie banku polskiego r. 1873, mowa p. prezesa.

któręj z tych gałęzi gospodarstwa narodowego daje kredyt, kupując weksel, lub udzielając pożyczki pod inną jaką formą. Weksel, ten znak obrotu handlowego, podpisuje się często przez rolnika, który gwałtem potrzebując kredytu, poddaje się prawu wekslowemu, zapisuje się w stan kupiecki. Wykazane w sprawozdaniach cyfry pożyczek na weksle zabezpieczone hipoteką lub awansów na produkta rolnictwa są tak mało-znaczące, że nie można ich brać za pomoc poważną niesioną rolnictwu. Składać papiéry publiczne w zastaw, może każdy kto je posiada, towary może składać zarówno fabrykant jak i kupiec; nie mając więc dostatecznych danych do opierania wniosków, możemy tylko opierać je na rezonowaniu.

Źródła, z których nasze banki czerpią swe zasoby, redukują się głównie do rachunków przekazowych, pieniądze składane w ten sposób, oddają się zwykle na terminy krótkie, a zatem nie mogą być inaczej przez banki używane, jak na operacye króto-terminowe; kredyt rolniczy wymaga terminów dłuższych, dla fabryk też terminia dłuższe niezaprzeczenie są dogodniejsze: handel zadawalnia się terminami krótszemi, on też, w najkorzystniejszych stojąc warunkach, musiał najwięcej z tój gotówki do siebie przyciągnąć. Wszystkie banki warszawskie mają prawo skupować weksle z terminem dziewięciomiesięcznym, jednakże przyjmując najznaczniejsze summy na rachunki za siedmio-dniowém wypowiedzeniem, muszą zawsze chętniej skupować weksle z krótkimi terminami i skłusznie bardzo robią, że kredytów na dłuższe terminia ostrożnie i oszczędnie udzielają.

Lecz to właśnie powinny być skazówką, iż należy wszelkiemi sposobami i wszystkiemi siłami starać się o sformowanie, czy wytworzenie instytucyi kredytowej, któraby specjalniej przemysłowi fabrycznemu i rolnemu mogła dostarczać kapitału obrotowego. Były już rozpoczęte starania urządzenia podobniej instytucyi pod firmą kredytu rzeczowego; nie wiemy dla jakich mianowicie powodów projekta te nie doszły do skutku, lecz pewni jesteśmy, że finansowe potęgi kraju naszego nie zaniehbają tój myśli, a widząc i znając, jak rozwój przemysłu koniecznym jest dla kraju, zechcą wspólnemi siłami przyczynić się do urzeczywistnienia tych projektów. Prawdziwie też obywatelską byłoby zasługą, ułatwić przemysłowi fabrycznemu trudne chwile początkowania, czy rodzenia się, i rolnictwu trudne przekształcanie się z tradycyjnej na racjonalną gospodarckę; usuwając zawady, jakie przedsiębiorcy mniejszój ręki i mniejsi właścicielej ziemi napotykJają w znalezieniu funduszków kapitału obrotowego.

Stawiamy tu umyślnie racjonalne gospodarstwo rolne obok przemysłu fabrycznego, bo zdaniem naszym, jedno bez drugiego egzystować i rozwijać się nie może. Racionalnie gospodarować można tam tylko, gdzie można wprowadzać największą rozmaitość uprawy, a rozmaitość ta tam tylko jest możebna, gdzie wszelki produkt łatwy odbyć znajduje, gdzie nastaje popyt na wszystko, co ziemia daje, lub co z niej rozum ludzki wyciągnąć może. Takie zaś zwiększe-

nie popytu na wszelkie produkta ziemi jest możebne tylko przy zgęszczającej się w wielu miejscach kraju ludności, a powodem i warunkiem takiego zgęszczenia, mogą być tylko powstające na całej przestrzeni kraju fabryki. Póki będziemy musieli produkować w rolnictwie wyłącznie prawie ziarna droższe, któreby mogły wytrzymać transport na odległe targowiska, póty nie potrafimy korzystać ze wszystkich rzeczy, które nam ziemia dać może. Szerszą uprawę kartofli warunkuje przemysł gorzelniany, większe plantacje buraków możebne są tylko przy cukrowniach. Hodowla bydła obfitsza i korzystna możebna jest tam tylko, gdzie ludzie więcej mięsa potrzebują. Samo już lepsze urządzenie młynów, pozwoliłoby nam mniej tracić na transporcie mąki za granicę, aniżeli dziś tracimy na przewożeniu ziarna, a wszystkie ostatki od wyrobu mąki, zostawałyby na miejscu i szły na lepsze ukarmianie bydła. Wełnę sprzedajemy za granicę, tamże wysyłamy zboże; korzystniej byłoby zapewne dla nas, ażeby ludzie miejscowi to zboże zjadali i wełnę na sukno przerabiali. Wysyłając wtedy na sprzedaż sukno na targ oddalony, w jednym postawie sukna transportowalibyśmy już i wełnę, i zboże przez robotników spożyte: to samo o lnie i płótnie powiedzieć można. Pamiętać też o tym należy, że robotnicy na fabrykach zarabialiby więcej, aniżeli dzisiaj przy roli zarobić mogą; a przeto więcejby sami spożywać mogli, i nie byłoby to wcale odrywaniem rąk od roli, a tylko korzystniejszym użyciem czasu, którego dzisiaj tyle i tyle marnuje się na polach. Jeszcze roku 1842 p. K. Garbiński obliczał: „że ziemia nasza pracą rąk połowy ludności, trzykroć zamożniejszą i dwa razy większą ludność od całej liczby teraźniejszych mieszkańców Królestwa wyżywić może”¹⁾. Od tej pory ludność Królestwa z 4 do 6 milionów wzrosła, a uprawa wcale się nie rozszerzyła, tylko trochę może się polepszyła; dzisiaj na 6 górą milionów ludności w ogóle, zaledwie około 64 tysięcy ludzi pracuje na fabrykach w kraju naszym, więc żeby liczba robotników na fabrykach dziesięć razy się powiększyła, jesszczeby niczém to rolnictwu grozić nie mogło, owszem byłoby to dla niego korzystnym, bo dałoby możność spieniężać wiele rzeczy, które dzisiaj ceny nie mają. Gęściej osiadająca ludność w danej miejscowości potrzebuje domów, a zatem drzewo, kamień i glina nabierają ceny; potrzebuje opału, sprzętów rozmaitych, potrzebuje chleba, a jeżeli więcej zarobić może, potrzebować będzie mięsa i mleka, i lepszego odzienia i t. d.

Otóż ułatwienia, jakie kredyt przynieść może przemysłności ludzkiej, pozwalając jej ruszać się śmiało, otworzą nam drogę do postępu przemysłowego i silny popęd dać mogą wytwarzaniu się bogactwa w kraju; dlatego to mówimy, że organizowanie tej gałęzi kredytu, byłoby prawdziwie obywatelską zasługą.

1) Roczniki gospodarstwa krajowego T. 1, N-r 1, str. XXIX.

Mogą nam powiedzieć, że kraj nie posiada dość kapitałów, ażeby mógł odrazu zdobyć się na tyle rozlicznych zakładów kredytowych. Odpowiemy na to, że przed rokiem 1870, nikt jeszcze nie myślał o rachunkach przekazowych w Warszawie; banki rachunki te otwierać zaczęły, a w roku 1873 wpłynęło do ich kass na te rachunki 50 milionów rubli. Dlaczegożby rozum ludzki i czynność energiczna w ciągu drugich trzech lat, drugich 50 milionów nie umiała z tego samego materiału wydobyć. Chodzi tu o rzecz główniej wagi, pierwszorzędnego znaczenia, o usuwanie zawał do pracy, ażeby ona, widząc przed sobą zawały, nie ustawała w raz rozpoczętym ruchu; chodzi też i o to, ażeby ludzie, których stanowisko powołuje na kierowników w interesach finansowych i przemysłowych, poczuli się do obowiązków swojej pozycji i pamiętali, że inicjatywa do nich należy; że oni w ustroju społecznym przedstawiają siłę torującą drogi przemysłowi, że za nimi publiczność pójdzie, a każdy niosąc część kapitału swego i swego rozumu, wszyscy razem złożą całość; lecz bez nich każdy chwiać się będzie i wątpić o możliwości udania się przedsiębiorstwa.

Nie mamy też żadnych danych do obliczenia, o ile kapitał corocznie wzrasta w kraju naszym, ile z wytworzonego bogactwa corocznie oszczędzamy i użyć możemy do dalszej produkcji. Nie mogąc liczb żadnych przytoczyć, musimy znowu poprzestać na rezonowaniu.

Od dawna już nauka ekonomiczna uznała oszczędność za jedyne źródło formowania kapitału, lecz w ostatnich czasach pojęcie to rozszerzono i dopełniono twierdząc, że nie jedna oszczędność tutaj działa, że czynnikiem daleko ważniejszym od bierniej cnoty oszczędności okazuje się sama czynność człowieka, zwiększająca produkcją. Jeżeli na przykład mam majątek który mi daje dochodu 5,000 rubli i oszczędzam z nich co rok 1,000, robię dobrą i przyczyniam się do pomnożenia bogactwa krajowego; lecz jeżeli przemysłowością i pracowitością swoją potrafię dochód z tego majątku podnieść do 7,000, mogę jeden tysiąc więcej używając na wygody życia, nie jeden a dwa już zaoszczędzić, dwa razy tyle co pierwiej przyczynić się do wzrostu bogactwa krajowego.

My jako rolnicy, na wskrós i aż do szpiku kości rolnicy, pojęcia nasze ekonomiczne wykształciliśmy na modłę rolnictwa. Każdy z nas w pojęciach swoich, to co posiada, dzieli na dwie części: majątek i dochód, procent i kapitał albo po staroswiecku mówiąc fundusz i intrata. Każdy też porządny człowiek uważa za swój obowiązek nie nadwężać funduszu, a intraty obracać na opędzenie bieżących potrzeb życia, t. j. przeżywać je; nikt z najporządniejszych nawet, w sumieniu swoim za złe sobie nie uważa, jeżeli dochody roczne w ciągu roku zużyje. Ludzie z natury skłonni do oszczędności, starają się część tych dochodów przechować i składać z nich kapitał, który ich fundusz powiększa. Obdarzeni naturą czynniejszą i energiczniejszą, starają się przemysłem wydobyć z majątków więcej do-

chodów, ale pomiędzy nimi rzadko kto nie ulega ogólnemu popędowi do zużywania tego, co na rok przyszedł znowu powrócić może. Najrzadziej dopiero, i to nie u nas tylko ale i wszędzie na świecie, spotykać można ludzi, którzyby zmysł czynny łączyli w sobie ze skłonnością oszczędną, którzyby i dochodu przymnażali i z przysporzonego nie wygod życia przymnażali, a owszem zasób swój czy majątek powiększali; ale ludzie tacy chociaż rzadko, jednak i u nas spotykać się dają.

Powiedzieliśmy że takie pojęcia o majątku i dochodach wypływają z rolniczej przeważnie roboty. Jakoż nie u nas jednych one panują, wszędzie jeszcze na świecie spotkać się z niemi można, bo we wszystkich krajach rolnictwo najpierwiej było głównym przemysłem ludności, a dzisiaj jeszcze najwięcej rąk i głów zajmuje. Wyższe też siły społeczne we własności ziemskiej i rolnictwie wszędzie oparcia i potęgi szukały. Otóż pojęcia te miały słuszną racją bytu w starym porządku rzeczy, kiedy pozycje społeczne przez pokolenia całe przechowywały się jedne i niezmienne. Dzisiaj, kiedy Europa przekształca się na nowy ustrój społeczny, do którego i my chociaż później od innych wybraliśmy się w tę drogę, jednak wszystkiemi zaglami pędzimy, trzeba i te gospodarskie pojęcia nieco przekształcić.

Jak buchalterya handlowa w gospodarstwie wiejskiem pomału zastępuje dawniejsze ekonomiczne rejestra, tak i pojęcie o mieniu, majątku czy funduszu przerabiać się powinno na pojęcie nowożytnie. Fundusz dzisiaj nie jest wyrazem stanowiska w towarzystwie, a przynajmniej stanowiska stałego i niezmiennego człowieka i jego rodziny, a to dla tego, że wśród ruchu przemysłowego, stosunek majątkowy osób musi się zmieniać. Dzisiaj majątek jest dodatkiem do osoby człowieka, jest rozszerzeniem, szerszym rozwinięciem tej osoby w świecie materyalnym, do niej on należy i od niej zależy. To też nie tylko dochody ale i kapitał, nie tylko intraty ale i fundusz cały w jeden rachunek wprowadzać należy, zapisując z jednej strony co mam, z drugiej co winienem, i jak najczęściej starać się te rachunki równoważyć, układać bilans. Wtedy to każdy prędko zrozumie, że to co ma zależy od jego woli i czynności, łącno dopatry jak praca fundusz ten powiększa, a próżnowanie lub niedbalstwo zmniejsza go ustawicznie. A rozchód tymczasem nie z góry ustanowioną normą od towarzyskiego stanowiska zależną, lecz rzeczywistą potrzebą oznaczać się będzie, bacząc pilnie na to aby rozchód nie nadto z funduszu ujmował. Częstsze ustawianie bilansów stanie się bodaj jednym ze środków przeciwko szerzącej się żądzy używania, bo z naszą zachowawczą naturą nie zechcemy narażać się na ruinę.

Ale jakież związku ma to wszystko z obfitością kapitału w kraju i z kredytem przemysłowym? Związek oczywisty, bo im bardziej rozwijając będziemy gospodarską działalność naszą, im silniej w każdym pojedynczym człowieku rozwinię się przemysłność i poleganie na własnych siłach; tém dochody każdego będą większe, zatem

i większa możność oszczędzania i prawdopodobieństwo prędszego i obfitszego gromadzenia się kapitału w narodzie. Póki zaś pewna ilość kapitału nie nagromadzi się, rozwój przemysłu na szerszą skalę nie będzie możebnym, i zostawać będziemy pod tym względem w ciągłej zależności od obcych narodów, od których dzisiaj jeszcze musimy wyglądać kapitałów, skoro chodzi o jakie większe przedsiębiorstwo; od których dostawać musimy niezbędnych do każdego przemysłu narzędzi; a nawet materyałów, z których i któremi te narzędzia się robią, t. j. żelaza i węgla.

Niezależność ekonomiczna, przedmiot nowożytnej ambicji każdego narodu, nie daje się osiągnąć żadną sztuczną kombinacją sił obcych, ani też żadnym pomyślnym zbiegiem okoliczności, tylko poprostu ciągłym i wytrwałym stosowaniem sił własnych do bogactwa ziemi, którą naród zamieszkuje. Czasem obce siły mogą w szczęśliwej chwili dać pomyślny popęd, lub też zbieg okoliczności przyjaznych może wpłynąć szczęśliwie na przyspieszenie rozwoju przemysłowego; jak n. p. kiedy nieurodzaj w ościennych krajach przy dobrym urodzaju u nas, podnosi cenę płodów ziemi, i czasowo zsyła nam większą obfitość kapitału; albo kiedy obcy kapitał obcy rozpocznie prawdziwie produkcyjne przedsiębiorstwo. Lecz te pomyślne wpływy nie mogą działać ciągle i trwale. Korzystać należy z podobnych okoliczności i korzystać umiejętnie, czasowy przyrost dochodu obrócić na pomnożenie kapitału nie marnując go na bieżące potrzeby. Polegać na tych pomyślnych okolicznościach nie można, bo ten stosunek nasz do zagranicy zmienić się może a nawet musi za rok, za dwa lata najdalej; i sąsiedzi, którzy nam za chleb więcej płacili, zechcą to wszystko odebrać w trójnasób za swoje przysłane nam wyroby. Otóż wyroby te u siebie wytwarzać, to główne zadanie, za rozwiązaniem którego pójdzie ekonomiczna niezależność.

Pomyślne dla nas okoliczności, to wysokie tegoroczne ceny produktów rolnych, bo coraz to bardziej szerząca się sieć kolei żelaznych, która z Warszawy robi niejako punkt przejściowy handlu pomiędzy Cesarstwem a Europą; powinnibyśmy z tego korzystać, i przybywających nam z tego źródła zarobków używać na ożywienie przemysłu miejscowego. Mamy w kraju naszym zapasy dwóch głównych czynników wszelkiego przemysłu, mamy żelazo i węgiel, niemal w tych samych naturalnych warunkach jakie posiada sąsiedni Szląsk, a jednak o ileż mniej u nas, aniżeli na Szląsku wyrabia się żelaza i dobywa węgla, i jakie massy tych materyałów z tego właśnie Szlązka sprowadzamy. Wiemy jednak wszyscy że przemysł angielski, jeżeli głównie zawdzięcza swe siły charakterowi Anglika wytrwałemu i nie lękającemu się trudu; to w obfitości żelaza i węgla znalazł on główny materyał swego olbrzymiego rozwoju.

Pomyślne okoliczności sprzyjające handlowi, były zapewne powodem szerszego u nas rozwijania się kredytu handlowego. Rozwój ten jakkolwiek dość znaczny nie może być uważany za dostateczny

bo cyfry obrotów kredytowych u nas, postawione obok cyfr podobnych obrotów w najmniejszych krajach Zachodu, jak n. p. w Belgii i Saksonii okażą się jeszcze mikroskopijnie małemi. Nie przestaną one wzrastać to pewno, ale radziłyśmy widzieli kapitalistów naszych, organizujących obok handlowego i inne gałęzie kredytu, a mianowicie przemysłowy i rolniczy. Bo handel sam, jakkolwiek kraj wzbogaca, z natury swojej nie jest tak stałym jak przemysł na silnych oparty podstawach. Przemysł zresztą prowadzi koniecznie do handlu, kiedy handel cudzemi wyrobami chociaż szybko rozwijać się może, ale i za zmianą dróg handlowych szybko téż upada, i przytém śmielsze zwłaszcza natury pociąga gwałtem do spekulacji. Kredyt handlowy, dzisiaj w zupełnie normalnych, prawidłowych warunkach u nas się rozpoczynający, może z łatwością być wciągnięty na śluzkie drogi eskontowania nie tylko wartości realnych dzisiaj egzystujących, ale i tych które z czasem mają się zjawić. A takie eskontowanie przyszłych, zawsze niepewnych zysków, chociaż chwilowo korzystne, zawsze doprowadza do katastrofy bankructwa, bo zbyt rzadko człowiek na téj drodze powstrzymać się umi lub może.

W gospodarskim rozwoju naszym idziemy po téj samej drodze którą przeszły inne narody Europy, a ponieważ niczém myśmy od nich niegorši, więc i o przyszłość naszą zbyt wielkiej obawy mieć nie możemy. Każdy naród najprzód zajmował się dobywaniem płodów surowych i przytém opędał tylko nieodbite potrzeby życia; potem przechodził do przerabiania surowych płodów na wyroby, przytém i zakres potrzeb jego się rozszerzał. Pracowitość, oszczędność, przemysłność rozwijały się jednocześnie. Przy całej historycznej komplikacji tych przejęć, jedne narody wysuwały się naprzód, inne opóźniały się na téj drodze i potém musiały podwajać kroku. To samo i obecnie się dzieje; na dzień dzisiejszy nam wypadł los przysparzania kroku, bo jeżeli co do przymiotów duszy i ciała w niczém nas Bóg i natura nie upośledziły, to w przemysłności, pracowitości i oszczędności, jeszcześmy się nie dość wykształcili. Idąc po drodze przemysłu, korzystać już możemy z doświadczenia cudzego, bo idziemy drogą utorowaną i pewniejsze kroki stawiać możemy. Przemysł fabryczny rolnictwu nie szkodzi, owszem pomaga mu wszędzie i zawsze, a przemysł fabryczny i rolnictwo razem wzięte stają się szeroką podstawą bogactwa narodowego i szerokie drogi handlowi otwierają. Handel zaś bez przemysłu, przędzój czy późniój upaść musi, bo jak każdy producent tak i każdy naród produkujący, stara się zawsze, o ile może obejść się bez pośredników, bez osób trzecich pomiędzy nim a spożywcami stojących. Produkta własnej ziemi najpewniejszym są materiałem surowym, którego przerabianiem przemysł krajowy zająć się może. Żelazo i węgiel, jako niezbędny materiał każdej fabrykacji, są najsilniejszą podstawą przemysłu fabrycznego; ale nadto wszystko potrzebniejszym warunkiem wszelkiego postępu, warunkiem niezbędnym, bez którego najobfitszy

materyał pozostanie tylko martwą i bezcenną materją, jest myśl umiejętna i charakter czynny, te dwa znamiona doskonalące się duszy ludzkiej, któremi się człowiek i naród podnosi do wykształcenia i cywilizacyi.

Aleksander Oskierka.

B R Ü H L.

OPOWIADANIE HISTORYCZNE.

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

TOM I.

(Ciąg dalszy).

VI.

Właśnie gdy się to działo w pałacu królewicza, za kulisami opery przygotowywano przeznaczoną na ten dzień i niecierpliwie oczekiwaną, choć tylekroć powtarzaną *Cleofidę*. Przepych z jakim odegrywano te świetne sztuki, w których nieraz występowało po sto koni, wielbłądy i niezliczone tłumy komparsów w świetnych strojach Wschodu; czarowna maszynerya teatru, zwabiały doń przynajmniej tylu widzów, co zachwycający głos signory Faustyny Bordoni.

Faustyna, pierwsza śpiewaczka swego czasu, słynna zwycięstwem nad równie znakomitą Cuzzoni, była tu primadonną,

w całym znaczeniu tego wyrazu, na scenie, za kulisami i daleko dalej niżeli one sięgały. Signora Bordoni choć nosiła imię wielkie pierwszego kompozytora owjej epoki, Jana A. Hasse, mogła być o nim zapomnieć. Małżeństwo to, nazajutrz po ślubie rozerwał rozkaz króla, który muzyka wyprawił na studia w klassyczněj Włoch ziemi.

Gdy powóz wiozący Brühla i smutną wieść o zgonie Augusta Mocnego, zbliżał się do zamku, Faustyna siedziała w swym saloniku, urządzonym dla niěj przy scenie i zrzuciwszy z siebie kosztowne futro, ziewając zabierała się wydawać rozkazy.

Primadonna nie była pierwszěj młodości, ale, mimo swěj włoskiej krwi, która tak prędko wykwita i przekwita, umiała zachować całą siłę głosu, cały wdzięk postaci i piękność rysów twarzy Junony, jaką ją obdarzyła natura.

Nie było to wdzięczne a delikatne stworzenie, nie eteryczne zjawisko, co zdaje się jak mara powietrzna roztopiać w mgłach i blaskach, ale silna, wspaniała, majestatyczna postać o posągowych kształtach, jakby energiczném dłutem Michała Anioła wykutych z jedněj bryły.

Nieposzlakowana piękność równała głosu potędze. Wszystko w niěj było z jěj charakterem zgodne i harmonijnie równe: głowa bogini co skinieniem brwi Olympem wstrząsa, popiersie nimfy, ręka bachantki, postawa amazonki, nóżka i rączka księżniczki, włos czarny bujny jak grzywa arabskiego konia... W twarzy mimo klassyczněj piękności rysów, więcj było grozy i siły niż niewieściěj słodyczy. Czarne brwi nieco za wyraziście zarysowane marszczyły się często, nosek rozdymał gniewem i usta różowe błyskały zębami jak groźbą. W całej niěj znać było nawykłą do panowania, do hołdów, do rozkazowania istocie, która się nie lękała oczów królewskich i pioruny ciskała nawet na koronowane głowy.

Salonik był strojny wykwintnie, cały biały ze złotem, sprzęty niebieskim pokryte ałasem, a koronkową zasłoną obwieszona tualeta świeciła porcelaną i srebrem. Szafy do strojów okryte były bronzami, od sufitu porcelanowy pajak wisiał jak kosz kwiatów.

Dwie sługi stały u drzwi gotowe na rozkazy. Po rysach ich poznać było łatwo włoszki, które nawet malowniczego swego opięcia włosów nie porzuciły, srebrnymi iglicami ujętych. Faustyna spojrzała na zegar stojący w kąciku... rzuciła się na sofę, napół leżąc, pół siedząc i bawiąc się jedwabnymi sznurami domowej swój sukni szerokiój, w kwiaty, w której przenieść się kazała do teatru.

Sługi stały milczące.

Zapukano do drzwi. Faustyna się nie poruszyła, spojrzała tylko i pół uśmiechem powitała ukazującą się w nich twarz pięknego, młodego mężczyzny.

Był to sopran Angelo Monticelli, który przybywał pokłon i cześć oddać królowej. W nim także typ włoski łatwym był do poznania na pierwszy rzut oka; lecz o ile Faustyna energię włoską i żywość wcieliła w siebie, o tyle on przedstawiał wdzięk prawie niewieści. Młody, dziwnie piękny, z włosami czarnymi długimi, spadającymi na ramiona, przeznaczonym się zdawał na rolę *inamoratic*, na bogów i kochanków. Żaden starożytny Apollo w zachwycie grający na lirze, nie mógł być nad niego piękniejszym. Tylko duma i śmiałości bożka mu brakło: pokornym był i uniżonym do zbytku.

Złamał się wpół oddając pokłon obojętnój Faustynie, która nie przestawała bawić się sznurami swój sukni i ledwie mu główką skinęła. Nogi jego wyłamane jak do tańca, nawet za kulisami nie zapomniały o swych obowiązkach.

— Angelo—zawołała Faustyna—biegasz za temi obrzydliwemi niemkami... wiem, wiem. Stracisz głos i młodość. Pfe! jak można w niemce widzieć kobietę. Spojrzże na ich ręce i nogi.

— Signora!—rękę kładąc na piersi, odparł prostujący się Angelo rzucając wzrok w zwierciadło, bo trochę kochał się w sobie—*Signora non e vero!*

— Tak, powiesz mi dla wymówki—śmiejąc się przerwała Faustyna—że one biegają za tobą.

— I to nie: ja tęsknię za włoskiem niebem, włoskiemi twarzami i sercem włoszki... ja tu usycham.

Faustyna spojrzała nań a ręką dała znać dziewczętom słuzebnym ażeby odeszły...

— *Ingrato!*—szepnęła cicho—pieścimy cię wszyscy i jeszcze ci źle.

Potém oczy zwróciła na sufit, ziewnęła i zdawała się niechcieć widzieć pożerającego ją wzrokiem Monticellego.

— Jest już Albuzzi?—spytała.

— Nie wiem.

— Żebyś ty o Albuzzi nie wiedział, cha! cha!

— Wcale mnie ona nie obchodzi.

— Gdy mówisz ze mną! Ale ja o nią nie jestem wcale zazdrosną, ani o twoją Apollinową piękność; tylko, tylko jój, niecierpię i ciebie Angelo, nienawidzę...

— Za co?

— Za to, że jesteś nienawiści godny, żeś lalka, żeś bałamut. Spójrz na zegar i idź się ubierać.

We drzwiach ukazała się nowa twarz: był to otyły, silnie zbudowany, wesołego oblicza, ruchów żywych Puttini.

— Moje najgłębsze uszanowanie ekscellencyi—zawołał. Ale przepraszam, może przerywam duet...

Spojrzał na Angela.

Faustyna się rozśmiała ruszając ramionami.

— My tylko na scenie śpiewamy duety—dodała—ale wy wszyscy dziś myślicie się spóźniać! Do ubierania!

I ruszyła się z sofy. Angelo także posunął się ku drzwiom, Puttini stał i śmiał się.

— Ja się nie opóźnię: trykoty moje leżą gotowe, a reszta stroju nie zabawi.

Drzwi się rozpadły z łoskotem i mężczyzna w czarnej sukni, w trzewikach i w pończochach, w peruce gładkiej, twarzy puciołowatej, małego nosa, czoła niskiego, wbiegł jakby przestraszony.

Sama postać jego już zwiastowała coś niezwyčajnego; Faustyna która się ognia lękała zawsze, krzyknęła przeraźliwie:

— Matko Najświętsza ratuj! gore! gore!

— Gdzie? gdzie?

Tymczasem ów poseł stał niemy i jakby osłupiały. Był to Klein, jeden z muzyków orkiestry, wielki Faustyny głosu wielbiciel, przyjaciel Włochów i zapalony meloman.

Imie mu było Jan, jak większej części Niemców. Faustyna go na Giovaniego przerobiła, i dała mu przywisko *Piccolo*.

— *Piccolo?* czyś oszalał co tobie?—zawołała.

— Król umarł, Król August Wielki umarł w Warszawie!!

Na te słowa Faustyna krzyknęła przeraźliwie zasłaniając oczy, a wszyscy stanęli niemi. Drzwi za wchodzącym Kleinem zostały otwarte i tuż wtaczać się zaczęło co żyło w teatrze. Większa część artystów mających grać w „*Cleofidzie*“ już napół była ubrana. Albuzzi wbiegła nie mając czasu zasłonić odkrytego popiersia, ani narzucić nic na najpierwsze ubranie. Piękność jej uderzała nawet przy Faustynie, lecz wszystko w niej było zdrobniałe, a żywość tylko tém większa.

Za nią z jasnym włosem Catharina Piluja i cała czereda Włochów i Francuzów, w sukniach ponarzucanych ledwie, z twarzami przestraszonymi, których połowę róż a pół jeszcze bledłość okrywała. Wszyscy się cisnęli do Faustyny, zbijali w kupę i powtarzali na wszelkie możliwe głosy:—*Il re e morto!*

Niemożna było się zrozumieć, ni usłyszeć w tym gwarze słów i wykrzyków. Na twarzach widać było przerażenie więcej niż boleść. Mówili razem wszyscy, tylko Faustyna milczała wcale się nie zdając tak bardzo rażoną tą wiadomością.

Ku niej jako ku wyroczni zwracały się oczy i uszy, czekano co powie; lecz Bordoni znać w tym tłumie nie chciała się wydać z tém co myślała.

Dzwony odzywały się w całym mieście.

— Teatru nie będzie, wszyscy do domów!—zawołała rozkazująco.

Ale jej nie posłuchano, stali jak wkuci przybyli, smutni i przerażeni.

— Wszyscy do domów!—powtórzyła Faustyna—niemamy tu co robić, a pewno nie rychło grać będziemy.

Sama téż zbliżyła się do sofy i zdawała chcieć ubierać do wyjścia. Jeszcze raz zwróciła się z twarzą rozkazującą i ręką ukazała drzwi. Smutny tłum poczynął się rozplýwać i wychodzić szmerząc. Albuzzi zamysłona stała przed zwierciadłem chwilę, spojrzała przez ramię na Faustynę i zwolna wyszła z innemi.

Jak tylko drzwi się zamknęły za ostatnim z tych nieproszonych gości, Bordoni rzuciła się na sofę. Zdawała się niewiedzieć podżyłego mężczyzny, który stał naoboczu i poglądał przez okno na ciemność.

Kasznięcie dało jój znać o nim.

— A! to wy?

Był to Hasse z imienia mąż Faustyny.

— Tak—rzekł obojętnie Niemiec, czystą i piękną włoszczyzną.

— O czém myślicie? czy już żałobne Requiem piszecie dla nieboszczyka.

— Prawieście odgadli—rzekł poprawiając peruki kompozytor—myślałem czy msza którą ułożyłem dawno *Sulla morte d'un eroe*, przypadnie dla naszego pana. Muzyk jestem i wszystko u mnie, nawet żal w muzykę się obraca.

— A w co my się teraz obrócimy!—westchnęła Faustyna.

— *Chi lo sa?*

Milczeli, Hasse chodził ręce włożywszy w kieszenie z głową spuszczoną. Stanął potem przed żoną.

— Nie mamy się czego lękać—rzekł spokojnie—Hassego nie łatwo kto zastąpi, choćby i Porpora. Faustyny—nikt.

— Pochlebco—rzekła włoszka. Hasse stary będzie śpiewać lepiej jak za młodu, a Faustyny głos jak wypalona świeca, co wielkim płomieniem gorzała... jednego ranka zagaśnie.

— Nie tak prędko—odpowiedział zamyślony Niemiec—wy to lepiej wiecie odemnie.

— Ale nowy pan, ten cichy, spokojny, pobożny, skromny, zawojowany przez cesarzównę pan nasz, czy zechce...

Hasse się rozśmiał—*E un fanatico per la musica, e fanatico per la Faustina.*

— *Chi lo sa?*—szepnęła zadumana. Gdyby nim nie był, trzeba go uczynić takim. Promień myśli jasnej przebiegł po jój czole.

— Biędny stary August nie żyje—rzekła zniżając głos—radabym mu piękną powiedzieć mowę pogrzebową a nie potrafię.

Hasse ramionami ruszył.—Mów pogrzebowych mu nie zabraknie—rzekł głosem prawie niedosłyszczanym—ale przyszłość

inny o nim wyrok wyda. Wspaniałym był tyranem i żył dla samego siebie. Saxonia odetchnie może.

— Jesteś niesprawiedliwym—zawołała Faustyna—mogłaż być kiedyś szczęśliwszą, świetniejszą, słynniejszą... blask od tego bohatera padał na nią.

Hasse boleśnie się uśmiechał.

— W łoży teatru wydawał się bohaterem, gdy do was się uśmiechał cały brylantami okryty; ale kraj łzami te dyamenty opłacał. Radość i śpiewy rozlegały się po Dreznie, a jęki po Saxonii i Polsce. Tu był przepych, tam nędza.

Faustyna się porwała oburzona.

— *Tace*, milcz—zawołała—nie dam ci nic mówić na niego: brzydka zazdrość odzywa się z ciebie.

— Nie—rzekł Hasse spokojnie, patrząc na nią—całą moją miłość pochłonęła muzyka, a piękną Faustynę ukochałem w jej głosie i starczyło mi, gdym go słyszał lub nawet marzył o nim. Faustyna nie mogła widzieć króla inaczej i ja milczę.

Hasse począł się przechadzać zamyślony, gdy drzwi uchyliły się i wnet zamknęły. Wchodzący zaledwie się w nich ukazał i cofnął natychmiast, ale Faustyna miała go czas zobaczyć, poznać i zawołała aby wszedł.

Z pewnym wahaniem usłuchał rozkazu. Był to ten sam Watzdorf, który Brühlowi przyniósł rozkaz królewicza... dziwna twarz dworaka, przenikająca oczyma, śmiejąca się ironią, nielitościwa szyderskim wyrazem; ruchami i postawą przypominał Zbira na maskaradzie.

— Myślałem—odezwał się, wchodząc i uśmiechając do Faustyny—że jeszcze nie wiecie nic?

— Dzwony przecież obwieściły to miastu i światu—mówiła włoszka, zbliżając się do niego z ciekawością.

— Tak, ale dzwony zupełnie jednakowo jęczą i radują się na pogrzeb i wesele; mogliście więc sądzić, że która z księżniczek urodziła się, i że się nam radować każą.

Ruszył ramionami..

— Biędny król!—westchnęła Faustyna.

— A!—podchwycił złośliwie Watzdorf—żył dużo, miał trzysta co najmniej kochanek, rozsypał miliony, wypił rzekę wina, nałamał podków i naścinał głów dosyć... czyż nie czas było odpocząć?

Nikt nie śmiał mu przerwać, Hasse tylko nań spojrział ukradkiem.

— Cóż teraz będzie?—spytała włoszka.

— Mieliliśmy operę *Il Re Augusto*, wystąpi może inna z nowym tytułem i nielepsza.

Pierwsze w niej role grać będą: Córka Cezarów, Padre Guarini, Padre Salerno, Padre Vogler i Padre Kopper, a w dodatku jaki Frate... nazwiska nie zgadnę.

Faustyna śpiewać im będzie, jak śpiewała; Hasse, pisać, jak pisał opery. Gorzej z nami komparsami dworu, gdy pierwsze role obejmą pазie z całego świata i lokaje ze wszystkich dworów.

Hasse, który słuchał, skłonił się i cicho szepnął:—dosyć! dosyć! a nuż kto podedrzwiami. Nam tego nawet słuchać niebezpieczno.

Watzdorf ruszył ramionami.

— Gdzież pan był w marcu przeszłego roku?—zapytała niby roztargniona Faustyna.

— Ja? w marcu? czekajcie... no nie wiem.

— Znać chyba, żeście nie byli w Nowym-Rynku, gdy na nim prezentowano smutny dramat Majora d'Argelles.

Watzdorf milczał nie przerywając.

— Wiecie, ten d'Argelles, co to tak ostrą mówił prawdę, czy potwarz, nie oszczędzając nikogo, co je pisał i rozsiewał. Ja miałam okno naówczas i patrzałam.

Żal mi było biédaka: wydali go Francuzi, bo niegdyś służył on u nas. Postawili go pod pręgiérzem wysoko wśród tłumów ludu. Kat nad głową złamał mu szpadę i rzucił pod nogi, dał mu dwa policzki aż krew się ustami rzuciła i garść paszkwilów wetknął mu w gębę.

Płakałam patrząc na biédnego człowieka. Siedzi w Kaspel-hauzie w Gdańsku z ogoloną głową, aż się śmierć nad nim lituje.

— W istocie to ciekawa historia, signora Faustina—odezwał się szydersko Watzdorf—ale wiecie, kogo ja więcej żałuję, niż majora d'Argelles, tego, który się tak okrutnie i niehumanie mścił na nim.

To mówiąc, Watzdorf spojrział na włoszkę nieulekły wcale.

— Signora Faustina—rzekł—teraz następuje żałoba, będziecie mieli czas odetchnąć i głos nastroić tak, aby nowego pana oczarować, a królować mu, jakieście nad nieboszczykiem królowali. A wiecie, co ja wam powiem... To będzie daleko łatwiejsze. August Wielki był największym z bałamutów; ten lubi spokój i pali zawsze z jednej fajki. Gdy mu podają nową, głową wstrząsa, i gdyby mógł a chciał, toby się gotów rozgniewać.

Rozśmiał się Watzdorf.

— Więc—dodał—jam tu niepotrzebny, wy już o wszystkim wiecie, a mnie czas myśleć na jutro o żałobie. Jeśli nie może w niéj chodzić serce, niech się ubierze ciało: nikt głęboko nie zajrzy.

— Zapomniałem—rzekł nagle, zwracając się od drzwi do Faustyny—jakże jesteście z Sułkowskim? Jutro on na tron wstępuje i jutro Brühl albo pojedzie do Turyngii, albo przystanie do niego za lokaja, ażeby mu, dobrawszy godziny, nogę podstawić... Brühl z ojcem Guarinim są w najczulszych stosunkach.

Hasse syknął, Watzdorf nagle dłonią zakrył usta.

— Czy nie wolno! milczę.

Faustyna była zmięszana.

— Signore—rzekła, zbliżając się do niego—jesteście niepoprawieni. Tu z nami nic wam nie grozi.

Palec położyła na ustach.

— Ja się nie lękam groźb żadnych—westchnął Watzdorf—ambicyi innéj nie mam, oprócz bym został zawsze uczciwym człowiekiem, a jeśli mnie wsadzą do Koenigsteinu, nie będę narazony na pokuszenie. A i to coś znaczy.

— O! bogdajbyś nie był prorokiem!—rzekł Hasse, skłádając ręce. Myście co chcecie, lecz mówić...

— Cóżbym miał za zasługę z myśli, gdybym jéj między ludzi nie rzucił...—odpowiedział już we drzwiach Watzdorf—A zatem dobrej i najlepszej nocy państwu!

I zniknął.

— Nie ma wątpliwości—odezwał się Hasse—że skończy tam, gdzie powiedział; może tylko, jeśli celi nie ma wolnéj w Koenigsteinie, dostanie się do Sonnensteinu lub Pleissenburga.

I westchnął a Faustyna mu odpowiedziała westchnieniem.

VII.

Nazajutrz, ktoby się był wpatrzył w fizyognomię miasta, na które od dnia wczorajszego spadła żałoba, zaledwieby w niej dostrzegł oznaki żalu, ale niepokój był wielki i ciekawość silnie rozbudzona.

Około zamku i pałacu na Taschenbergu krążyły ostrożnie kupki ludzi, usiłując odgadnąć, co się wewnątrz działo. Widać było ruch niezwykły, ale porządek w zaciąganiu wart, gwardyi i szwajcarów pozostał niezmieniony. Karety z zapuszczonemi oknami i zakryte lektyki przebiegały miasto w różnych kierunkach. Ruch ten był cichy jakiś i jakby stłumiony. Uroczyste i urzędowe oznaki żałoby jeszcze się były nie rozpoczęły, a serdecznego smutku na twarzach znać nie było. Na każdego wyjeżdżającego kuryera spoglądał tłum z ciekawością i domysłami, gonił go oczyma i szeptano sobie dokąd i poco mógł być posłanym. Nie śmiano jednak mówić głośno... Koenigstein był blisko i u steru, jak się zdawało, pozostać mieli ciż sami ludzie, myśl tam sama, bo królewicz, a dzisiejszy kurfirst, nadto czcił ojca, ażeby chciał co odmieniać; nadto mu był posłusznym nawet po zgonie, aby się ważył coś począć z siebie i nadto był przyjacielem spokoju, żeby zmianami chciał sobie ściągać kłopoty. Domyślano się tylko, że Brühl padnie, a Sułkowski się podniesie nad wszystkich, a jakie będą rządy nowe? tego nikt odgadnąć nie umiał.

Brühl już naówczas zamieszkiwał kamienicę w Nowym-Rynku, koło niej było cicho. Wiedziano tylko, że on wczoraj odwiózł klejnoty, korony, precyzoza i całą tajną królewską kancelaryą. Co się działo na zamku i w pałacu na Teschenbergu, o tém z ulicy tylko po przebiegających i przejeżdżających sądzić było można. Powozy zajeżdżały i odchodziły, lektyki się mijały, posłańcy krzyżowali.

Cały dzień spłynął tak w zagadkowej ciszy i pozornym spokoju. Pomniejsi urzędnicy wypatrywali znaków na ziemi i niebie, komu się kłaniać, a na kogo pluć mieli.

Hennicke powiernik Brühla, były ów lokaj, którego i teraz, gdy już się radzcą zwał, pocichu jeszcze tém imieniem miano-

wano, siedział z rana w swoim domu, przytykającym do Brühlowskiego na Nowym-Rynku.

Za owych czasów, gdy jeszcze ani marzył do jak wysokich dojdzie zaszczytów, Hennicke ożenił się był z prostą dziewczyną służebną, która naówczas nie miała za sobą nic, oprócz trochę młodości i wdzięku. Dziś, gdy oboje znikło, pani radczyni Hennicke, dobra zresztą kobieta, była utrapieniem dla męża, bo się z nią pokazać nie mógł, tak jawne nosiła w ruchach i obejściu się całym ślady pierwotnego pochodzenia. Mimo przywiązania swego do męża i pana, męczyła go gadatliwością i drobnostkami. Właśnie się jej pozbywszy, ziewał podparty na łokciu, gdy do jego mieszkania wszedł, nie oznajmując się wcale, szybko i niespodzianie mężczyzna dosyć przystojny, śmiały, znać dworak, ubrany wykwitnie, choć już cały w czerni, średniego wieku i żywych oczów roztropnych.

Z twarzy nic wnioskować nie było można, oprócz że mu na bystrości nie zbywało i na przebiegłości, jakiej wymaga życie wśród wiecznie krzyżujących się intryg, które, jak koła mijających się wozów, pochwyć i zgnieść mogą człowieka. Wchodzący rzucił kapelusz na krzesło, dobył tabakierczkę z kieszeni i zażył z niej szczyptę, podając ją na przywitanie Hennickemu, który nań ciekawie spojrział.

— No, jakże myślisz; co będzie?—zapytał przybyły, zamykając tabakierczkę i wsuwając ją do kamizeli.

— Nic nie myślę, czekam i patrzę—odparł Hennicke zupełnie spokojnie.

— Brühl? jak ci się zdaje?

Spojrzeli sobie w oczy...

— Co mówią?—spytał Hennicke.

— Każdy mówi to, czego by sobie życzył: jedni, że Brühla wypędzą, a bodaj do kalkulacyi pociągną i wsadzą; drudzy, że Brühl innych wygoni, pozasadza i zdusi.

A wam jak się zdaje?

— Ja wam mówiłem, że mnie się nic a nic nie zdaje—odparł Hennicke—jeśli Brühla wsadzą, ja pomogę popychać, jeśli Brühl ich zdusi, pomogę dusić. Dzięki Bogu nie stoję jeszcze tak wysoko, abym padając, kark skręcił.

Przybyły rozśmiał się.

— To rzeczywiście jedyna rozumna polityka wyczekiwania, a jak najmniej się mieszać do rzeczy i stać sobie na boku.

— Tak! tak panie radzco Globig—z pół-uśmiechem dodał Hennieke wstając z krzesła—naprzód się wyrwać niedobrze, w tyle zostawać niebezpiecznie, środka się trzymać i na wszystkie strony patrzeć: to rozum.

— Ale—rzekł ciszej—między nami powiedziawszy, idę z waćpanem o zakład... o co się podoba.. stawić nawet jestem gotów moją żonę przeciw młodszój innój, bo mnie dziś okrutnie zmęczyła gadaniną, że... (zbliżył się do ucha), że Brühl się utrzyma, a gdy się utrzyma, stawię znowu co chcecie, że z nim nie wytrzyma nikt, i że oto dzisiejszego dnia inaugurujemy panowanie J. K. Mości Brühla I-o, które aby jak najdłużej trwało, Boga błagajmy. Obu nam panie radzco, będzie z tém bardzo dobrze... ale wy pewnie z zamku? na Boga, co w zamku? co słyhać?

— Nic, cicho jak w grobie; sposobi się żałoba. Ojciec Guarini przemyka się od kurfirsta do kurfirstowój, Sułkowski na straży stoi od rana, a Brühl nie wiem nawet, co z nim się dzieje...

— Znajdzie się!—szepnął Hennieke.

— Królewiczowa, zszedłszy na kurfirsta żonę i pozbawiona królewskiej korony, podobno temu nie rada.

— To ją Brühl zrobi królową...—rozśmiał się Hennieke.

W tej chwili coś zatętniało pod oknem, oba rzucili się patrzeć; oddział gwardyi już z krepami na rękawach i pookrywanemi krepą zbrojami, pędził ku zamkowi. Kamerdyner dworski w liberyi wielkiej wchodził do kamienicy. Hennieke rzucił się ku drzwiom... Globig wziął za kapelusz... Puknięto, wszedł ogromny mężczyzna z maleńkim biletem w ręku. Hennieke rzucił nań okiem, a Globig z za niego utopił także wzrok ciekawy w karteczce; nie mógł jój jednak przeczytać, bo ją gospodarz zaraz wetknął do kieszeni: zbliżył się do kamerdynera i odprawił go kilka cichemi słowami.

Zostali znowu sami.

— Nie ma w tém tajemnicy—odezwał się Hennieke z uśmiechem—potrzeba wiele pieniędzy, musimy powymieniać zasięki. Nie ma ich, ale muszą być.

Globig i on wzięli za kapelusze oba.

— Hennicke... spodziewam się, że my z sobą zawsze.

— Nawet gdyby padać przyszło?—rzekł u drzwi stojący gospodarz, krzywiąc twarz ironicznie.

— A pocóż—odparł szybko Globig—owszém, gdy jeden pada, drugi powinien zostać i twardo stać, aby go podnieść. Gdy się przyjdzie do góry piąć, to razem.

— A gdy padać, to kułakiem w kark?—spytał Hennicke.

— Nie, tego nie wymagajmy od siebie, cha! cha!—podali sobie ręce.

Hennicke już wychodził, gdy w przedpokoju ukazał się nowy przybylec: postać wysoka, długa, chuda, ręce cienkie, nogi jak laski, twarz przeciągła, niepiękna, ale pełna życia i pojętności.

— Patrzcie! i ten tu!—rozśmiał się Hennicke. Globig uderzył ręką po boku.

Długi mężczyzna wszedł, kłaniając się.

— No, panowie! cóż się dzieje? co? padamy, czy idziemy w górę?

— A niecierpliwi!—krzyknął gospodarz—czekajcie.

— Gdy idzie o skórę—odparł przybyły.

— Panie radzco Loss, nasze skóry wszystkie trzy razem zszyte, jeszcze wygodnego siedzenia by nie pokryły. Na szerszych plecach się tam wszystko rozstrzyga. Słyszeliście co?

— Co? to co wszyscy przewidywali: Sułkowski pierwszym ministrem.

— Ciekawa rzecz?—syknął Hennicke szydersko—Sułkowski katolik w protestanckiej Saxonii nie może być prezydentem rady, chyba by się nawrócił na lutra, a gdyby to uczynił, król by mu w oczy napluł i dał kolanem... nie mówiąc już o królowej.

— A wiesz, że masz słuszość—przerwał Globig—mnie to na myśl nie przyszło.

— Zapomnieliście o tém—zawołał Loss, pokazując długie zęby w uśmiechu—że N. Pan może zmienić prawo.

— Bez zwołania sejmu?—spytał Hennicke.

— Chociażby... jest tu panem—mówił Loss—to przecież nie rzeczpospolita polska, gdzie szlachta robi co chce, a król się kłaniać jój musi.

Hennicke chrząknął, bo chód szybki dał się słyszeć u drzwi i w téjże chwili wchodził już szeroko je otwierając słuszny, barczysty, otyły mężczyzna, który zrazu stanąwszy, kapelusza nawet nie zrzuciwszy i nie witając nikogo, przypatrywał się zgro madzeniu.

Był to trzeci radzca Stammer.

— Cóż to, sejm?—zapytał zwolna, obnażając głowę.

— Niespodziany—przerwał trochę markotno Hennicke— doprawdy, gotowi pomyśleć, że my tu konspirujemy.

— Kto dziś na co patrzy i o czém myśli? to się dopiero zacznie jutro—rzekł Stammer—dziś każdy o sobie duma i rozlicza się z sumieniem, czy przeciwko wschodzącemu słońcu nie zgrzeszył, kłaniając się zachodzącemu; bo to wiadoma rzecz, że stanąwszy twarzą do zachodu, czémś inném musi się człek obrócić na wschód.

Rozśmieli się pp. radzcy.

— Stammer, ty co wiesz wszystko—zawołał Globig—co sły chać?

— Dzwony, dzwony, dzwony!—rzekł Stammer—gdybym co innego i posłyszał nawet, bądźcie pewni, że strzegłbym się cokolwiek mówić: kto dziś z nas wie, co wróg a co przyjaciel? Milczec należy, jedném okiem płakać a drugim się śmiać i cicho, cicho, cicho! Hennicke z kapeluszem...—rzekł po małym prze stanku—wychodzisz?

— Muszę...—przepraszając oczyma przytomnych, odezwał się gospodarz—służba.

— Tak! tak—najważniejsza—dodał Stammer. Każdy służy dziś sobie... nie ma więcej wymagającego pana.

— W istocie, nie wiecie nowego nic?—z cicha rzekł Globig zbliżając się do Stammera.

— Owszem, wiem mnóstwo rzeczy, ale ich nie powiem, z wyjątkiem jednéj wiadomości.

Wszyscy się zbliżyli.

— My Sasi dołem, Polacy górą! Nasze kurfirstowstwo już w kieszeni, więc o nas się nikt nie zatroszczy; ale korony polskiej nam trzeba, więc Sapiehowie, Lipscy, Czartoryscy, Lubomirski, Moszyński, Sułkowski, na przodzie.

— Sułkowskiego położyliście na ostatku?—spytał szydersko Loss... ho! ho!

— Dla tego że on powinien być na początku—rzekł Stammer—a teraz ponieważ czas gorący choć na dworze zimno... żegnam panów.

Włożył kapelusz na głowę i wysunął się pierwszy. Za nim powoli wyszli drudzy. Na ostatku został gospodarz, który znać osobno iść chciał, bo się przypóźnił wydając jakieś rozkazy.

Z bramy domu każdy z nich obejrawszy się ostrożnie, pociągnął w inną stronę.

W rynku tylko kupki ludu i żołnierzy przemaszerowujących widać było. Z równą ciekawością rozpytywano, badano, dowiadywano się po innych domach saskiej stolicy, ale do wieczora nikt nic pewnego powiedzieć nie umiał.

Już zmierzchało, gdy lektyka się zatrzymała przed domem w którym mieszkał O. Guarini. Pokój ten gdzieśmy go widzieli z Brühlem był jego gabinetem. Tu tylko przyjmował poufałych gości, spowiednik królewicza i królewiczowej, najmniej widoczna a największa owa potęga na dworze. Skromnych bardzo obyczajów i wymagań staruszek, nie potrzebował dla siebie rozległego pomieszczenia, ale go przyjęcieličných, dostojnych nieraz gości wymagało. Całe też piętro zajmował Padre, a wedle tego kogo miał u siebie, obchodziło się pokojem w którym na kanapie leżała gitara, lub salonem w surowym stylu umeblowanym, albo pokojami w których mieściła się jego biblioteczka, obrazy i inne zbiory.

Z lektyki wysiadł słusznego wzrostu mężczyzna w ciemnym stroju świeckiego człowieka, ze szpadą u boku. Twarz to była cudzoziemskiego typu, wielce arystokratycznego pokroju, rysów delikatnych i pięknych ale blada i zwiedła. Uśmiech nadzwyczajnej słodyczy i łagodności ją okraszał. Wysokie czoło białe, oczy ciemne wypukłe, nos rzymski, wązkie usta, twarz ogolona starannie, nadawały mu cechę kawalera większego świata. Na ramionach miał płaszcz czarny, a u sukni koronki tylko białe i żadnych świecidełek.

Śmiałym krokiem przebiegłszy wschody, nieznajomy zadzwonił do drzwi, a gdy mu stary sługa Guariniego otworzył, nie pytając i nie oznajmiając się wcale wszedł w głąb sieni.

Co widząc sługa podążył co prędzej otworzyć mu drzwi, nie już gabinetu ale salki gościnnéj O. Jezuity.

Była ona ciemną, przybraną skromnie i pełną pobożnych godeł i obrazów. Trochę pyłu na sprzętach dawało się domyślać że tu mało kto gościł zwyczajnie.

W pokoju tymi teraz nie było nikogo, ale O. Guarini w téjże chwili wyszedł z gabinetu usłyszawszy bieganie i zobaczywszy przybyłego; nieco zdumiony, z największą pokorą zniżył przed nim głowę, założywszy ręce na piersiach.

Przybyły zbliżył się doń i oba pocałowali się w ramiona, ale Guarini zniżył się prawie do ręki.

— Nie spodziewaliście się mnie—rzekł prędko stłumionym głosem gość—ja sam nie wiedziałem że tu dziś będę. Domyślicie się co mnie tu sprowadza... chwila obecna jest najwyższej wagi.

— Wysłałem już wczoraj po instrukcye—odparł cicho gospodarz.

— Ja wam je przywożę.

Każcie zamknąć drzwi wasze...

Musimy być sam na sam.

— Na to nie potrzeba rozkazu—odezwał się Guarini—jesteśmy tu zupełnie bezpieczni.

— Nie traćmy więc czasu! Jak rzeczy stoją? co się święci? obawiacie się czego? potrzeba wam pomocy? mówcie a radźmy zawczasu?

Guarini się zamyślił ważąc co powie.

Chociaż przybyły ubrany był po świecku, jak mówiliśmy, odezwał się doń potem cicho:

— Najprzewielebniejszy Ojcze! Stan dworu jest wam tak dobrze jak mnie wiadomy. Królewicz gorliwym jest katolikiem, królewiczowa, jeśli być może żarliwszą jeszcze. Ulubieniec pierwszy, Sułkowski, katolik także. Wszystko niemal co ich otacza wyznaje świętą wiarę naszą.

— Ale Sułkowski! Słyszę że na nim ma spocząć cała waga przyszłości. Królewicz dobry, słaby, leniwy, powodujący się i pracy nie lubi; za niego więc ktoś rządzić musi.

Jeśli Sułkowski, możemyż mu zaufać?

Guarini zamyślił się, spojrział w oczy przybyłemu, rękę jedną do ust przyłożył i głową potrząsnął.

— Katolik jest—rzekł po chwili—lecz chłodny, ambicja u niego wyżej wiary; wpływ jego dłuższy byłby nam, katolizacji, sprawie nawrócenia zgubnym. Nie ma wątpliwości...

— A jednak, ominąć go, obalić go o ile wiem, niepodobieństwo—zawołał gość—królewiczowa ma-li dosyć siły?

— Z jęj twarzą i z jęj charakterem?—szepnął Padre.— Myślicieź że w tęg spokojnęg, dobręg, zacnęg naturze królewicza nie odezwie się krew Augusta Mocnego i namiętności jego? Czyż to możliwe? Cóż będzie znaczyć królowa? Sułkowski podda mu inne, aby przez nie rządził.

Przybyły zmarszczył brwi i ręce załamał.

— Kreślicie mi obraz nadto smutny—zawołał—na to, bądź co bądź należy szukać rady.

Wcześniej o tęg myślałem—począł Guarini sadzając gościa na kanapie, a sam zajmując krzesło obok niego. Nam przy królewiczu potrzeba człowieka, któryby całkiem był naszym, nam służył, od nas zawisł. Fryderyk jest gnuśny, jemu usłać miękkie łóże, urządzić mu jego uciechy ulubione, dać mu operę, polowanie i obrazy. Któż wie, (westchnął) może cós więcęg jeszcze...

Przybyły brew namarszczył.

— Smutna to rzecz—przerwał—gdy w wielkęg sprawie do małych i wstrętnych środków się uciekać należy; smutna...

— *Cum finis est licitus, etiam media sunt licita*—z cicha zacytował Padre Guarini. Środków nie można ograniczać: każdy wypadek innych wymaga.

— Rozumiem—rzekł gość—sprawa jest zbyt wielkęg wagi, abyśmy nie mieli dla nięj narazić się choćby na potwarze. Idzie o odzyskanie dusz, o utrzymanie się na stanowisku w tęg dawném ognisku ohydnęg herezyi Lutra. Mamy narzędzia, puścić je z rąk dla skrupułów byłoby grzechem; raczęg jedną zgubić duszę, niż poświęcić ich tysiące...

Guarini słuchał z pokorą.

— Mój Ojciec—rzekł z cicha—to wszystko stokroć powiedziałem sobie, dla tego ja w sukni tęg oplwanęg i bez sukni służę jako umiem, nie zawsze jako przewodnik sumienia, często jako pulcinello u królewicza, jako impressario za kulisa-

mi, jako doradzca o mroku tam, gdzie rada potrzebna. Gdy idzie o wzięcie twierdzy, a nie można jej zdobyć siłą, opanowujemy się ją podstępem: *Media sunt licita*.

— My tego, mój Ojcze, mówić sobie nie potrzebujemy — odezwał się gość — odkryjcie mi plany swoje.

— Postępować musimy ostrożnie — począł Guarini — nie gorszcie się nami; nieraz wam tu przyjdzie westchnąć nad przewrotnością naszą, ale ze słabymi ludźmi jakże iść nie wiedząc ich na pasku ich własnych namiętności...

Królewiczowej jesteśmy pewni, ją osłonić i jej wpływ umocnić, gdyby było podobna, to pierwsze zadanie. Ale najświętobliwsza ta pani jest — przebaczcie mi Ojcze — najnieznowniejsza w pożyciu, a król potrzebuje rozrywki, i bez niej nie wyżyje. Jeśli my mu jej nie damy, chwyci najzakazańszą, gotów...

Nie dokończył O. Guarini, a po chwili mówił dalej:

— Sułkowski nikogo słuchać nie będzie, poświęć wszystko sobie, aby króla utrzymać pod panowaniem swém: da mu co zechce. My nigdy pewni jego być nie możemy: musimy go obalić.

— Jakim sposobem?

— Przyjdziemy do tego: narzędzia wyborne dała nam Opatrzność.

Mamy człowieka.

Tym jest Brühl.

— Protestant? — podchwycił gość.

— W Saksonii i jawnie będzie nim, w Polsce i w domu jest katolikiem. Musimy na to dozwolić, wiecie co powiada Maldonatus nasz. *Quando vobis dissimulam tibus religio vera aliquod detrimentum acceptura sit, aut aliqua religio falsa confirmaretur. Alias illam dissimulare licet, aliqua edusa legitima interveniente* ¹⁾.

Brühl będzie a raczej jest katolikiem. Damy mu żonę katoliczkę, którą mieć będzie z ręki królewiczowej i naszej; pomożemy mu do obalenia Sułkowskiego: z nim jesteśmy tu panami.

¹⁾ Joanna Maldonatus. *Summula Coloniae* 1605. P. 3.

Nikt nas nie posądzi o udział w téj sprawie, bo jawnie za protestantem nie moglibyśmy obstawać, przeciwko katolikowi.

— Lecz jesteścież go pewni?

O. Guarini się uśmiechnął.

— Będzie w mocy naszéj, zależnym od nas; gdyby pomyślał o zdradzie, padnie jutro: na to aż nadto mamy środków.

— Plan jest wyborny, nie przeczę—po chwili namysłu przemówił nieznajomy—ale wykonanie jego zdaje mi się wątpliwém.

— Z dziś na jutro niemożliwémby było,—rzekł O. Guarini—rok, może dwa, może więcej pracować będziemy musieli, poruszyć wszystkie sprężyny; ale zwycięstwo tak pewne, przy łasce Bożéj, jak tylko w ludzkich sprawach rachuba pewną być może.

— Opieracie wszystko na charakterze Kurfirsta?

— Tak jest—odpowiedział Guarini—ale ja z nim, przy nim, mogę rzec w nim, jako spowiednik jestem od lat wielu; znam go jak dziecię, którebym wykołysał na rękach.

— Królewiczowa?—spytał gość.

— Święta i zacna niewiasta, lecz Bóg nie dał jéj nic niewieściego i uroku żadnego, władzy żadnéj. Dla takiego pana ona nie starczy.

— Na Boga! przecież nie dopuściecie aby po ojcowsku szalał i siał zgorzenie, i puścił się na rozkiełznaną rozpustę.

— My nie potrzebujemy go wstrzymywać nawet—rzekł Guarini—jego natura powściągnie go od jawnego zgorzenia, ale nie od okiełznania namiętności. Będą one skryte, nałogowe, niewidoczne, a uparte. Musimy wiele znieść i na wiele zamknąć oczy, aby go przy wierze utrzymać.

Przybyły ręce złożył i głową poruszał smutnie.

— O! biadaż tym, co dla świętéj sprawy w kale pracować muszą? I jak się tu nie zwalać? i jak czystym pozostać?

— Kogoś potrzeba przecież coby był kozłem ofiarnym, jak ja nieszczęśliwy—westchnął żartobliwą minę przybierając Guarini.—Zazdroszczą mi ludzie...

— Nie ja—odparł kłaniając się gość—al nie ja...

— Plany więc nasze?—spytał Ojciec.

— Pójdą pod rozpatrzenie rady—odparł przybyły—nie przestawajcie działać, nie wstrzymujcie wykonania. Damy znać coś najbliższego!

— Brühl utrzyma się. Królewicz płacząc to przysiągł żonie, to była wola ojca jego. Sułkowski będzie pozornym władzcą, ów istotnym, a potem...

— Sądzicie że go obalić potraficie?—spytał gość.

— Jesteśmy tego pewni, działamy wszyscy przeciwko człowiekowi, który niema nawet przecucia, nawet idei niebezpieczeństwa, a ambicya Brühla jest dla nas najskuteczniejszém narzędziem.

— A ten człowiek?—spytał nieznajomy.

— Jest to szatan w ludzkiem ciele, ale szatan, który krzyżem leżąc się modli, a jutro nieprzyjaciela zgniecie jak muchę, i nie będzie miał zgryzoty najmniejszej.

Przy tém słodki, miły i ujmujący do najwyższego stopnia.

Zamilkli, przybyły gość zasunął się w głąb kanapy i zadumał.

— Mogę wam czém służyć?—zapytał O. Guarini.

Pytanie to przeszło nie dosłyszane, tak ten do którego się zwracał zatopionym był w myślach.

— Jakże idzie z nawracaniem?—zapytał po milczeniu, które O. Guarini uszanował.

— Z nawracaniem? tu? w samém gnieździe herezyi—rzekł Ojciec—tu, gdzie katolicka kaplica dzwonami odezwać się nie może, gdzie protestantyzm panuje, wre i pożera jak rdza? Postępy są małe, a dusze które nasze sieci rybaczce wyciągają na brzeg, nie wiele przez się warte. Potomstwo ich opłaci chyba trud apostołski. Do innych herezyi nowa nam jeszcze przybywa, z którą walka będzie trudniejszą niż ze wszystkiemi innemi.

— Cóż to jest znowu?

— Jak wszystkie herezye nie nowa, ale ten co apostołuje, człek możny, człek dobrej wiary, natchniony, wyegzaltowany, ofiarny. Nie z dogmatem walczyć mamy, bo u niego dogmat podrzędną sprawą, ale z nową społecznością jaką chce zbudować. Fałsz przybiera tu blask i jasność prawdy. W lasach, w dali od miasta, na wykarczowanych nowinach, gmina

Braci Morawskich, coś nakształt zakonu, ścisłą regułą objętego, już się stworzyła i żyje.

— Cóż to jest? mówcie—z zajęciem podchwycił gość—nie słyszałem nic.

— Dziwny zagorzalec, reformator nie wiary ale społeczeństwa i życia, w imię Zbawiciela i miłości Jego, tworzy świat nowy. Królem téj rzeczypospolitój Chrystus. Osobno rozdzielone, ale w jedném miejscu, żyją chóry niewiast, chóry dzieci, chóry mężczyzn, chóry dzieci. Łączy ich tylko nabożeństwo wspólne i agapy skromne, wieczery ubłogosławione modlitwą. Można pan hrabia Zinzendorf, nadał gminie grunta i sam jest jej kapłanem i kaznodzieją. Praca i modlitwa, ścisła karność i miłość braterska, są prawidłami życia nowój Braci Morawskiej, a raczej Herrnhutów.

Gość słuchał z natężoną uwagą.

— I dopuściliście aby się to gniazdo herezy niebezpiecznej rozsiało tu, gdzie już ona panuje?

— Starąłem się przeszkodzić, dotąd napróżno—rzekł Guarini—zjeżdżały komissye, były badania: Zinzendorf będzie wygnanym...

— Ale tam dźiać się muszą szkarady?—odparł gość.

— Najściślejsze badanie nic nie wykryło zdrownego. Ludzie różnych nawet wyznań, związani w jedną tę dziwną społeczność, która ma majątność wspólną, w której nie ma ubogich, w której sierot nie ma, gdzie jest jedna rodzina pod jednym ojcem Chrystusem...

Wykrzyk podziwu i oburzenia wyrwał się z piersi słuchającego.

— Horrendum!—zawołał—a małżeństwa...

— Jak najostrzej zachowywane, lecz przy ich wierze w bezpośredni rząd Zbawiciela i natchnienie Jego, wiecie jak się one zawiązują?

Młodzieńcy ciągną losem małżonki, a stadła są przykładne.

— Cóż to za dziwne prawicie mi rzeczy; lecz to są zdala pochwycone wieści, to niemożliwe...

— Sam tam byłem—odparł Guarini—sam patrzałem na idące modlić się chóry, na dziewice z ponsowemi wstążkami, na zamężne w niebieskich, na wdowy w białych.

Gość westchnął.—Spodziewam się że nie ścierpicie, aby się to pod bokiem waszym rozrastało.

— Musimy im odciąć głowę—szepnął Guarini—Zinzendorf zostanie wygnanym, gmina się rozpierzchnie.

— Najlepiejbyście uczynili, nasadzając przeciwko nim duchowieństwo luterańskie.

— Ono w tém nic drożnego widzieć nie chce.

— A Zinzendorf, zetknęliście się z nim?

— Tak jest i nieraz, bo nie unika ani katolików, ani duchownych; owszem, rad dysputować, tylko nie o teologii, ale o pierwszych chrześcianach, ich żywocie i miłości Zbawiciela, jako osi, na której świat się chrześcijański obracać powinien.

Mówili jeszcze, gdy staruszek przez półotwarte drzwi pochylił rękę, domagać się, aby O. Guarini wyszedł. Ten pośpieszył do sieni, poprosiwszy wejrzeniem gościa o pozwolenie.

W sieniach stał kamerdyner królewski. Królewicz wzywał do siebie spowiednika swojego.

Trzeba więc było pożegnać gościa, któremu podano światło, papier i co było potrzeba do pisania i rozgospodarował się tu jak we własnym domu. Tymczasem Padre Guarini wkładał suknię swą czarną i pożegnawszy nieznajomego, szybko już poprzedzany przez kamerdynera, śpieszył do królewicza.

W téj saméj salce w której go wiadomość o śmierci ojca zastała, siedział Fryderyk w krześle z nieodstępną fajką, z głową spuszczoną i tak milczący jak zwykle. Pomarszczone czoło tylko świadczyło, że umysł pracować musiał.

Gdy O. Guarini wszedł, królewicz podniósł się szybko; ale jezuita go uprzedził i zlekka na krześle przytrzymał, całując jego rękę. W pewném oddaleniu stał Sułkowski, który na chwilę nie odstępował pana swojego. Twarz jego promieniała tryumfem i niecierpliwością, drgała, ale się nastrojał do obojętnej żałoby.

O. Guarini daleko więcej było wolno, pomimo urzędowego smutku, wiedział iż trocha roztargnienia będzie pożądaną; przybrał więc minę niemal wesołą i przysiadł na niskim tabureciku przy królewiczu, patrząc mu w oczy, mówił po włosku i z żywością Włocha.

— Pomodlić się trzeba za naszego wielkiego zmarłego, ale zagryzać się tém co jest losem nieuchronnym wszystkich

śmiertelnych, co naturalne i konieczne, nie godzi się. Zbyt natężony smutek zdrowiu szkodzi, a W. K. Mośé i czasu nie masz. Trzeba panować, rządzić, a dla nas się zdrowo i czerstwo i wesoło chować.

Królewicz się napół uśmiechnął i głową pokiwał.

— Widziałem w przedpokoju Frosch'a (był to nadworny błazen królewicza), ten teraz jakby go kto w occie namoczył, skulony płacze że się śmiać nie może i że ze Storchem (drugi trefniś) figlów mu płać nie wolno. Jeden w jednym, drugi w przeciwnym kącie, patrzą na siebie i języki sobie tylko pokazują.

— A to musi być pocieszne!—szepnął królewicz—ale mnie tego widzieć niewypada; nawet jutro przy obiedzie; nie, niewypada: żałoba!

Guarini zmilczał.

— Frosch jest bardzo pocieszny, ja go lubię—odezwał się królewicz i spojrział na Sułkowskiego, który się przechadzał pocichu. Padre usiłował coś z twarzy odgadnąć, ale oprócz dumy i zadowolenia w Sułkowskim nic nie dostrzegł. Królewicz wskazał na niego palcem Guariniemu i krótko szepnął:

— Dobry przyjaciel... w nim nadzieja... gdyby nie on, nie byłoby spokoju.

Ksiądz głową tylko skłonił potakując.

Wtém Sułkowski, który wiedział jak królewiczowi długa rozmowa była uciążliwą, przystąpił do Guariniego:

— Pana naszego niczém rozerwać—rzekł—a tu trosk tyle...

— Ja sądzę—ozwał się jezuita—że przy waszej chętniej pomocy, wszystko się ułatwi.

— Tu, w Saxonii zapewne—odparł Sułkowski, na którego królewicz patrzył i dawał znaki zgody—tu w Saxonii, ale w Polsce...

— Świątój pamięci król zostawił tam przyjaciół i sługi wierne. Ks. biskup Lipski. Cóż mówi Brühl?—zapytał Guarini...

Królewicz spojrział na Sułkowskiego, jakby mu wzrokiem dawał pełnomocnictwo do opowiadania. Sułkowski na wspom-

nienie Brühla, chwilę się krótką zawahał, lecz natychmiast dodał:

— I Brühl i listy z Polski świadczą, że nasi adherenci wiernie i gorliwie około elekcyi pracować będą. Ale któż wie czy nam w drogę nie wejdzie Leszczyński, pomoc Francyi, intrygi? Na to potrzeba pieniędzy.

Królewicz uderzył zlekka po rękę Sułkowskiego.

— To Brühl musi dostarczyć: on do tego jedyny.

Sułkowski zamilkł.

— Będziemy się o nie wszyscy starali, a królewską koronę włożyć musimy na skronie pana naszego...

— I Józefiny—dodał Fryderyk prędko. Józefinie się to należy. Ona nie może kurfirstową pozostać.

Oba przytomni milcząco skłonili głowy, królewicz zadumany fajkę palił. Zdawało się że dalej mówić będzie w tym przedmiocie, gdy pochyliwszy się do ucha O. Guariniemu, szepnął:

— Frosch w kątku, na pokucie musi być paradny? Mówicie że oni sobie języki pokazywali!

— Albo sobie albo mnie, ale to pewna, że dwa czerwone jęzory ich widziałem.

Zapomniawszy się królewicz głośno się rozśmiał, rękę do ust przyłożył i zawstydzony zamilkł nagle. Sułkowski stał zamysłony i nieco zgorzszony spojrzął na księdza.

Upłynął moment jakiś, gdy Fryderyk pochylił się znowu do ucha Ojca, zasłaniając ręką.

— Widzieliście Faustyne?—zapytał.

— Nie—rzekł Guarini.

— A? nie? dlaczego? powiedzcie jój, zapewnijcie ją, niech tylko głos szanuje. Ja ją szacuję wysoko, wysoko. *E una diva!* głos anielski; żadna jój niezrówna. Jak mi będzie tęskno za jój głosem; ale musi teraz śpiewać w kościele: niech ją choć tam usłyszę.

Sułkowskiemu ten szepł był jakoś nie miły; odszedł kroków kilka na bok, lecz się wprędce wrócił, stając z nowu przed królewiczem. Fryderyk wskazał na niego księdzu.

— On będzie pierwszym moim ministrem... prawa ręka moja.

Guarini cicho uderzył w dłonie.

— Z rozkoszą tę wiadomość szczęśliwą przyjmuję—zawołał—bogdaj doczekała tego Saxonia, aby w niej tacy ludzie jak hrabia i tacy katolicy wszyscy stali na czele rządu.

Królewicz się obejrzał.

— Jeśli mu nie dadzą moje Sasy—jako katolikowi ministrować—znajdę na to sposób: poczciwy Brühl zrobi co mu każę...

— Nie ujmuję bynajmniej Brühlowi—odpowiedział Guarini—ale to zapamiętały heretyk.

Na to królewicz jedném tylko, ee! odpowiedział i ręką w powietrzu zamachnął—ee!

Sułkowski niedowierzająco spojrział na Guariniego, który postawę ułożył skromną i spokojną.

Wśród téj rozmowy oznajmiono Moszyńskiego, którego król wpuścić kazał. Wszedł pan podskarbi i zbliżył się do reki królewskiej. Cały był ubrany żałobno, smutek téż miał na twarzy.

— Chciałem pożegnać W. Królewiczowską Mość—odezwał się—jadę natychmiast do Warszawy: sprawy elekcyi przyszkłej zasypiać nie można.

— A jedź, jedź, owszém—rzekł wdychając królewicz—chociaż Brühl mi ręczy...

— Brühl ani Polski ani Polaków nie zna—żywo odezwał się podskarbi—to nasza sprawa i nasza rzecz.

Nagle jakby sobie co przypomniał, Fryderyk wstał bardzo ożywiony.

— Al dobrze, jedziecie do Warszawy: zmiłuj się, te gończe psy które w Willanowie zostały... Ja je chcę mieć! każcie mi je przywieźć pocztą. Nie znam psów lepszych nad te. Wiecie...

— Wiem, czarne—rzekł Moszyński.

— Jupiter, Dyana, Merkury, Pijawka—począł liczyć królewicz. Co się stanie z myślistwem! dojrzyjcie proszę, żeby to całe wróciło.

— Ja sędzę że trzebaby to tam zostawić—odezwał się podskarbi—gdy królewicz jako król tam powróci...

— Mój drogi i z pałacu saskiego w bawełnę mi ją obwiń, Magdalene, a przywieź. Nuż jój się tam co stanie. To dzieło nieoszacowane.

Moszyński się kłaniał.

— Może jeszcze są jakie rozkazy?—zapytał.

— Kłaniaj się Muszkieterom: ojciec mój tak ich lubił. Westchnął.

Pamięć ojca chmurą osłoniła znowu czoło, królewicz usiadł: Sułkowski pilny o to, aby mu nie zbywało na tém co lubił, poszedł skinąć na Czybukczego kamerdynera, który fajkę nową podał i fidibus zapalony. Królewicz pochwycił chciwie w usta tę pocieszycielkę i żwawo pykając dym puszczać począł.

Milczenie panowało w salce.

O. Guarini przypatrywał się bacznie Fryderykowi. Moszyński zdawał się czekać, ale na próżno; fajka i zaduma tak zajęły dostojnego pana, że o nim i o wszystkich zapomniał. Niekiedy tylko dym puszczał silnie i wzdychał.

Naostatek podskarbi zbliżył się ku ręce pańskiej i pożegnał. Fryderyk z powagą i przyjacielskim wyrazem z nim się rozstał, ale więcej wzrokiem niż mową go żegnał...

Sułkowski przeprowadzał go do przedpokoju, zostali więc sami z ojcem Gaurinim. Za ledwie drzwi się zamknęły, gdy królewicz zwrócił się do siedzącego Ojca.

— To jeszcze nic — szepnął — jak oni sobie pokazują języki; ale gdy się zaczną bić, gdy Frosch pocznie łajać Storcha, a ten go kopać, a wpadną pod stół i zwiną się w kłębek, a to ci powiadam umierać trzeba ze śmiechu.

Guarini zdawał się zupełnie podzielać przekonanie królewicza o niezmierniej komiczności opisaney sceny i sam zrobił minę tak pocieszną, tak wesołą, iż biedny osierocony syn znowu zapomniał trochę o swój żałobie.

— Nie, jutro do stołu puszczać ich nie można, ale później! — rzekł cicho — później, byle tylko tych doskonałych figlów nie pozapominali.

Guarini wstał: pilno mu znać było do pozostawionego w domu gościa. Widząc ten ruch, królewicz zmienił ton, nachylił mu się do ucha i rzekł:

— Nie gniewajcie się że ja tego Brühla, choć lutra, zrobię ministrem. On się pocichu nawrócił to człowiek rozumny i ja mu każe: zobaczycie.

Guarini nie odpowiedział nic, pokłonił się tylko i wyszedł pocichu.

VIII.

Nie zbywało Dreznu za czasów Augusta Mocnego na pięknych paniach. Mimo smutnych doświadczeń niestałości królewskiej, każda z nich pochlebiała sobie że choć na chwilę zwróci na siebie oko, choć wszystkie wiedziały iż się ono na żadnej długo nie zatrzyma. Z dorastających panien nie było wszakże piękniejszej, zalotniejszej, żywszej i więcej umiejaczej się podobać nad pannę hrabiankę Franciszkę Kolowrath, tę małą Franię, która przyjmowała Brühla niegdyś w pałacu na Taschenbergu, którą widzieliśmy już gospodarzącą w czasie karnawału przy jednym z królewskich stołów. Wysokie stanowisko matki, która będąc wielką ochmistrzą dworu królewiczówny, nie ustępowała przed nikim kroku, tylko przed książętami krwi; łaski królowej, nadzieje świetnej przyszłości, imię które nosiła, czyniły dziewczę dumnym i samowolnym. Im bardziej dorastała, tém matce trudniej ją było prowadzić. Jedyńca i ulubienica, mimo surowego wejrzenia królewiczówny, umiała się wyswabadzać z więzów etykiety i wśród dworu zawiązywać liczne stosunki i zabawne miłosne intryżki. Przyszłość nie zdawała się jęj tak dalece obchodzić, ani przestraszać. Małżeństwo uważała za oswobodzenie od jarzma, które jęj wielce ciążyło.

W kilka dni po przyjściu wiadomości o śmierci króla, gdy dwór ciężką jeszcze okryty był żałobą i wszelkie zabawy wstrzymane być musiały, panna Franciszka nudziła się więcej niż zwykle. Czarne suknie, które włożyć musiała, jako frejlina królewiczówny, były jęj wielce do twarzy, lecz nie do smaku. Właśnie pod wieczór w pokoiku swoim stała w nich przed zwierciadłem i rozpatrywała się w swęj pięknej figurze i twarzy.

Przez okna wpadał mrok szary i zamdloną tylko postać swą widziała odbitą. Zadzwoiła o światło, lecz wchodzący kamerdyner, który się domyślił żądania, niósł już w obu rękach srebrne ciężkie lichtarze, które na stole postawił. Frania była sama, hrabina matka pełniła swą służbę przy królewiczowej, ona była wolną aż do wieczery i nie dobrze wiedziała co zrobi z czasem tak długim. Zakręciła się po pokoju, oko jój padło na szkatułeczkę bronzami okutą; wzięła ją z małego stoliczka i przeniósłszy na stojący przed kanapą, otworzyła kluczykiem, który znalazła przy sobie.

Wewnątrz pełno było drobnych klejnotów i pomiętych papierków. Hrabianka drobnymi paluszkami poczęła je przebierać od niechcenia. Z powierzchowności odgadnąć było łatwo, iż liściki te nic bardzo pobożnego nie zawierały, były to modlitwy do tego bóstwa, co je teraz z dziwném uczuciem dumy i pogardy rozpatrywało.

Niektóre z nich odrzucała z uśmiechem nie czytając, inne rzuciwszy na nie okiem, szczęśliwsze odczytywała oczyma błyszczącemi i zamyślała się nieco. Tak przetrząsała szkatułkę do dna, ręką niecierpliwą wcisnęła papierki wszystkie nazad do niej i zamknęła ją nagle, a sama rzuciła się na kanapę zamyślona. Na paluszkach jój błyskał tylko wyjęty mały pierścionek, na który patrzyła okiem smętném. Była to obrączka czarno smelcowana, stara, nie ładna, ale złotemi głoskami stało na niej nie zgrabnie po hiszpańsku: *A hora y siempre...*

W pokoiku panny Franciszki oprócz drzwi głównych wiodących do mieszkania z matką wspólnego, były maleńkie ukryte i nieznaczne w ścianie, które wychodziły do małej sionki i na boczne jakieś schodki. W chwili gdy się nad tym pierścieniem zadumała, cicho się otworzyły: ostrożnie ktoś wejrzał niemi... nie słysząc go odgadła hrabianka, zwróciła głowę, postrzegła... i ze stłumionym okrzykiem wstała z kanapki. Drzwi uchyliły się zwolna i piękny, młody Watzdorf stał przed nią. Widzieliśmy go u Faustyny pozwalającego sobie zbyt śmiałych sądów i sarkazmów. Dzisiaj ta twarz zwykle szyderska miała wyraz inny, była prawie smutną i zadumaną; lekki odcień ironii, którą przesiąkła, zaledwie na niej pozostał.

Piękna Frania, jakby przestraszona przyjściem jego, stała milcząca nie poruszając się z miejsca.

Watzdorf oczyma ją błagał o przebaczenie.

— A! czy się to godzi Krystykanie!—zawołała wreszcie głosem rzeczywiście lub sztucznie poruszonym—jak można się ważyć, ludzi pełno. Ktoś może zobaczyć: donieść. Królewiczowa tak jest surową, moja matka...

— Nikt mnie widzieć nie mógł—odparł zbliżając się Watzdorf.—Franiu, bóstwo moje! siedziałem wypatrując godzinny skurczony pod wschodami, nie wiem już jak długo, ażeby choć chwileczkę widzieć ciebie, pomówić z tobą. W. Ochmi-strzyni czyta lub modli się z naszą panią: niema nikogo.

— A! te wiecznie kradzione chwile—zawołała Frania—ja takiego złodziejskiego szczęścia nie lubię.

— Cierpliwości, nim inne przyjdzie; cierpliwości—rzekł Watzdorf, zbliżając się i biorąc ją za rękę—mam nadzieję...

— A ja, żadnej—przerwała hrabianka—mną rozporządzą, czy zechcą czy nie, jak bezwładnym sprzętem. Królewiczowa, królewicz, matka, Padre Guarini: któż wie, jam niewolnica!

— Więc uciekajmy ztąd?

— Tak? dokąd?—śmiejąc się zawołała Frania—do Austrii, gdzie nas złapią cesarscy, do Prus, gdzie pochwyca brandeburczycy. Uciekajmy? to dobrze! z czém? jak? Ty Krystykanie nie masz nic oprócz swojego miejsca na dworze, a ja nic oprócz łaski cesarza i królewiczowój.

Watzdorf się zamyślił.

— Ależ serce twój matki...

— Tak! ale to serce szukać będzie dla mnie szczęścia z brylantami, a innego nie zrozumieć.

— Franiu, bóstwo moje! co mówisz? jaką dziś dla mnie jesteś? po toż przyszedłem, abyś mi odbierała nadzieję?

— Mogę ci ją dać, gdy sama jej nie mam?—odezwała się hrabianka jakoś smutnie i zimno.

— Bo nie kochasz mnie?

Piękna Frania z wymówką spojrzała na niego.

— Nikogo nie kochałam nigdy prócz ciebie!—rzekła—nikogo kochać nie potrafię i dlatego że ku tobie mam miłość, chcę z tobą mówić otwarcie.

Watzdorf sparł się jedną ręką, na kanapie i oczy w ziemię spuścił.

— Rozumiem — mruknął — zechcesz mi dowieść, iż dlatego żeś mnie kochała nie możesz być moją, a ja się ciebie wyrzec powinienem. Taką bywa logika miłości na królewskich dworach. Dlatego że ja cię Kocham, że ty mnie Kochasz, musisz pójść za innego...

— Tak jest, muszę za pierwszego lepszego, którego mi dadzą; ale ten serca mojego mieć nie będzie, tylko zimną rękę...

— To ohydne — przerwał Watzdorf — to obrzydliwe: nie masz nic dla mnie poświęcić.

— Bobym cię zgubiła — zawołała Frania — jutro w ucieczce pochwyconoby nas i tybyś poszedł na Königstein, a mnie danoby temu, komu ich fantazyja przeznaczy.

— Ja zdaje mi się bądź co bądź na Königstein się dostanę — zawołał Watzdorf — nie mogę wstrzymać ust patrząc na to potworne życie, na ten despotyzm lokajów. Mówię co myślę, a to jest, jak wiecie, doskonały środek dostania się tam, gdzie się już nie mówi, chyba do czterech zimnych ścian więzienia.

— Słuchaj Krystyianie, zamiast mówić, milczeć powinniśmy — odezwała się Franciszka — zamiast chcieć ich poprawiać, gardzić nimi i panować im.

— Poddając się ich fantazyjom i kłamiąc całe życie, oszukując ich, a brucząc siebie — rzekł Watzdorf — to śliczne życie!

— Więc lepiej wyrzec się wszystkiego? — rozśmiała się Frania — ja, kobieta, nie jestem tak tragiczną, biorę życie jak ono jest.

— Ja niem gardzę — mruknął Watzdorf.

Hrabianka podała mu rękę.

— Biedny ty zapaleńcze! — westchnęła — A! jak mi żal ciebie i siebie: żadnej przyszłości, żadnej nadziei... a jeśli nam błysnie chwila szczęścia, to wśród fałszu i oszukaństwa.

Powoli zbliżyła się ku niemu, położyła rękę na jego ramieniu, a drugą objęła go za szyję.

— O! to życie — szepnęła — to życie, aby je znieść, pijanym być trzeba...

— I oszustem!—dodał Watzdorf, który rękę jęj pochwycił i namiętnie ją do ust przyciskał.—Franiu! nie, ty mnie nie kochasz, ty kochasz więcj życie nademnie: świat i złote pęta twoje.

Hrabianka milczała smutnie.

— Któż to wie—poczęła cicho—ja sama nie znam siebie, mnie wychowano kołyszając fałszem i ucząc kłamstwa, a budząc pragnienie wrażeń, roztargnień, rozkoszy, zabawy. Ja mojego serca nawet nie jestem pewną, byłam zepsutą nim żyć zaczęłam.

— Miłość nas oboje powinna była poprawić—patrzac w jęj oczy, począł Watzdorf namiętnie—i jam był dworakiem, póki nie kochałem ciebie... przez tę miłość stałem się człowiekiem, w jęj ogniu oczyściłem się.

Cichym szeptem odpowiedziała mu hrabianka, sparła się na jego ramieniu, głowę pochyliła ku niemu; Watzdorf zdawał się zapominać o całym świecie: ona także. Oczy ich rozmawiały z sobą więcj niż usta; ręce, które się spotkały i splotły.

Zapomnieli się tak oboje, że ich nawet ostrożnie otwierające się drzwi, któremi Watzdorf wszedł nie rozbudziły, gdy w nich groźna, ponura, blada i gniewna pokazała się twarz matki. Weszła ona i stanęła jak osłupiała widząc córkę z mężczyzną, którego poznać nie mogła... Gnięw słowa jęj wyrzec nie dawał, z osłupienia wychodząc, posunęła się krok i nim ją postrzeżono, szarpnęła za rękę Watzdorfa. Wzrok jęj straszny był, usta drżały; Frania podnosząc oczy zobaczyła to piorunujące oblicze matki przed sobą. Nie przerażona nięm jednak, zwolna cofnęła się krok tylko, gdy Watzdorf machinalnie rękę szukał szpady, jeszcze niewidząc kto ich naszedł.

Dopiero zwróciwszy się, gdy ujrzał hrabinę, stanął blady i milczący, jak winowajca na uczynku pochwycony.

W. Ochmistrzyni w gniewie odezwać się nie mogła, chwyciła powietrze, cisnęła pierś ręką, a drugą wskazywała nakazująco drzwi.

Watzdorf wprzód jednak nim spełnił ten rozkaz, schylił się do ręki Frani, która się wyciągnęła ku niemu i przyłożył ją do ust, w chwili gdy matka mu ją wydarła, stanęła zasłaniając córkę i cała trzęsąc się wciąż drzwi pokazywała. Krystyan

spojrzał na bladą hrabiankę i wyszedł powoli. Ochmistrzyni padła na kanapę... Frania pozostała jak posąg zimna i obojętna, twarzyczka jęj tylko bladością się okryła. Hrabinię z gniewu łzy spłyęły po twarzy.

— Bezwstydna! — zawołała—do tegoż więc doszło, że w swojém mieszkaniu pozwalasz sobie dawać schadzki mężczyznom! w obliczu całego dworu!

— Bo go kocham!—odpowiedziała chłodno córka—tak: kocham go!

— I śmiesz mi to mówić! wyrodna!

— Dlaczegożbym nie miała mówić, co czuję?

Hrabina łkała milcząc.

— I myślisz że ja na to dozwolę? że dla tęg głupiej miłości, dla takiego chłystka, który jest ledwie cierpiany na dworze, twoją przyszłość poświęcę? Nigdy w świecie!

— Jam się wcale tego nie spodziewała, ażebym być mogła szczęśliwą i uczciwą—odpowiedziała zimno hrabianka—los mój mogłam przewidzieć z góry.

— Tyś oszalała!—zawrzała matka.

Frانيا usiadła w krzesle naprzeciw nięj, ze stojącego na stole bukietu kwiatów wzięła machinalnie jeden i do ust go poniosła.

Zimna, szyderska rezygnacya biła z jęj twarzy, spojrzenie matki spodziewało się innego wrażenia i cofnęło przelękłe.

— Szczęściem, mógł wyjść nie widziany — poczęła jakby sama do siebie—jutro te drzwi zabić każę, a ciebie zamknę jak niewolnicę.. Mogłam się spodziewać dożyć tego...

Frانيا wciąż kwiatek gryząc zdawała się gotową na wysłuchanie wszelkich wyrzutów, jakie się matce czynić jęj podobało.

To milczenie prawie pogardliwe dziecka, gniew jeszcze większy oburzało w hrabinię. Zerwała się z siedzenia i wielkimi krokami chodzić zaczęła po pokoju.

— Jeśli Watzdorf waży się jeszcze raz zbliżyć, przemówić, spojrzeć na ciebie, biada mu! padnę do nóg pani, powiem Sułkowskiemu, zamknę go na wieki!

— Nie spodziewam się, ażeby się na to naraził—odezwała się hrabianka—właśnie mu dziś wszelką odjęła nadzieję; powiedziałam mu że sobą nie władnę, że mną jak niewolnicą rozporządzą, że pójdę za kogo mi każą, ale jego kochać będę...

— Mnie to śmiesz mówić?...

— Jeszcze raz mamie powtórzę, jestem otwartą, mówię co myślę. Ten co się zemną ożeni, będzie wiedział czego się ma po mnie spodziewać.

Hrabina matka rzucała na córkę dziwne wejrzenie groźby pełne, ale zmilczała.

Nagle z załamaniem rękami stanęła przed Franią.

— Niewdzięczna! niewdzięczna! — poczęła głosem czulszym — właśnie w chwili gdy ja ci z panią naszą najświetniejszy los starałam się przygotować... ty....

— Ofiary w złotogłów ubranej — śmiejąc się gorzko odpowiedziała Frania — tego losu jam dawno miała przecucie. Los ten mnie minąć nie mógł.

— I nie minie cię, bo wiesz że woli pani twój opierać się nie możesz, ani woli matki, ani woli pana.

— Który żadnej woli nie ma — szepnęła hrabianka szydersko.

— Milcz! — przerwała groźnie hrabina. — Szłam ci o szczęściu oznajmić, a znalazłam wstyd i hańbę!

— Mnie nawet oznajmywać nie potrzeba o tém o czém wiem dobrze. Sułkowski żonaty, więc zapewne przeznaczoną jestem za żonę drugiemu ministrowi króla, Brühlowi. Tegom się oddawna spodziewała. Rzeczywiście szczęście to wielkie!

— Większe niżeliś zasłużyła — odpowiedziała matka. — Cóż możesz mieć przeciw temu najmilszemu, najrozumniejszemu z ludzi?

— Nie a nic, jest mi tak obojętnym jak najgłupszy i najobrzydliwszy. On, inny, wszystko mi jedno, jak tylko nie ten którego kocham.

— Nie mów mi nawet, nie waż mi się wspomnieć jego imienia: ja go nienawidzę. Jeśli się ośmieli krok uczynić, zginie!

— Przestrzegę go — zimno odparła Frania — nie chcę by ginął; chcę by się za mnie pomścił.

— Nie waż się zbliżyć ani mówić do niego: zakazuję...

Frانيا zamilkła.

Rozmowa przerywana w tym tonie trwała jeszcze z pół godziny. Wielka ochmistrzyni nawykła do porządku dworu postrzegła

z przerażeniem iż pięć minut upłynęło jak powinna była być u królewiczowej, i rzuciła się do zwierciadła.

— Idziesz ze mną—odezwała się rozkazująco do córki—królewiczowa kazała ci przyjść. Wiész jak powinnaś się znaleźć.

Była to godzina wieczery, wrędcę po tém, obejrawszy córki ubranie, ochmistrzyni wyprowadziła ją z sobą.

Ścisła i nienaruszalna etykieta dworu, której królewiczowa Józefa strzegła pilnie i którą zaprowadziła na wzór dworu austriackiego, nie dopuszczała nikomu zasiadać do stołu pańskiego, oprócz pierwszych ministrów. I tych nawet Józefina widziała okiem dosyć niechętném. Ochmistrzyni, marszałkowie, wyżsi dostojnicy którzy się znajdowali w chwili wieczery, odchodzili do osobnego stołu marszałkowskiego w drugiej sali. Tego dnia królewicz sam jadł z królową. Ojciec Guarini który wieczery nie jadł, opodal siedział na taburecie, dla czynienia towarzystwa. W zwykłych dniach mniej żałośnych, zabawiał on Fryderyka wesołemi żarcikami, równie jak dwaj jego trefnisie Frosch i Storch. Najczęściej bili się oni i wygadywali błazeństwa, a królewicz śmiał się, podjuzał ich i był naówczas w najlepszym humorze. Żałoba świeża nie dopuszczała teraz aby trefnisie wrócili już do swych obowiązków, ze względu jednak na potrzebę rozerwania Fryderyka i rozchmurzenia posępnego czoła, Guarini dozwolił aby Frosch i Storch znajdowali się w kącie sali, nie dopuszczając się zwykłych figlów. Postawiono ich tak aby królewicz zaraz mógł zobaczyć. Stół zastawiony był paradnie, oświecony rześisto. Fryderyk wszedł podając rękę żonie, której twarz dziwnie pospolita i nie piękna odbijała przy wypogodzonej i wspaniałej, rysów regularnych, ale jakby zastygłej twarzy męża. Typ habsburgski w Józefinie wyraził się jak mógł najniekorzystniój, młoda jeszcze, nie miała wdzięku młodości: obwisła wargą, chmurne oblicze, coś surowego a gminnego odstręczało od niej.

W czasie gdy O. Guarini odmawiał *Benedicite*, oboje królewiczowstwo ze złożonemi stali pobożnie rękami, służba czekała. Fryderyk usiadł roztargniony, ale w tym samym momencie wzrok jego błędząc po sali padł na stojących w kącie Froscha i Storcha, którzy oba zrobili miny tak poważne, tak nadęte, że się przez to śmieszniejszemi stali niż kiedykolwiek.

Frosch był prawie karłowaty.

Storch niepomiernie wysoki a chudy, z długim nosem, oba jednakowo ubrani; choć cały dwór przywdział żałobę, mieli na sobie fraki ponsowe i pluszowe spodenki niebieskie. Na głowie Froscha siedziała peruczka w drobne loczki fryzowana pocięsznie, jak skórka barania, u Storcha była ona złożona z płasko spadających włosów, z tyłu ujętych w haarbeutel. Frosch stał jak kolos Rodyjski rozkraczony z rękami na plecach założonemi, a oczy wypukłe i twarz mopsowata istotnie coś mu żabiego nadawały. Storch wyprostowany jak świeca, nogi obie ściśnięte jak u grenadyera na straży, ręce wzdłuż boków obwisłe, głowa do góry zadarta, usta podniesione, bardzo też był zabawny.

Królewicz zobaczywszy ich uśmiechnął się, ale im pogroził zdala aby się zachowali spokojnie. Storch nie poruszając się odpowiedział oczy tylko znacząco zwracając na Froscha, a Frosch tak samo na Storcha.

Z wielkim apetytem pijąc i jedząc zapamiętałe i chciwie, królewicz ciągle spoglądał na swych dwóch faworytów; bolało go to że im cugli nie mógł popuścić, ale wrzawaby się stała nieprzyzwoita, bo Frosch i Storch czasu obiadu dopuszczali się takich swawoli, iż nieraz w kłębek się zwinawszy, toczyli aż pod stół pański.

Sam ich widok już wprawił królewicza w humor nieco wesejszy. Oprócz tego cieszyło go iż Brühl i Sułkowski tak się z sobą doskonale godzili, Brühl bowiem dobrowolnie, heroicznie bardzo, złożył wysoki urząd wielkiego ochmistrza dworu, aby król mógł nim przyoblec Sułkowskiego, a sam ograniczył się prezydencją rady ministrów, akcyzą, cłami, podatkami i czuwaniem nad skarbem państwa. Miało to być tylko formalnem. Sułkowski się spodziewał iż wszystko trzymać będzie we wszechwładnej dłoni.

Lecz przyszłość była zakrytą.

Brühl oświadczał się z jak najczulszą przyjaźnią dla towarzysza swych trudów, a hrabia też będąc serca pana swojego pewnym, wcale się rywala nie spodziewał.

Zdawszy wszelkie troski na tych dwóch ludzi, królewicz jakby zrzucił brzemię z ramion, czuł się spokojnym, mógł po-

wrócić do ulubionego, jednostajnego życia. Brak mu tylko było jeszcze opery i ulubionej równie jak ojcu, Faustyny, brak było łowów i ciężka żałoba. Ale to wszystko przyjsć miało wkrótce do porządku. W polsce Moszyński, biskup Lipski i mnodzy inni zwolennicy mieli sami postarać się o elekcyą, a Brühl téż za nią zareczał.

Zaraz w kilka dni po odebraniu wiadomości o śmierci ojca, oświadczył Fryderyk iż wszystko co ubóstwiony przez niego, August Wielki uczynił, rozpoczął, postanowił, pozostanie w swój sile i w niczém się zmieniać nie będzie. Kraj który się spodziewał odetchnąć, wkrótce téż nabrał smutnego przekonania iż dlań nic się nie zmieni. Podatki tylko żywo bardzo ściągać zaczęto. Tego wieczora królewicz zaraz po kolacyi odszedł z Sułkowskim do swoich pokojów, Brühl za nimi pociągnął.

W drugiej sali zebrane było szczupłe gronko osób dworu Józefiny, a między niemi żartobliwie, rzucając słówkami, przechadzał się O. Guarini. Przemówiwszy zaledwie słów kilka do przytomnych, królewiczowa dała znak ochmistryni i weszła do swojego gabinetu. Za nią w ślad hrabina Kolowrath udała się, rozkazując córce, aby jój towarzyszyła.

Józefina stała, jakby przygotowana do czegoś w środku salki. Frania weszła za matką, nie okazując ani trwogi, ani niepokoju. Królewiczowa dała jój znak, ażeby się zbliżyła.

— Moje dziecko—rzekła głosem suchym i niemłym—czas pomyśleć o twym losie... ja się chcę nim zająć.

Lękając się odpowiedzi niewłaściwej, matka podchwyciła:

— Wieczną wdzięczność winniśmy majestatowi.

— Wiem, że jesteś gorliwą katoliczką—dodała królewiczowa—i dlatego cię najprzód zapewnić muszę, że przyszły twój, chociaż mu się los nieszczęśliwy nie dał urodzić w świętej wierze katolickiej, przyjmie ją. Będiesz więc miała tę pociechę, że jedną duszę zyszczesz Bogu.

Frانيا słuchała obojętnie, zdało się, że pociecha ta małe na niej czyniła wrażenia.

Królewiczowa spozrzała i nie mogła wyczytać nic z młodej téj twarzy zastygłej.

— Mogę ci powinszować wyboru—dodała—wyboru, który matka i ja uczyniłyśmy; człowiek przeznaczony dla

ciebie, jest znakomity pobożnością, charakterem i rozumem: jest to minister Brühl.

Znowu spojrzą Józefina, Frania stała niema.

— Trzeba, abyś mu się dozwoliła zbliżyć do siebie, abyście się wzajem poznali lepiej i ocenili, a mam nadzieję, że będziesz szczęśliwą.

Matka popchnęła córkę do ucałowania ręki Józefiny, Frania dała się posunąć, pochyliła głowę i odeszła, nie rzekłszy słowa. Nie mogło to być za złe wziętém młodemu dziewczęciu.

Na tém skończył się ten dzień pamiętny w życiu kobiety, która z obojętnością na przyszłość patrzyła.

Nazajutrz zapewne z natchnienia matki i za jęj wiedzę Brühl rano, gdy hrabianka była samą, kazał się jęj zameldować. Po namyśle odpowiedziała, że go przyjmuje. Przyjęła go nawet w tym samym pokoju swoim, w którym wczoraj wsparta na ramieniu Watzdorfa, żegnała się ze szczęścia nadzieją.

W żałobnym stroju było jęj do twarzy, piękność jęj świetniejszą jeszcze wychodziła na tle tych czarnych sukni i zasłony. Oprócz bladoci nie miała na sobie żadnej oznaki cierpienia; chłodna, zuchwała rezygnacya nadawała rysom coś rozkazującego i przejmującego.

Brühl, który był jednym z najwybredniejszych elegantów swojego czasu i przywiązywał wielkie znaczenie do stroju, tego dnia, choć w grubęj żałobie ubrany był z troskliwością szczególną. Wdzięczna jego twarz i postać, aż do zbytku niewieścio i pieszczono się wydawały. Uśmiech, który z ust jego nie schodził, towarzyszył mu od progu. O ile Frania była poważną i zamysłoną, o tyle on chciał być wesołym i szczęśliwym.

Pospiesznym krokiem zbliżył się do stołu, za którym siedząc, hrabianka z lekka głową go przywitała i wskazała mu oddalone nieco krzesło.

— Widzę, że pani dla harmonii do żałoby, jaką nosimy— rzekł Brühl—i twarz dziś przybrałaś smutniejszą, niż kiedy, a ja... ja...

— Pan jesteś dziś weselszy, niż kiedy—przerwała Frania—cóż to go czyni tak szczęśliwym?

— Spodziewam się, że pani już jesteście o tém uwiadomiona—podchwycił Brühl, podnosząc ręce ku piersi.

— Nie grajmy komedy—zawołała Frania—ani pan mnie, ani jabym go nie oszukała. Każą mi iść za pana, gdy ja kocham innego; każą się panu żenić ze mną, choć kochasz inną. Nie są to rzeczy wesołe.

— Ja! kocham inną!—niby zdziwiony odparł, cofając się Brühl.

— Pan kochasz oddawna i zapamiętała Moszyńską: o tém wie zdaje mi się ona, mąż i cały świat, a chcesz pan, żebym ja, żyjąc na dworze, nie wiedziała o tém?

— Jeśli hrabianka chcesz, abym wyznał, że ją kochałem... odezwał się Brühl.

— O! stara miłość nie rdzewieje—dodała Frania.

— Pani się przyznałaś także.

— Tak, ja się nie taję, że kocham innego.

— Kogo?

— Nie potrzebuję zdradzać jego i mojej tajemnicy... dosyć żem szczerą i oznajmuję mu o tém.

— To dla mnie smutne bardzo!—zawołał Brühl.

— Ale nieskończenie smutniejsze dla mnie—dodała hrabianka. Nie mógłbyś pan znaleźć sobie innej, którąbyś uszczęśliwił?

Spojrzała nań, Brühl się zmieszał.

— To wola królewicza, królewiczowej.

— Ojca Guariniego i tym podobnie—podchwyciła hrabianka—rozumiem, więc to nieodwołalne?

— Pani—rzekł przysuwając się z krzesłem Brühl—ja mam nadzieję, że zasłużę na jej względy... ja...

— Ja nie mam najmniejszej nadziei—poczęła Frania—lecz gdy małżeństwo jest tak w górze postanowione i ma być nieuchronnym... dobrze byśmy się z góry przygotowali do tego, co nas czeka.

— Będę się starał o jej szczęście.

— Dziękuję panu, ja się będę musiała sama starać o nie. Co się tyczy waszego, myślcie o niem. Ja panu nie bronię kochać Moszyńskiej, bo gdybym nawet chciała mu tego zakazać, wiem że się to na nic nie przyda. Córka Cosel

odziedziczyła po niej wdzięk jój i potęgę, ja ich nie mam... niestety!

— Pani jesteś okrutną.

— Jestem szczerą.

Brühl mimo nadzwyczajnej łatwości rozmowy i przytomności, poczuł że mu się wyczerpuje wątek. Położenie jego stawało się przykrém, spojrział na Franię, bawiła się chusteczką, nie okazując najmniejszego pomieszania.

— Bądź co bądź ja nie odejdę rozpaczony—dorzucił po krótkim milczeniu. Znam panią od dzieciństwa, jestem jój wielbicielem oddawna; to co mi pani przypisujesz dla hr. Moszyńskiej było chwilową fantazją, która przeszła i minęła. Moje serce wolne, a pani spodziewam się potrafi się pozbyć dla mnie wstrętu i uprzedzenia.

— Wstrętu nie mam do pana, boś mi najzupełniej obojętny—przerwała hrabianka.

— I to już coś znaczy—rzekł Brühl.

— W istocie to znaczy, że pan się wstrętu możesz dorobić, chcąc na miłość zasłużyć... To być bardzo może.

Brühl wstał, twarz mu pałała.

— Nigdy może pretendent do ręki gorszego nie doznał przyjęcia—odezwał się z westchnieniem... Potrafię jednak stłumić w sobie wrażenie.

— Nie skarż się pan przed królewiczową—zawołała Frania—nasza pani za złe mi mieć nie będzie tego, co za skromność weźmie dziewczę. Oszczędź mi przykrości z matką i z drugimi.

Jeśli nie zmieni się nic, jeśli się pan uprzesz, jeśli pani nasza rozkaże, jeśli ja mam zostać ofiarą, pójdę do ołtarza, bo muszę; ale pan wiesz kogo bierzesz, i co cię czeka.

To mówiąc wstała; Brühl słodką nad wszelki wyraz przybrawszy fizygnomią, zbliżył się, chcąc sięgnąć po jój rękę, ale mu ją cofnęła i rzekła:

— Żegnam pana!

Nie przedłużając rozmowy, minister wysunął się z pokoju. Twarz jego na chwilę zachmurzona w prog, odzyskała pogodę, wesołość i uprzejmość zwyczajną. Niktby był po nim nie poznał, iż zjadł świeżo tak gorzko przyprawne oświadczenie.

Zdawało mu się to obojętném, lubo panował tak nad sobą, iż nie okazał wcale, że to go obchodziło.

Krokiem lekkim przebiegł pusto pokoje i wychodził już, gdy u progu ostatniego spotkał matkę.

Hrabina Kolowrath nim przemówiła, badała go pilnie oczyma... nie odkryła nic. Pomyślała nawet, że córka umiała ukryć swe uczucia, co jój było bardzo przyjemném.

— Widziałeś się z Franią?

— Wracam od niój.

— Jakże cię przyjęła?

Brühl trochę się opóźnił z odpowiedzią.

— Tak jak się przyjmuje kogoś narzuconego, komu się chce dać uczuć, że powinien to wynagrodzić.

— A! macie czas... Ze wszystkich względów nie chciała-bym przyspieszać wesela.

— Ja przeciwnie dlatego, że najlepiej starać się o serce, gdy się jest pewnym ręki—rzekł Brühl... Małżeństwo zbliża, daje poznać, a mam nadzieję, że hrabianka poznawszy mnie lepiej i moje przywiązanie...

Lekki uśmieszek przesunął się po ustach hrabinój.

— Dziś dość—rzekła—*cela viendra!* Frania jest tak piękna, że jój nie można nie ubóstwiać, ale ma dumę i energią bogini, do której jest podobną. Gdyby stary król nasz żył, obawiałabym się go była także, na nim nawet czyniła wrażenie.

Brühl, przemówiwszy jeszcze słów kilka, odszedł z grzeczném pożegnaniem. Gdy siadł do swojej port-chaise, która nań czekała u ganku i znalazł się na chwilę sam, twarz mu się zmieniła i sposepniała.

Radbym wiedzieć jednak, kogo kocha! rzekł do siebie w duchu. Miała zawsze tylu adoratorów, a wszystkich tak hojnie obdzielała wejrzeniami i słówkami, iż istotnie trudno odgadnąć, któremu się udało serce jój pochwycić.

A! do serca nie mogę mieć pretensyi... piękność Frani jest mi potrzebną. Któż wie! królewicz nie wytrwa wiernym swój pani... a w takim razie..

Brühl nie dokończył, tylko uśmiechem.

Może mnie nie kochać, ale wspólne interesa uczynią nas dobrymi przyjaciółmi.

O Moszyńskiej więc wiedzą wszyscy; miłość i kaszel nie dają się utaić, a to miłość dawna i niegdyś nie była zmuszoną się ukrywać.

Pogrążony w dumaniach Brühl nie spostrzegł się, jak lektyka jego stanęła w sieniach domu.

Liczna służba czekała tu na niego: kamerdynerowie, lokaje, sekretarze, klienci. W chwili, gdy odsłonięto wyjście, Brühl już miał swą piękną twarz ułożoną wybornie do ludzi, rozlał po niej uśmiechy i wdzięk, co serca zyskiwał.

Witał uprzejmie i biegł na wschody... Na górze czekał nań już Hennicke.

Wierny sługa ten od kilku dni też wyglądał zdrowszy i weselszy. W fałdach jego twarzy śmiało się szyderstwo zimne. Globig, Stammer i Loss stali w kancelaryi, do której Brühl wszedł, jakby go siła jaka obca rzuciła. Wszyscy powstali na powitanie J. excellencyi, za którą powoli i nie-
dbale ciągnął Hennicke.

Już miał minister zasiąść do pobieżnego przejrzania papierów, gdy zausznił wierny mu szepnął...—Czekają na was.

I pokazał drzwi salonu.

Po nim przechadzał się w szaraczkowym surducie z czarnymi guziczkami, do niepoznania przebrany Padre Guarini.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PIERWSZY ROK POBYTU W AMERYCE.

PRZEZ

Juliana Horaina.

Skoro urzędnicy amerykańscy wdrapali się na pokład parostatku, chorągiew gwiazdzista wleciała na wierzchołek najwyższego masztu; to oznaczało, że nasz okręt oddaje się pod opiekę i prawa Stanów Zjednoczonych. Fakt ten został powitany głośnym „hurrah” przez wszystkich pasażerów, a nawet osadę okrętową. Urzędnicy rozbiegli się po okręcie: dwaj z nich, doktor z jakimś drugim, zabrawszy naszego Eskulapa okrętowego, spuścili się w głąb, pod pokład; trzeci zaś zaczął rozdawać i rozrzucać na wsze strony jakiś zadrukowany papier: były to prawidła komory celnej we czterech językach: angielskim, niemieckim, francuzkim i hiszpańskim.

Ponieważ za kilka lat tysiące Europejczyków podąży na wystawę powszechną do Filadelfii, a sądzę że będą pomiędzy nimi i nasi rodacy, przeto może się komu przyda wiadomość o prawidłach komor celnych amerykańskich; w tym celu umieszczamy takowe w dosłownym przekładzie:

„Do wiadomości pasażerów.”

„Każdy pasażer przybywający z portu cudzoziemskiego, do jakiegobądź portu Stanów Zjednoczonych, obowiązany jest do złożenia krótkiej, lecz szczegółowej i prawdziwej *deklaracji*, o ilości skrzyń, kufrów, worków i innych sprzętów służących do przechowywania rzeczy, i o tém co one zawierają, jak również o rzeczach znajdujących się przy osobie. Dla dogodności i porządku, deklaracja ta powinna być spisana na przyłączonym do niniejszego blanku, zatytułowanym „Passenger's Baggage Declaration“.

Ażeby uniknąć wszelkich przeszkód przy wylądowaniu, pożądanym jest, aby wspomniona deklaracja została przygotowaną starannie, przed przybyciem do portu i mogła być natychmiast wręczoną urzędnikowi komory celnéj. Następane wskazówki ułatwią dopełnienie tego aktu.

Liczba oddzielnych pakunków powinna być spisana w stosownéj do tego rubryce; potem co który z nich zawiera, powinno być wskazane w jednéj z następných rubryk.

1) *Rzeczy wolne od opłaty* (Baggage not dutiable) klasyfikują się następnie:

a) Odzienie służące do osobistego użycia: to jest, stosunkowa ilość ubioru sporządzona dla osobistéj potrzeby pasażera, mogą być zadeklarowane jako artykuły ubrania (Wearing apparel).

b) Inne rzeczy służące do osobistego użycia (nie towary), które zwyczajnie są potrzebne w podróży, jako tłomoki, przedmioty toaletowe, materyały piśmienne, kilka (?) książek, zegarek, klejnoty etc, służące do potrzeb osobistých i w *stosownéj ilości*, mogą być zadeklarowane jako *artykuły osobiste* (Personal Effects).

c) Książki służące do professyi pasażera, narzędzia potrzebne do jego rzemiosła, artykuły kuchenne, które były w użyciu przynajmniej rok, mogą być zadeklarowane pod jedną z trzech powyższych rubryk.

2) *Towary podległe opłacie*. Pod tym tytułem powinny być wypisane wszelkie artykuły nie objęte w rubrykach o rzeczach wolnych od opłaty. Tu powinny być wyszczególnione: nowe ubrania nie służące do potrzeb osobistých, klejnoty w zbytecznéj ilości, zegarki (więcej niż jeden na osobę); przedmioty przeznaczone na podarunki, dzieła sztuki, kunsztu lub ciekawości (?); materye jedwabne, wełniane i inne w sztukach, wszelkie przedmioty przywiezione dla innych osób: słowem wszystkie rzeczy które nie są szczególniej potrzebne do osobistéj wygody pasażera.

Szczególniejszą należy zwrócić uwagę aby to sprawozdanie było kompletne i prawdziwe, i żeby pasażer dobrze poznał doniosłość certyfikatu który ma podpisać. Rubryki zatytułowane „Apparaisement“ nie mają być zapełnione przez pasażera.

Naczelnik rodziny: jeśli jest dobrze oznajomiony z rzeczami należącymi do każdego z członków takowéj, może zamieścić sprawozdanie o tém w jednéj deklaracji; ale to nie uwolni ani jego, ani innych członków rodziny od osobistéj rewizyi w razie podejrzenia, ani od kar przewidzianých prawem za *zamiar* oszustwa.

Po przybyciu do portu, deklaracja powinna być złożona urzędnikowi komory. Sprawdzenie bagażów odbędzie się na statku, lub na nadbrzeżu portowém, a cło, jeśli takowe przypadnie, powinno być opłacone złotem.

Każda sztuka bagażów, któraby zawierała towary podległe opłacie więcej jak na 500 dolarów, zostanie odesłaną do komory, tam przepatrzoną i ocenioną.

Tłomoki zawierające same tylko towary, nie mają być uważane jako bagaże i muszą uleść wszelkim przepisom komory celnej. Każdy tłomok ma być sprawdzony dokładnie i szczegółowo. Nawet osoby pasażerów podległe są rewizji.

Wszelkie przemycanie ze strony pasażera, tajenie, ukrywanie w tłomokach etc.; lub na własnej osobie, jak również samo pokuszenie przekupienia urzędnika komory, pociągną za sobą uwięzienie, konfiskatę bagażów i inne kary przewidziane prawem.

Wszelka skarga na urzędnika komory w czasie spełniania jego urzędu, ma być zanesioną do poborcy portowego (Collector of the port) który obowiązanym jest natychmiast rzecz rozpatrzeć“.

„Z rozkazu (?) *sekretarza* skarbu Stanów Zjednoczonych“.

Po przeczytaniu powyższego com wam napisał w szkaradnym przekładzie, struchlałem! A toż w moich 19-tu skrzyniach etc. tyle jest rzeczy, że pewno część znaczną obywatel celnik zechce podciągnąć pod opłatę. A tu nie wolno wsunąć mu w łapkę ani rubelka, chcę mówić dollara, za samo pokuszenie, koza etc. Przyszła mi była z początku zdrożna myśl, do niczego się nie przyznać, a samą deklarację dać do podpisu mojej teści, przyznając jej w ten sposób naczelnictwo rodziny. W razie czego złego niechby w kozie posiedziała, wszak ona dotąd nie zaznała tej *rozkoszy*. Rozmyślając o tém, już nawet szedłem, trzymając *deklarację* w rękę; ..kiedy kapitan widząc moje zakłopotanie, zatrzymał mię i zapytał:

— Czy nie macie żadnych *nowych* towarów na sprzedaż?
— Żadnych.

— No to nic nie pisz: poproś tylko słownie aby celnicy przepatrzyli wasze tłomoki, to choć coś znajdą, nie będziesz ulegał osobistej odpowiedzialności. Zresztą gdyby bardzo nastawali, to oświadcz, że nie umiesz pisać.

A to jeszcze lepiej, pomyślałem, ze Scylli na Charybdę; ja mam oświadczyć *urzędownie* że nie umiem pisać, ja, com pisał drukowane książki! ja przeszły i przyszły współpracownik tyłu pism, nawet Biblioteki Warszawskiej, mam się przyznać że pisać nie umiem! I to gdyby jeszcze *przyjaciolom pod sekretem*, a to *urzędownie*. Nigdy, przenigdy! Niech lepiej pójdzie do kozy moja kochana Teś... albo nie: ot zagmatwam się pomiędzy pasażerami, może nie odkryją. Zresztą nie osobista odpowiedzialność tak mnie zastraszała; więzienie w wolnym kraju, nie powinno być zbyt ciężkie, bo badania z *perswazyami* pewno nie ma,... tylko Boże broń każą mi zapłacić jakie tysiąc lub więcej dolarów cła, to cóż nam zostanie? Świeżo przybyły z Europy, lękałem się, chociaż Bogiem a prawdą powiedziałwszy, nic nie byłem winien.

Ale nie dano mi czasu do długiego frasowania: lekarz amerykański i lekarz europejski weszli na pokład. Wydano rozkaz.. chcę mówić polecenie, aby wszyscy pasażerowie pod-pokładowi przeszli przed niemi *parami* processjonalnie. Kiedym się zabierał do *pary*, znowu mi poczciwy kapitan szepnął, że mając żonę i t. d. kajutowej z 1-jej klasy, mógłbym się uwolnić od tej ceremonii. Ale ja, przyszedł obywatel Rzeczypospolitej Amerykańskiej, nie miałem zamiaru wyłamywać się z pod praw obowiązujących, szczególnież kiedy te nie dotyczą mojej skóry i kieszeni. Stałem więc w parze z moim lazeretowym *szlaf-kamratem*, z młodą i przystojną Czeszką; a za mną z własnej ochoty stanęło moich czterech chłopaków... było ich wówczas pięciu! Artysta Rajczak okrętowy zatrąbił marsza,.. cała processya, z osmnastu osób złożona przeszła ceremonialnym marszem przed Eskulapami dwóch światów. Chorych nie było: bo i ja nawet udawałem zdrowego.

Moje damy i cała arystokracja kajutowa przypatrywały się temu pochodowi z uwielbieniem, a może i z zazdrością, widząc mię w parze z ładną dziewczyną.

Koło godziny 2-jej po południu, weszliśmy do portu i stanęli u nadbrzeża. Nowi jacyś urzędnicy weszli na okręt, i zaczęli odbierać „deklaracje“ już przygotowane. Ja w tém wielkim zamieszaniu jakos się zawieruszyłem, i nikt mnie o nic nie zapytał.

Wszyscy pasażerowie radzi byli opuścić Baltimore, byle dostać się co najprędzej do miasta téjże nazwy. Tych którzy nic w ręku lub na plecach nie wynosili, puszczono natychmiast; tych zaś którzy nieśli jakibądź pakunek, musieli podać takowy rewizyi: osób jednak nie rewidowano i nie macano, jak to robią czasem w Europie.

Poczciwi, zacni Corner'owie pożegnali się z nami najserdeczniej, zostawili *każdemu z nas* swoje adressa, prosząc usilnie abyśmy ich odwiedzili, i w każdój potrzebie udawali się do nich o radę i pomoc.

W parę godzin prócz nas, ledwo kilka osób z pasażerów zostało na okręcie. Kapitan i doktor przyszli do nas i pierwszy oświadczył że możemy wszyscy zostać na parostatku przez dni ośm, bo dopiero dziewiątego dnia Baltimore uda się z powrotem do Europy. To nas trochę uspokoiło. Ale ja chciałem tegoż samego dnia dotrzeć do stałego lądu amerykańskiego. Pospędzawszy więc dzieci do opróżnionych już kajut pod opiekę matki, sam ze starszym synem udałem się na ląd.

Nieśmy z sobą nie wynosili, więc przepuszczono nas bez przeszkody. Przeszedłszy jakąś wielką nadbrzeżną stodołę, napelnioną już bagażami pasażerów, weszliśmy w jakąś brudną, lichą ulicę. Domy po większej części drewniane, rozmaitych brudnych kolorów, lecz nie malowane. Architektura tych domów do żadnej, ze znanych mi nie podobna: istne klatki. Od frontu wązkie, bo zwykle po trzy okna na piętrze mające; na dole po dwa tylko, ze drzwiami przy samych chodnikach; bruk szkaradny, niby w jakim naszym powiatowym miasteczku. Ha! nie ma rady! Idziem z Tadzią naprzód gdzie oczy poniosą:...

aż tu wpoprzek ulicy stoi jakiś dom jeszcze dziwniejszej struktury, ale większy od innych. Chcieliśmy byli już wrócić: wszakże widząc że wszyscy tam idą, nawet powozy wjeżdżają, poszliśmy i my. Przeszedłszy szerokim korytarzem z kilkadziesiąt kroków, postrzegamy że dalej iść nie można: dom się kończy a morze zaczyna. Wracamy nazad. Aż tu coś zatrąbiło, zahuczało i dom zaczyna się poruszać. My w nogi, sądząc że to trzęsienie ziemi; ale gdzie tam! dom odplynął od ziemi o jakich półtoraście kroków! Sumiennie wam mówię czytelnicy, że dopiero wówczas się przekonał, żeśmy weszli na parostatek przezewozowy, bo kiedyśmy wchodzili, byłem przekonany, że to dom przechodni, ot jak u was w Warszawie dom Rezlera od Senatorskiej ulicy, tak to było niepodobne do jakiegobądź widzianego przezemnie statku.

W kilka minut byliśmy na drugiej stronie. Uderzenie jednak parowca o pomost brzegowy było tak silne, żeśmy o mało nie popadali: wysiedliśmy i poszli ulicą mało co schludniejszą i przyzwoitszą od poprzedniej. Postanowiliśmy iść w prostej linii, aby łatwiej było wracając trafić do okrętu. Ulice co chwila się krzyżują, formując nie wielkie, podłużne prostokąty. Rozglądamy się po sztydach, a tego taka mnogość, że na każdym domu po kilka i więcej. Napisów nic nie rozumiem, Tazio prawie tyleż. Przeszedłszy kilkaset kroków pod górę, weszliśmy na jakiś obszerny plac nie zabudowany i pokryty kamieniami i murawą. Zupekny nieuk co do nauk przyrodzonych, a szczególnie botaniki, myślałem że znajdę jaką różnicę pomiędzy murawą amerykańską, a tą, na której nieraz zdarzało się tarzać w starym świecie. Schyliłem się więc rozpatrywać trawę samopas rosnącą.. i żadnej różnicy nie znalazłem. Niepokoił mię tylko brak łopuchu (gluteron, bardano) i pokrzywy (urtica) zwykle w takich miejscach u nas rosnących, alktórych dotąd w Ameryce nawet w botanicznych ogrodach nie spotkałem. Ziemia, chociaż bardzo gliniasta, wydała mi się taką samą jak w Europie. Toż samo można powiedzieć i o kamieniach.

Z góry był widok na miasto, na równinę: przestrzeń ogromna, zabudowana symetrycznie domami, a wszystkie prawie jednostajnego kształtu, tylko po większej części murowane, lecz nie bielone, ani malowane. Kilkanaście kopuł nie wiele wzniesionych nad inne domy, dawało się spostrzegać w oddali. Słowem widok miasta liczącego do 400,000 mieszkańców, zupełnie nie imponujący: ani się umył do widoku Wilna, a nawet Warszawy.

Przeszedłszy plac, weszliśmy znowu w jakąś ulicę. Trzeba było szukać noclegu, bo już słońce skłaniało się ku zachodowi, a my mieliśmy zamiar przenocować w mieście, aby nazajutrz rano zacząć poszukiwanie mieszkania. Widzieliśmy na wielu domach napis: „Hotel etc.“, ale ja wiedząc z książek opisowych, że mieszkania w hotelach amerykańskich są bardzo kosztowne, co i prawda, starałem się wynaleźć jak najtańsze. Postrzegłem nad jednymi drzwiami napis: „Saloon“, a pod spodem niemieckim alfabetem: „Lager Bier“. Pomyślałem sobie: kiedy mi w Anglii w „Public house“ było tak dobrze

i wygodnie, to zapewne w „Saloonie“ amerykańskim będzie jeszcze lepiej. Tębardziej, gdy niemiecki napis obiecywał mi, że jakkolwiek rozmówić się potrafię.

Weszliśmy.

W pokoju, który w żaden sposób niepodobna nazwać salonem, stało kilka stolików: przy jednym siedziało z kufkami piwa kilku obdartusów; my usiedliśmy przy innym. Natychmiast jakiś posługacz w wełnianym kaftanie, postawił przed nami parę kufelków piwa, obtarł nos, swój rozumie się, rękawem kaftana i wyciągając brudną łapę, zawołał: „bezahl!“ Był to pierwszy dla mnie zrozumiały wyraz, który posłyszałem na łądzie Nowego Świata. Dobyłem więc papierowego dolara: miałem ich kilka, wymienionych w Bremie, i podałem. Zdał mi natychmiast 90 centów: wziął więc za dwie małe szklanki piwa 10 centów, to jest prawie złoty.

Za szynkwasem, bo trzeba nareszcie przyznać się żeśmy byli w najordynarniejszym szynku, stał inny jakiś obdartus... poprawiam się: obywatel, który kręcił się jak mucha w ukropie. Naléwał przez szpunt z beczutki piwo do kufelków, ale tak zrećźnie, że więcej bywało piany niż napitku, stawiał lub posyłał konsumentom. Przytém z innymi dwoma grał w kości i po każdym rzuceniu, albo sam wychylał szklenicę, albo takową podawał *do łaskawych rąk sąsiada dobrodzieja*, który za tę gręczność płacił przed wypiciem pięć centów. Nie bawiłem i dziesięciu minut w Saloon'ie, a policzyłem że obywatel *szynk-waszewicz* sam wypił sześć szklanek piwa, a dwaj partnerowie wypili takowych z tuzin! Jednak ileż to szklanek piwa taki gospodarz szynkowy musi wyżłopać przez dobę? Prawdziwe poświęcenie dla bliźnich!

W rok później, w Nowym Yorku, cała ta manipulacya została mi objaśnioną przez rodaka hrabiego galicyjskiego, który trudnił się tèmeż samém rzemiosłem; pomimo wielkiej gręczności w nalewaniu piwa i wyrzucaniu kostek—zbankrutował.

Ale nie o tème chciałem pisać. Zabraliśmy się do wyjścia dla wyszukania sobie noclegu, bo nam nie bardzo się podobał salon amerykański; ale było już ciemno, chociaż po obu stronach ulicy jaśniał szereg gazowych latarń. Zapytaliśmy więc obywatela posługacza, czy nie moglibyśmy przenocować w ich domu?

— I owszem—odpowiedział—mamy pokoje dla dżentlemenów i lanych. Wygodny mieć będziecie nocleg.

— Proszę nam pokazać.

— Dobrze. Czy na jedném łóżku spać chcecie?

Spojrzeliliśmy na siebie z Tazią i jednogłośnie odrzekliśmy: na jedném.

— To zapłaćcie pięćdziesiąt centów i chodźcie za mną.

Zapłaciliśmy i poszli.

Zaprowadził nas na trzecie piętro (któreby u was w Warszawie uważało się za drugie, ale w Ameryce liczą piętra po litewsku), otwo-

rzył drzwi i wpuścił. Pokoik był mały, ciemny w dzień nawet, bo miał małe okienko, jak na poddaszach; stało tam łózko z rozrzuconą, dobrze już używaną pościelą i lawabo z wodą, w której musiało już obmyć swoje co najmniej oblicza kilku dzentlemanów lub ladych. Poprosiliśmy aby nam zmienił wodę.

— Wylejcie ją sobie sami przez okno na podwórze.

I zabierał się do wyjścia unosząc z sobą ogarek świecy, którą trzymał w ręku. Poprosiliśmy, aby nam świecę zostawił. Przychylił się do naszej prośby, ale kazał zapłacić sobie za tę grzeczność 10 cent. i wyszedł.

Zostaliśmy sami i zaczęli rozpatrywać się szczegółowięw w idebce. Do wyliczonych już przedmiotów dodać wypada dobrze używany ręcznik i dzban fajansowy do wody, ale próżny. Zabraliśmy się najprzód do wylania brudnej wody, drogą wskazaną przez obywatela posługacza. Do okna więc, ale okazało się, że go otworzyć nie umiemy; po długim wszelakoż rozpatrywaniu dostrzegliśmy, że takowe w dolnej połowie się podnosi, a w górnej spuszcza. Zapewniwszy się, że wychodzi na podwórze i że tam niema w téj chwili żadnej obywatelki lub obywatela, wyleliśmy owe pomyje. Ale wylawszy jedną, wypadło nam przygotować drugą wodę czystą do unycia się nazajutrz. Uradziliśmy więc, że Tadzio, jako umiejący rozmówić się po niemiecku i trochę po angielsku, pójdzie po nią na dół ze dzbankiem. Do drzwi: zamknięto! Probujem wspólnemi siłami otworzyć: niepodobna!

„Zamurowano!—spojrzałem na dzieci“, to jest na syna, a syn na mnie.

— Co to jest ojczcze?—mówił Tadzio—dlaczego on nas zamknął? Czyżby chciał pozabijać?

I mnie się to nie podobało, ale dla uspokojenia dziecka mówiłem:

— Nie bój się, niceśmy złego nie zrobili, a zresztą nikt nie zabija biednych emigrantów, przy których nie wiele można się pożywić.

— Jakto nie wiele? Ojciec pokazał im rozplacając się kilka dolarów, przytém u ojca jest srebrny, a u mnie aż złoty zegarek! A jeszcze takeśmy się pysznie wystroili do Ameryki. Wiele téż my z ojcem warci?

To czysto amerykańskie zapytanie zdziwiło mnie nie pomału. Nigdy w Europie podobnego zapytania w takiem znaczeniu nie słyshał, chociaż czytałem w opisach Ameryki. Czyżby samo dotknięcie ładu Nowego Świata, mogło tak wpłynąć na dziecko?

— Ja, mój chłopcze—odrzekłem—stary, chory, niedołęga, nie wiele wart jestem, jestem prawie nic; ale ty da Bóg, może kiedyś będziesz wart więcej, daleko więcej odemnie.

Tadzio zrozumiał, że inne niż on myślał nadałem znaczenie jego zapytaniu; rzucił mi się na szyję i zaczął całować. Potém mówił:

— Doprawdy tatko to nie dobrze, że oni nas zamknęli. Myż przecie nie winni?

I mnie to niepokoiło, ale nie chciałem okazać przed dzieckiem obawy, aby go bardziej nie przestraszyć. Odpowiedziałem więc spokojnie:

— Istotnie Tadiusz my nic nie winni.

Tymczasem przyrzadziliśmy jako tako łóżko: kazałem Tadiuszowi położyć się nie rozbiegając, a kiedy zasnął, dostałem rewolwer, darowany mi na wyjeździe przez jednego z przyjaciół, opatrzyłem go dobrze i usiadłem przy otwartym okienku podumać!

Noc była ciepła, cicha, światła: to mię trochę uspokoiło. Musiało być koło północy, bo chociaż mieliśmy z sobą aż dwa zegarki, a jednak na pewno nie mogliśmy wiedzieć godziny, bo zegarek Tadiusz był zwykle nie nakręcony, mój zaś wskazywał tę właśnie godzinę, która w ową chwilę panowała między Niemnem, Wilią a Świsłoczą. Czyli mówiąc zrozumieliśmy: wybierając się do Ameryki postanowiliśmy, aby mój chronometr wskazywał zawsze ojczyzną godzinę; więc go nie reguluję, ale za to nakręcam codziennie punktualnie i wiem z pewnością w każdej chwili, jaka tam u was godzina. Rozumię się, że musi być teraz różnica o kilka minut, ale nie więcej.

Świeca się dopalała: trzeba ją było zagasić. Rzuciłem się jak byłem ubrany na łóżko obok Tadiusza i przywykły do niewygod podpokładowych, rychło zasnąłem.

Ledwo zaczęło zbierać się na brzask, rozbudziło mię stąpanie po wschodach i odmykanie drzwi. Sięgnąłem pod poduszkę po rewolwer. Tadiusz także się obudził.

Wszedł tenże sam posługacz szynkowy z latarką w rękę i oświadczył po niemiecku, że już dzień i pora nam wstawać. Nie dostrzegłszy w nim morderczych zamiarów, zawstydzilem się trochę i starałem się ukryć rewolwer; ale prosiłem, aby nam pozwolił przespać się jeszcze kilka godzin.

— To chyba dopłacicie jeszcze 50 centów, wówczas będziecie mogli spać choć do wieczora, boście pokój najęli tylko na noc.

Dałbym mu chętnie i całego dolara tak mi się spać chciało, ale oburzyło mię to bezcelne zdzierstwo, wyderkać, a nawet Tadiusz, również oburzony, zawołał:

— Chodźmy ztąd ojcze, to są jacyś źli ludzie.

Wyszliśmy więc prędko. Wprzód jednak obywatel posługacz przekonał się żeśmy ani prześcieradła, ani ręcznika „ani żadnej rzeczy które jego są“ nie unieśli.

Później, kiedym opowiadał przed świadomymi mój pierwszy nocleg na amerykańskiej ziemi, objaśniono mi w ten sposób: żeśmy trafili do bardzo podrzędnego salonu, to jest szynku, jakie zwykle bywają po przedmieściach wielkich miast amerykańskich. Zakłady te

trzymane są zwykle przez Niemców, Irlandczyków, niekiedy Włochów, nigdy zaś przez prawdziwych Amerykanów. Mają tam izdebki, które wynajmują na noc nie mającym przytułku *włóczęgom*: każą im płacić z góry i zamykają, aby w nocy obywatelka lokatorka lub lokator nie opuścili sypialni razem z rzeczami, które nie ich są. W kilka miesięcy później, zdarzyło mi się i w Nowym Yorku podobną noc przepędzić... ale potem o tém.

Kiedyśmy się znaleźli na ulicy, był już zupełny dzień; bo pod tą szerokością jeograficzną mrok ranny i wieczorny bywa znacznie krótszy niż u nas. Chociaż to było 23 października około 6-jej rannej, poranek był ciepły i pogodny; poszliśmy więc ochoczo ku stronie miasta.

Ruch na ulicach wielki: wozów, przechodniów mnóstwo. Uszedłszy tak z pół godziny, znaleźliśmy się na krzyżujących się dwóch ulicach, przed jakimś kościołem; weszliśmy tam: odprawiało się nabożeństwo. Był to kościół katolicki, przegналиśmy się więc i zaczęli odmawiać pacierze. Natychmiast jakiś porządnie ubrany dzentlemen zbliżył się do nas, otworzył drzwiczki od ławek i wskazał nam miejsca. Ludu było mnóstwo; zaledwo kilka osób stało, resztę wszyscy siedzieli w ławkach i pocihu modlili się z książek. Pod koniec nabożeństwa *wtoczyła się na relsach ambona* na sam środek kościoła, wszedł na nią ksiądz i zaczęło się kazanie. Pomimo żeśmy nic nie rozumieli, bo to było dla mnie przynajmniej gorzej niż *niemieckie kazanie*, nieśmieliśmy ruszać się z miejsca, bo nikt nie wychodził. Dlatego zapewne że to był dzień powszedni, a może że kaznodzieja nie był gadatliwy, prędko się skończyło; po kwadransie zszedł z ambony, która wraz odjechała, zapewne do kościelnej wozowni. Wszyscy ruszyli się do wyjścia i my z niemi. O ile sobie przypomnieć mogę, była to pierwsza msza i kazanie, które wystuchałem na czczo.

Znalazszy się na ulicy, zaczęliśmy szukać mieszkania do najęcia. Na wielu domach były przyklepane kartki drukowane lub pisane. Na niektórych było *forsale*. Co to znaczy?—zapytałem syna. Do sprzedania—odpowiedział. A więc to nie dla nas. Na innych były kartki z napisami „Forkent.” A to co znaczy?—Nie wiem. Forkent, for rent pomyślałem: to tak jakby na rentę, na wypłatę... może to znaczy do najęcia i nie omyliłem się ¹⁾). Zaszliśmy więc do takiego domu. Tadzio jakoś wytłumaczył, że szukamy mieszkania. Dano nam klucze i powiedziano, abyśmy *sami* poszli obejrzyć. Poszliśmy więc na oględziny. Na dole dwa pokoiki: *parlour* od ulicy, a drugi zapewne przeznaczony na kuchnię od podwórza. Na pierwszym piętrze trzy pokoiki i tyleż na drugim. Ale w tych wszystkich ośmiu

¹⁾ Ostrzegam czytelników, że wyrażenie *fo rent* w znaczeniu najęcia mieszkania, używa się tylko w Baltimorze i miastach południowych. W Nowym Yorku zaś i innych, używa się natomiast wyrażenie: *To let* (przyp. aut.)

pokoikach zupełnie pusto, to jest niepusto, bo pełno śmiecia pozostałego po przeszłych lokatorach. Obejrzelśmy tak kilka domów: (po klucze wypadało chodzić do magazynów obok lub naprzeciw, co było wskazane na kartkach). Wszystkie te domy podobne do siebie, jak dwie krople wody. Pytaliśmy się, czy nie można nająć jednego pigtra? Odpowiedziano, że najmuje się cały dom tylko. Cena zaś była 18 lub 20 dolarów na miesiąc. Na co nam najmować cały dom pusty, kiedy mogliśmy się pomieścić we trzech, a najwięcej we czterech pokoikach. Szukamy więc dalej, ale Tadzio, przechodząc mimo jakiegoś piekarza, tak miłe zaczął patrzeć na ciastka, wyglądające przez witrynę, że trzeba by mieć chyba serce z kamienia, aby tam nie wstąpić. Weszliśmy więc.

— Wybierz sobie ciastek i zapytaj co kosztują?

— *Hau mocz* (piszę jak się wymawia), zapytał, wskazując na jakiś gatunek tortu, który w naszych cukierniach sprzedaje się *au prix fixe* po 10 groszy sztuka.

— *Ten cents*, to jest 10 centów czyli, złoty była odpowiedź. Słowem jakie tylko ciastko wskazał, zawsze *ten cents*. Tymczasem spostrzegłem, że w głębi piekarni kilku dżentlemenów i tyleż ladych piją kawę; poleciłem więc Tadziovi zapytać, czy nie możemy i my dostać kawy? *Yes, yes*—odpowiedziano, wskazano nam miejsca i natychmiast przyniesiono dwa małe kubki kawy ledwie zabielenęj mlekiem; przytém podano po kromce białego, pszennego chleba i trochę jełkiego masła. Taki traktament kosztował nas jednak centów 40.

Posileni nieco, poszliśmy znowu szukać mieszkania. Ponieważ kupkę kościoła wybraliśmy za naszą gwiazdę przewodnią, przeto kręcąc się po ulicach nie spuszczaaliśmy jej z oczu i jakoś znowu znaleźliśmy się mimowolnie przed tymże samym kościołem przy dwóch przecinających się ulicach. Patrzym, na jednym z narożnych domów kartka z napisem: „Rooms for rent.”

— Co znaczy to *rooms*?

— *Rums* znaczy *pokoje*—odpowiedział Tadzio, poprawiając moje wymawianie.

Tego nam właśnie było potrzeba; weszliśmy. Na dole była fabryka i zarazem wyprzedaż cygar, utrzymywana przez Irlandczyków, którzy cały dom najmowali. Zajmowało to biédactwo dwa pokoiki na dole i jeden jako sypialnią na piętrze: resztę odnajmowali lokatorom. Dwa pokoiki na 2-ém i jeden nieco większy na 3-ém były próżne, ale to tak dalece próżne, że oprócz śmiecia nic w nich nie było. Zapytałem o cenę? Odpowiedziano ośm dolarów na miesiąc. W to mi graj; oświadczyłem wręcz, że biorę wszystkie trzy i chciałem dać zadatek, ale mi odpowiedziano, że tego nie potrzeba; wówczas zapłacim, jak się przeniesiemy i oddano klucze. Chcąc jednak zostawić jakikolwiek ślad zajęcia w posiadłość mieszkania, pożyczwszy u gospodyni miotkę, wymietliśmy nasze przyszłe apartamenta i wynieśliśmy śmiecie do beczki na to przeznaczony, stojącej na chodniku.

Tak, mądrzy czytelnicy i nadobne czytelniczki! tą samą ręką, którą teraz kreślę dla was te wyrazy, tą samą, którą za dobrych czasów(?) ścisnąłem nie jednokrotnie delikatne rączki nie tylko prostych szlachcianek, ale księżniczek nawet; przyszło mi się na starość wywijać miotłą! Nie pomiatajcie jednak nami, chociażby przypomniawszy owe *dictum* starego polonusa: *quid scilicet, co za górą?* a może nam tój profanacyi klejnotu szlacheckiego nie weźmiecie za złe.

Zaspokojeni co do mieszkania, pędem strzały udaliśmy się na powrót do okrętu. Tylko kiedyśmy śmiało wchodzili do wczorajszego *gmachu pływającego*, zatrzymano nas i kazano za przewóz zapłacić 2 centy za mnie i 1 cent za dziecko. Od przybytych świeżo i wchodzących po raz pierwszy na gościnną ziemię rzeczypośpolitéj nic nie biorą i dlatego wczoraj nas swobodnie przepuszczono.

Zameldowawszy się żonie, nie było czasu do opowiadania naszej *odyssey*, bo urzędnik komory celnej robił rewizyą rzeczy pasażerów i miał za parę godzin odejść. Poszliśmy więc wszyscy z pękiem kluczyków do owej stodoły, w której, jakem to już mówił, były natłoczony seceiny tłomoków rozmaitego gatunku i wielkości. Kiedym oświadczył urzędnikowi (mówił trochę po francuzku) że go proszę o wyekspe-dyowanie naszych bagażu; zapytał mię tylko, czy nie mamy towarów? Na moje słowne zaprzeczenie, polecił odszukać i zebrać w jedno miejsce wszystkie nasze tłomoki, a do zniesienia takowych, wyznaczył dwóch silnych i zdrowych obywateli Stanów Zjednoczonych.

Wynaléć w takim natłoku wszystkie nasze kufry, skrzynie, walizy etc., dla nas byłoby niepodobiestwem; ale dzieci podjęły się tego, rozbiegły po stodole, i w pół godziny wszystko było odszukane i zniesione. Policzyliśmy: 19 sztuk, a więc wszystko. Urzędnik komory z dwoma asystentami podszedł, wskazał dwa kufry, kazał je rozwiązać i otworzyć: dopomogli nam w tém owi dwaj dżentlemani, co znosili. Urzędnik szczegółowo rozpatrzył wszystkie rupiecie. Potém przyszła kolej na skrzynie z książkami. Spojrzawszy na nie urzędnik uśmiechnął się dobrotliwie, machnął ręką, i coś przemówił do swoich kolegów. Julcia mi późnziej objaśniła że to były prawie te słowa: „biédak co przywozi do nas tyle książek używanych, a więc nie do sprzedania. nie ma pewno żadnych towarów, a tém bardziej pieniędzy na opłacenie cła“. Koledzy jego kiwnęli głowami na znak potakiwania. Następne więc kufry, kazali, dla formy zapewne odmykać, patrzeli z wierzchu, ale się w nich nie grzebali. Nakoniec przyszła kolej na skrzynkę z samowarem; kazał takowy wydostać, rozpatrywał ciekawie i zapytał: do czego to służy? bo maszynę taką piérwszy raz w życiu widzi. Objaśniłem dokładnie. Znowu mię zapytał: czy mam zamiar starać się o patent na *wprowadzenie* tego wynalazku? Odpowiedziałem że nie; bo maszyna ta nazywająca się *samowar*, powszechnie jest znaną w północnej Europie, gdzie wiele piją herbaty; zatém nie może być nieznaną w Ameryce. Tak téż i jest. Ale jestem pewny, że w całej Bałtymorze Md. (to jest Maryland) był tylko jeden samowar, to jest nasz.

Po odbytej rewizyi, wszystkie nasze tłomoki pozamykano, obwiązano dokładnie, przylepiono marki papierowe, zniesiono do oddziału z którego mieliśmy prawo zabrać takowe w każdej chwili... dnia. *Za falygę* dawałem owym dwom obywatelom, którzy dobrze się sprawowali przy znoszeniu, rozwiązywaniu etc., naszych tłomoków, dolara: nie przyjęli; oświadczając grzecznie, że są płatni od rządu. To mi się ani razu nie przytrafiło w Eupocie, i jako nadzwyczajność, wydało z razu dziwném i nawet przykrém; wszakże później, prędko do tego nawykłem, i teraz znajduję bardzo racjonalném i przyjemném. Uławiwszy się szczęśliwie, bo ów *dobry celnik* ani wspomniał o żadnej opłacie od naszych rzeczy, czego się wprzód napróżno lękałem, udaliśmy się na nasz parostatek.

Była i pora potemu, bo już podawano herbatę z wieczszą.

Na Baltimorze, oprócz mojej rodziny, nie było już nikogo z pasażerów. Z załogi zaś okrętowej, zostało kilku majtków, jeden z kucharzy, jeden z sześciu lokaj, kobiéta usługująca w kajutach (oświadczyła że to uczyniła przez *przyjaźń* dla moich dam) i dwóch oficerów służbowych. Kapitan zaś i resztę osady, udali się na hulankę do miasta.

Po herbacie i wieczery na którą i nas chudeuszów zaproszono, jak również ofiarowano nam na noc do wyboru wszystkie opróżnione kajuty, wyszliśmy na pokład. Chociaż to było pod koniec października, noc była ciepła, cicha i tak jasna, jak nigdy w Europie widzieliśmy nam się nie zdarzyło. Wielkie miasto na wzniesionej równinie zbudowane, jaśniało tysiącami gazowych latarni; z mnóstwa okrętów stojących w porcie puszczano race, palono fajerwerki, ot tak, dla przepędzenia czasu. A jednak zrobiło się nam bardzo smutno na sercu: w tém wielkiem mieście, a nawet w całej téj części świata, nikt nas nie czeka, nie wygląda! Ludzi, z którymi w orzechowej łupinie przepłynęliśmy burzliwy i bezdenny ocean, do których przywykliśmy i przywiązali nieledwo, w czasie osmnasto-dniowej podróży, a którzy zawsze byli dla nas dobrzy i przyjazni, prawdopodobnie nie spotkamy. Rozbiegli się oni w tém wielkiem mieście, rozjechali po wspaniałej ojczyźnie Waszyngtona; może już tysiąc mil nas przedziela. A jednak prawie każdy z nich przybył tu do krewnych, przyjaciół, znajomych; a przynajmniej z jakimś określonym celem. U nas nic z tego. W całej Ameryce jest zaledwo jedna osoba, nieznaną nam osobiście, z którą zamieniliśmy parę listów.

Ale co tam! Kość rzucona, Rubikon... a co więcej trochę znaczy, Atlantyk przebyty. Dolarów, przy oszczędności może wystarczyć na cały rok... Przypomniało mi się zdanie powtarzane w Paryżu, że Litwin, goły jak święty turecki, wrzucony do Sekwany, wyptywa z głębi we fraku modnym, kapeluszu, rękawiczkach, przy złotym zegarku i z niezupełnie pustą portmonetką. Czyżby Potomak, Hudson, Missipi miały być mniej przyjazne dla potomków Herulów?

Teraz idźmy spać do wygodnych, arystokratycznych kajut; jutro nastąpi dzień pracowity i uroczysty zarazem: wylądowania i objęcia w posiadłość: Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej.

KRONIKA ZAGRANICZNA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Wystawa obrazów na Polach Elizejskich. — Zdanie krytyków. — Gaulosi. — Figaro. — Emil Bergerat sprawozdawca Dziennika urzędowego. — Sąd Debatów. — Chlubne ocenienie Pressy. — Nuvis de Chavannes: Karol Martel w Poitiers. — Królowa Radegunda. — Alma Tedema: Pracownia rzeźbiarza rzymskiego. — Dziesiąta plaga egipska: Śmierć pierworodnych. — Hektor Leroux: Westalka. — Ermann: Historya sztuki. — Langee: Ludwik święty przy ucieczce z ubogimi. — Zier: Katon z Utyki. — Bonnat: Chrystus ukrzyżowany. — Lehoux: Święty Wawrzyniec. — Courtot: Święty Sebastian. — Humbert: Madonna. — Maillart: Chrześc. św. Augustyna. — Laurent: Święty Bruno odtrącający dary Rogera kalabryjskiego. — Roux: Skon. św. Wincentego à Paulo. — Portrety: Cabanel. — Henner. — Dubuffe. — Bastien Lepage: Portret mego dziadka. — Pani Nelia Jacquemart. — Hebert. — Carolus Duran. — Panna Izydora Mikulska. — Dzieło pani Olympii. — Audonard: Gynecologie. — Słownik muzyków polskich: dzieło Wojoiecha Sowińskiego. — Ustęp z listu profesora Aleksandra Chodźki. — Odpowiedź.

Z objawów literackich i artystycznych, które wchodzą w zakres naszych sprawozdań, najważniejszym jest dziś doroczna wystawa rzeźb i obrazów na Polach Elizejskich.

O kim tu mówić? Powiedzmy chyba o wielkim obrazie p. Puvisa de Chavannes, który szczególnym trafem zdobi drugą ścianę sali kwadratowej. Cała przepaść oddziela jeden utwór od drugiego. O ile Matejko świętnym jest kolorystą, o tyle Puvis de Chavannes szuka barw wypełzłych, zatartych, usiłując nadać obrazom swoim pozór fresków XV wieku. Pod pędzlem Matejki drga życie, z pod pędzla Puvisa występuje legenda lub epopea; tam widzimy mężów z krwią i kośćmi, tu duchy bezcielesne, tajemnicze. Geniusz ludzki tak rozmaity w swych objawach! niemniej też rozmaite są formy piękna! Nieodolny byłby krytyk, któryby wszystkie wyroby twórczej myśli artystów chciał dostrajać do jednej modły, mierzyć na jedną miarę; któryby poza obrębem widomych kształtów, nie widział wyższej, czysto du-

chowej harmonii łączącej w sferach ideału, utwory całkiem odrębne od siebie!

P. Puvis de Chavannes wykonał do nowego ratusza w Poitiers scenę z historii tego miasta. Oto jój określenie w katalogu: „Roku 732 Karol Martel ocala chrześcijaństwo zwycięstwem nad Saracenami w bliskości Poitiers.“ W głębi warowne mury opasujące gród sterczą zjeżone w blanki. Przez rozwartą bramę na lewo ciągnie orszak: na czele biskup z pastorałem i duchowieństwo w kapach. W pośrodku obrazu widać Karola na białym biegunie, w pancerzu i hełmie żelaznym. W rękę trzyma tradycyjny młot, podnosi go w górę, wskazuje w nim narzędzie Opatrzności. Od pasa spada mu wielki puklerz. Grupa giermków otacza króla, jeden trzyma miecz, drugi chorągiew królewską. Na pierwszym planie Saraceni szamoczą się w okowach. Stary pohaniec podnosi w górę obie ręce, przeklina bogów, że opuścili go w boju. Młoda córka kładzie mu z miłością rękę na ustach, zatrzymuje bluźniercze kłatwy. Młódz z Poitiers przybiega w pomoc nieszczęśliwym jeńcom, przynosi im jadło i dobre słowo, chleb dla ducha i chleb dla ciała.

Wielka harmonia panuje w tym obrazie: brak kolorytu zastępuje tu piękność linii. Tłumy przecież mijają go obojętnie, zrażone szuderstwami krzykliwych dzienników. Nie jeden pyta sam siebie: kto dziś myśli o Karolu Martelu?

Inny utwór Puvisa pomieszczony na wystawie, nadzwyczaj poetyczny. Jestto wielki szkic do obrazu, który zarówno jak pierwszy, ma zdobić ratusz w Poitiers. Przedmiot wzięty z kronik VI wieku, z czasu kiedy Klotaryusz król Franków panował w Neustrji. Piękna i uczona Radegunda księżniczka Turynji, porwana gwałtem i zaślubiona przez króla barbarzyńcę, wyłamawszy się z nienawistnych jój związków z poganinem, zamyka się w niewieścim monasterze w Poitiers. Tu daje opiekę poetom i uczonym, ocala pochodnię literatury, wśród okropnej powodzi barbarzyństwa. Malarz przedstawia chwilę, kiedy królowa otoczona gronem sióstr zakonnych, słucha pieśni Fortunata, słynnego gallo-rzymskiego poety. Serce jój drży, oko zaléwa się łzami, kiedy Fortunat smętną pieśnią wypowiada zasłyszane jój skargi i żale:

Wszystkie dziś serca pokryte żalobą,
Oko się łzami zaléwa rzewnemi,
I ja boleśnie płaczę téż nad sobą,
Ale boleśniej płaczę klęsk mój ziemi!
Nad umarłemi co legli w mogile,
Ciężkim ja żalem zawodzę sierota,
Choć łkanie w piersi umilknie na chwilę,
Nie zmlknie w duszy boleś i tęsknota!

Gdy wiatr porankiem zawionie od wschodu,
 Gdy mi nad głową z cicha zaszeleści,
 Pytam: ach wietrze! od mojego rodu,
 Za-li mi słodkich nie przynosisz wieści?
 Ale wiatr powiał na lasy, na pola,
 A mnie żałoba! mnie wieczna niedola!

Puvīs de Chavanne, związany stałą przyjaźnią z Teofilem Gautier, odtworzył w Fortunacie wierny wizerunek zmarłego niedawno poety. Za nim pomieścił i sam siebie. Piękna to myśl; rysy dwóch przyjaciół przejdą do późnych pokoleń, na ścianie sali ratuszowej w Poitiers.

Z pomiędzy archeologiczno-historycznych obrazów, kilka jeszcze zasługuje na szczególną uwagę. Wspomnimy tu najprzód dwa utwory Alma Tedema, Holendra. Pierwszy z nich przedstawia pracownię rzeźbiarza z czasu Cezarów rzymskich. W głębi widać liczne posągi marmurowe, lampy z brązu i inne przedmioty wykonane z dokładnością archeologiczną. Na pierwszym planie stoi mistrz przed grupą, którą tylko co wykończył. Rodzina rzymska, złożona z ojca, matki i kilkorga pięknych dzieci, ogląda z zachwyceniem na utwór. Postać rzeźbiarza rozpromieniona szczęściem: czuje, że wykonał arcydzieło!

Drugi obraz: dziesiąta plaga Egiptu, śmierć pierworodnych, wielkie sprawia wrażenie. Boleść matek przejmuję dreszczem. Jedna zwłaszcza Egipcyanka, osłupiona nad trupem syna, przypominała nam zupełnie milczącą postać matki zadumionych z cudnego poematu Juliusza Słowackiego.

Obraz Hektora Leroux: „Westalka,” nagrodzony medalem, ogólne też zyskał uznanie. Scena odbywa się nad Tybrem. Na błękitnym tle nieba, odbijają łuki, mosty i posągi starożytnego Rzymu. Po prawej ręce dom Westalek. Kapłanki w bieli zstępują ze schodów, lud tłoczy się, łodzie rybackie zapełniają wybrzeże. Na lewo po nad wodą stoi młoda Westalka Tucya, oskarżona niewinnie o przełamanie świętych ślubów. Z wyrazem najwyższego natchnienia ogląda w niebo, modli się gorąco do Westy. W rękę trzyma przetak, napełniony wodą z Tybrą. „Pozwól mi o bogini—woła—zanieść tę wodę do świątyni twojej na dowód, że jestem niewinna!” Modlitwa doszła, jak widać, w niebo, ani kropla nie spada na ziemię. Podziw obecnych doskonale oddany.

Do medalionowanych należy też dziwnie piękny fryz, pędzla Alzaczycy Ermana, przeznaczony na ozdobę jednego z gmachów publicznych. Wyobraża on historią sztuki w czterech głównych epokach. Grecy przedstawiają trzy symboliczne postacie: niewiastę architektura, malarstwo i rzeźba. Pierwsza z kompasem w ręku stoi wsparta o ołtarz Minerwy; druga przyjmuje z rąk bogini wawrzynowy wieniec; trzecia składa dłuto przed posągiem. Po za niemi Ictinus przynosi rysunek Partenonu, Fidyasz Jowisza Olimpijskiego, Appeles

zbliża się z obrazem. Po Grecyi następuje Rzym. Tu poeta przygrywa na lirze, wkoło tańczy grupa Faunów i Satyrów.

W głębi dwie zamaskowane muzy wyobrażają tragedję i komedję. Wieki barbarzyństwa następują z kolei: młoda dziewczica z głową pochyloną do kolan płacze u stóp wilczycy rzymskiej, gdy tymczasem przesuwają się w symbolicznych figurach wieki średnie i wieki odrodzenia. Wśród ostatnich panuje postać Fra Angelica Fiesole. Te grupy na tle błękitném dziwnie harmonijną tworzą całość.

Oprócz tych, widzimy kilkanaście scen historycznych wyższej wartości: liczymy do nich piękny obraz pana Langée: *Ludwik Święty przy stole z trzema ubogimi starcami*. Uderza także w oczy ogromny obraz Vignona: kadłub Pompeusza bez głowy płonący na stosie, podczas gdy konsul Lentillus, przyplływa łódką do wybrzeży. Odznacza się wielką harmonią kolorytu obraz Ziera: Katon z Utyki, próbujący ostrza szpady, którą za chwilę utopi w własném sercu. Jest tu jeszcze i konająca Kleopatra, Bixensa, i okrutny Neron, Mussiniego, szarpany postrachem i rozpaczą, sam, opuszczony w własnym pałacu, z kąd słyszy okrzyki zbuntowanego miasta. Jest tu i Messalina Hennebicqua, wystawiona na obelgi wściekłego ludu; jest i Karolina Corday z okropnym spojrzeniem, snąc przemyślająca już o zbrodni, pędzła Tonny Fleury, uwieńczonego dawniej za Korynt.

Wszystkie te obrazy pełne zalet, ale ich liczba nader ograniczona w porównaniu z tą niesłychaną powodzią portretów i obrazków rodzajowych, co zalewają wystawę. Utyskują na ten kierunek poważni krytycy. Uderzyły nas szczególnie słowa p. Cardon tego samego, który tak wybornie ocenił Matejkę. „Malarstwo historyczne—mówi on—wymaga różnostronnej wiedzy, jakiej nie posiadają nasi artyści, wiedzy, którą dać tylko mogą dokładne nauki klasyczne w wydziale historii, literatury i archeologii. Co więc? oprócz naukowego i artystycznego wykształcenia, sztuka historyczna wymaga w młodym artyście wzniesłego ducha, głębokiego rozmysłu, powolnej i sumienniej pracy. Nie dziwny się więc, że znika liczba obrazów, przedstawiających wielkie sceny z życia czyto starożytnych, czy nowożytnych bohaterów. Taki niestety prąd ogólny; anegdota historyczna zastępuje dziś poważną historję; powieść zapanowała w miejsce poezyi, kronika dziennikarstwa zastępuje dziś książkę.”

Owémto *disce puer*, odpowiedział wybornie krytyk tym cynicznym apologistom nieuctwa, którzy pytają jak Figaro: „Kto dzisiaj myśli o Batorym?”

Przejdźmy teraz na dosyć obfite pole obrazów religijnych. Z tych najwięcej sprawił hałasu, Chrystus Ukrzyżowany, Bonnata. Byli i tacy, którzy ogłosili ten obraz arcydziełem, najcenniejszym klejnotem tegorocznej wystawy.

Szczęściem głosy te umilkły, zgłuszone chórem powszechnego oburzenia. Tacy nawet krytycy, jak Albert Wolf, powstali na gruby realizm tego obrzydliwego utworu. Gdyby p. Bonnat grzeszył nie-

znajomością sztuki, możnaby mu przebaczyć; lecz on malować umie, ręka jego po mistrzowsku włada pędzlem! Gdyby mu w duszy brakło świętego płomienia, gdyby nie umiał podnieść się do wysokości ideału i to przebaczyćby jeszcze można: nie każdemu dano być Michałem Aniołem lub Rafaelem. Ale p. Bonnat wiedział dobrze, co czyni. Chciał pokazać trupa na krzyżu i odtworzył go z prawdą rzeczywistą, czysto ziemską, ohydną! Aby uczynić go tém straszniejszym, oświecił przedmiot z dwóch stron: z jednej krwawém odbiciem zachodzącego słońca, z drugiej błyskawicami z czarnej chmury, co sprawia złudzenie optyczne, nadające wypukłość członkom, uwydatniające każdy muszkuł. Słusznie téż porównano to ciało do mapy geograficznej *en relief*, pełnej gór i pagórków, i dolin, i czarnych przepaści. Dowcip Paryżanów znalazł bogatą pastwę. „To Chrystus petrolez i komunardów!” mówili jedni; „to łotr ukrzyżowany na Kalwaryi, a nie Chrystus” wołali drudzy; to Chrystus odpowiadali inni, ale ukrzyżowany nie na Kalwaryi, tylko w pracowni świętokradcy malarza! To postrach na potępieńców, powołanych przed sąd, utrzymywali znów tamci; obraz ten bowiem przeznaczony do pałacu sprawiedliwości! Wątpimy jednak czyli znajdzie tam miejsce; gazeta trybunalska wystąpiła silnie przeciw utworowi Bonnata.

Wyobraźmy sobie twarz szpetną, pospolitą, wykrzywioną konwulsyjnym drganiem, sino-miedzianej cery, jak zwykle u konających. Ciało sztywne, zastygłe, nogi zaś nabrzękłe z rozdętymi żyłami, jakby u żywego człowieka. Niewłaściwość pochodzi ztąd, że malarz, odwzorowawszy kadłub z trupa, usunął martwy model, a zastąpił go żywym, którego postawił na przybitéj do krzyża deszczulce. Dziwna rzecz, jakim sposobem malarz realista mógł zapomnieć, że u człowieka w chwili skonu, wprzód nogi tężeją, nim serce bić przestaje. Słowem mimo rysunku, mimo biegłości pędzla, obraz to bezecny, ohydny. Przed takim Chrystusem, modlitwa niepodobną, ten już nie zmartwychwstanie! Bodaj się był nie rodził pod pędzlem takiego artysty!

Nie żądamy jednak, aby ten popęd do znieważania grubym realizmem świętych przedmiotów, miał być panującym we Francyi. Bonnat stoi samotny na swéj drodze; nie utworzy on nowéj szkoły. Inni za to malarze inaczej pojmują sztukę religijną; świadczy o tém szereg obrazów, wśród których, jeśli nie znaleźć rafaellowskich arcydzieł, trudno przecież odmówić nie jednemu prawdziwie wzniosłego namaszczenia.

Dwa religijne obrazy młodych malarzy, nagrodzone zostały medalami. Pierwszy z nich pana Lehoux, przedstawiający męczeństwo Ś-go Wawrzyńca, policzony do najlepszych na wystawie. Święty leży na rozpalonej kracie: oblicze mocno oświecone płomieniem, pełne wyrazu i natchnienia. Wkoło snują się oprawcy: jedni znoszą drzewo, drudzy wznecają ogień. Na prawo straż uzbrojona w włócznie, w głębi dowódzca konny, po za nim tłumy ludu. W oddaleniu rysują się mury miasta nad rzeką. Wielka siła i śmiałość w wykonaniu, cechują ten znakomity utwór.

Drugi także nagrodzony medalem obraz p. Courtot, przedstawia Ś-go Sebastjana, przeszytego strzałami, zawieszona na drzewie. Dwie niewiasty rzymskie przystępują do męczennika: jedna wydiera strzałę z piersi, druga odwiązuje sznur, kępujący ciało. Światło rzucone z boku, nadaje całej grupie prawdziwą harmonię.

Do znakomitych utworów zaliczymy obraz Humberta, *Madonna z Dzieciątkiem na ręku* i Ś-ym Janem obok. Kompozycja to surowa, nawet archaiczna, przypominająca dawne bizantyjskie mozaiki, ale pełna oryginalności.

Płaszcz Bogarodzicy amarantowy, welon ciemno-brunatny, utrzymują całość w ciepłym tonie. Oblicze Jezusa ożywione idealnym blaskiem, słodki uśmiech igra Mu na usteczkach, kiedy chwyta z rąk maleńkiego towarzysza prosty, drewniany krzyżyk.

Prawdziwie także piękny obraz wielkich rozmiarów p. Maillart: *Chrzest Świętego Augustyna*, przeznaczony do nowego kościoła w Paryżu. Na pierwszym planie widzimy ugrupowane grono dzieciwczek, przygrywających na rozmaitych instrumentach. Za nimi Ś-ty Augustyn z dwoma uczniami stoi po kolana w sadzawce. Po lewej ręce biskup Ambroży Święty, otoczony duchowieństwem, leje wodę na głowy neofitów. Po prawej Ś-ta Monika, klęcząca obok niewiast, wyciąga ręce ku synowi z wyrazem Bożego zachwytu. Młodzieniec pochylony nad księgą, zapisuje w niej chwilę wielkiego tryumfu kościoła.

Porywa niemięj uwagę obraz p. Laurent, przedstawiający Ś-go Brunona. Rzec dzieje się w dziedzińcu klasztornym w górach Kalabrii. Mrok pada na dziedziniec omurowany wkoło, ale ściany klasztoru oświecone żywym promieniem słońca. Ze schodów zstępuje święty, za nim zakonnicy w białych płaszczach, przy boku dwoje pacholąt. Wysłańcy księcia kalabryjskiego Rogera, składają na ziemi srebrne czasze i misy; święty odtrąca je z wyrazem oburzenia i grozy. Głos powszechny liczy ten obraz do najcelniejszych na wystawie.

Wspomniemy tu jeszcze piękny utwór p. Roux: *Ostatnie chwile Ś-go Wincentego a Paulo*. W obszernej sali święty bliżki już skonu, siedzi oparty w wielkiem krześle; w ręku trzyma krucyfiks. Kapłan pochylony u stóp, namaszcza mu obiedwie nogi. Dwaj chłopcy z zapalonemi gromnicami, stoją u boku świętego. Grupa aniołków przypatruje się z góry; blask zorzy, spływający z nich, oświeca przestrzeń całą.

Nagrodzono także medalem piękny szkic pana Monchablou przygotowany do fresków; są to czterej ewangeliści ze zwykłemi godłami. Ta liczba obrazów religijnych, z których celniejsze tylko wspomnieliśmy, świadczy wbrew zarzutom realizmu czynionym zbyt często Francyi, że jeśli sztuka religijna nie kwitnie tu tak, jak kwitła we Włoszech w XV-ym i XVI-ym wieku, nierównie jednak cęj tu stoi, niżeli w całych współczesnych Niemczech.

Nim przejdziemy do obrazów mytyczno-symbolicznych (grand style), spojrzymy na portrety, same bowiem wchodzą nam w oczy, gdziekolwiek się zwrócimy. Naliczyliśmy olejnych przeszło dwieście, nie licząc w to pastelów, rysunków i akwareli. Wszystkie w ogólności dobre, wiele wybornych, niektóre doskonałe. Cabanel wystawił dwa wielkich rozmiarów. Krytyka zarzuca malarzowi zbytne wypieszczenie. W żyłach, jak mówią, płynie różowy syrop zamiast krwi. Nie wiemy doprawdy, czy winić o to malarza, czy też wzory, istne kwiaty egzotyczne, wychowane w sztucznej atmosferze salonowej. Pierwszy portret księżnej de Luynes młodej wdowy w żałobie z synkiem i z córeczką, tworzy harmonijną grupę; drugi cokolwiek mniejszy, pani Velches de la Valette córki Rauchera, mniej przyjemne sprawia wrażenie. Dziwimy się, jakim tu sposobem wielki artysta mógł pozwolić na tak niesmaczną mieszaninę kolorów, na tunikę śliwkową przy sukni jasno-błękitnej; może to być modne, ale czy estetycznie? Piękniej przedstawia się portret kobiety pędzla Hennera w czarnym, aksamitnym paltoście z futrem i takimże kapelusiku. Postać poważna harmonizuje z prostotą ubioru, ożywionego tylko błękitnym krawatem. W modrém oku widać siłę i spokój. Nie żadna to eteryczna sylfida, ale niewiasta mężna, gotowa na życia przygody i burzliwe koleje; świadczy o tém parasol, na którym wsparła się, jak na tarczy. Seledynowa draperya nadaje bladéj cerze pełen życia koloryt.

Uprzywilejowany portrecista arystokracji Dubuffe przedstawił trzy wiotkie hrabiny z przedmieścia Świętego Germana, trzy lilije kołyszące się na jednéj łożydze. Podobny ich strój, podobny układ włosów, jednaka cera anemiczna, jednakie spojrzenie zgasłych oczu, jednakie rączki wypieszczone. Maniera świata zatarała w nich wszelką cechę samodzielności. Spotyka za to, ową samodzielność, w wybornym utworze młodego artysty p. Bastien Lepage: *portret dziadka mójego*. Śliczny to starzec, w prostéj kapocie wieśniaczej z twarzą ogorzalą, pełną wyrazu, z okiem rozpodgłodzoném. W ręku trzyma wielką okrągłą tabakierę; kraciasta chustka wygląda mu z kieszeni. Malarz nie znany dotąd zwrócił na siebie uwagę powszechną, tym znakomitym utworem. Dowiadujemy się w téj chwili że Lepage otrzymał medal.

Pani Melie Jacquemart wystąpiła z trzema prawdziwie pięknymi portretami. Stawa téj artystki datuje od lat kilku i wzrasta z każdym rokiem. Istna orlica zwracająca oczy ku słońcu, za cesarstwa pani Jacquemart zjednała sobie rozgłos portretem ministra Duruy i marszałka Canroberta. W roku 1870 widzieliśmy portret p. Thiers zidealizowany jéj pędzlem. W tym roku pewni byliśmy że zobaczymy portret prezydenta dzisiejszego Mac-Mahona, lecz inaczej się stało. Znać artystka podniosła wzrok ku obcym gwiazdom, świadczy litera W. oznaczająca dwa portrety młodych małżonków. Litery W. nie ma w alfabecie francuzkim.

Do najpiérwszych na wystawie należy portret Heberta byłego dyrektora szkoły rzymskiej, przedstawiający jakąś księżną w podeszłych latach. Wyraz zwiédłego oblicza oddany z całą prawdą, a co więcéj, podniesiony do ideału. Rzęsisto nagarniowany czepeczek łagodzi ostrosć rysów; gdyby ta księżna ukazała z pod iluzji loczki siwe, o ileż byłaby piékniejszą. Niestety przykrywająca je czarna peruczka splątała nam całą harmonię. Trudnoż winić o to artystę.

Słynny portrecista Carolus Duran zdziwił w tym roku i krytyków i publiczność zwiedzającą wystawę. Wiadomo że ten malarz gonący za efektem, nadużywał w najwyższym stopniu jaskrawych barw, drapery i ekscentrycznych ozdób, do czego pomagała mu dzielnie panująca od lat kilku moda. Żartowano z niego że jest raczej portrecistą sukien niż ozdób; jakoż w rzeczy saméj, postać portretowanych nikła pod nawałem aksamitów, atlasów, koronek, wstąg i kwiatów. Carolus Duran, mówiono, strzelał nasamprzód z rewolweru aby pozyskać rozgłos; potém strzelał z karabinu a nakoniec z armaty! Sądziłiśmy w tym roku że postępując *crescendo* artysta puści w Paryż ognistą bombę, Carolus Duran tymczasem zmistyfikował wszystkich i obrócił w niwec domysły. Dał na wystawę dwa prześliczne portrety, jeden pani Pourtalés w sukni skromnej jasno-perłowej, wybornie oświecony i wymodelowany; drugi cudniejszy jeszcze, pięcioletniej swojej córeczki. Nie piékniejszego jak ta mała pieszczołka, w czarnej aksamitnej sukieneczce, przewiązana różową szarfą, w półczoszkach popielatych, z czarną alzaczką kokardą na ciemnych włoskach przystrzyżonych nad czołem, z bładą delikatną twarzyczką i czarnemi, dziwnie wyrazistemi oczyma. Kudłaty bonończyk na ręku dziecka ślicznie dopełnia obrazu.

Inaczéj jeszcze Carolus Duran zażartował z krytyków. Zarzucono mu że nie zna anatomii, że nie umie malować ciała i dla tego nadużywa atlasów i koronek. Paryżanie osłepieni efektami, zapomnieli że przed dziesiątkiem lat, Duran, uczeń szkoły francuzkiej w Rzymie przysyłał do Akademii Sztuk Pięknych, wielkie kompozycye jak *Modlitwa wieczorna*, *Zamordowana*, i inne, w których występowały nie tylko istoty ludzkie w prawdziwych swoich kształtach, lecz i konie naturalnej wielkości. Otóż Duran dał dowód w tym roku że zna doskonale anatomią. Oprócz dwóch powyższych portretów, dał na wystawę idealną postać dziewczęcia bez odzieży, skąpaną w rosie, oświeconą blaskiem rannego słońca. Znawcy podziwiają doskonałość form anatomicznych, jak nie mniej mistrzowskie oświetlenie. Zemsta godna prawdziwego artysty!

Z pomiędzy ziomków naszych pp. Krajewski, Korwin Milewski i Przepiórski wystąpili z piéknymi portretami. Aby zakończyć nasze sprawozdanie pod dobrą wróżbą, powiedzmy słówko o prawdziwie utalentowanej artystce, pannie Izydorze Mikulskiej. Portret hrabiny L... wykonany przez nią w tym roku, zasługuje nie tylko na uwagę, lecz na istotny podziw. Piękne rysy sześćdziesięcioletniej matrony, wymodelowane śmiało i umiejętnie, wyraz oblicza napiętnowany głę-

bokim spokojem, owym spokojem jaki zwykle następuje po burzy. Młoda artystka umiała oddać, nie tylko samo podobieństwo rysów, ale co właśnie cechuje prawdziwy talent, umiała przeniknąć duszę wzoru swojego, odgadnąć długie walki uwydatnione w bladéj poźółtkéj cerze, w oku zapadłym i przygasłym, a bardziej jeszcze, w wyrazie głębokiej rezygnacyi. Ten to wyraz pochwyciła nasza artystka i podniosła go do wysokiego ideału. Suknia czarna jedwabna, pełna prostoty, koronka czarna zarzucona lekko na puklach siwych włosów, wszystko to tworzy razen prawdziwie harmonijną całość.

Panna Mikulska uczennica Cogneta i Karola Chapelain, jakkolwiek jeszcze bardzo młoda, od lat kilku znana już w artystycznym świecie paryzkim. Prace jéj od roku 1868 znalazły już uznanie na kilku wystawach z kolei. Do najcelniejszych jéj utworów należą rodzajowe obrazki: *Młoda matka*, *Trwoga macierzyńska*, *Odwiedziny u prababki*, i kilka pięknych portretów szczególnież D-r G. nabyty przez hr. Branickiego i ofiarowany do jednego z zakładów naukowych. W pracowni artystki zajął nas piękny portret jéj matki, jak nie mniéj własny jéj wizerunek nie wykończony wprawdzie jeszcze, ale oddający wiernie pełne wdziéku rysy młodej artystki naszéj.

Nie chcemy nużyć uwagi czytelnika, pozostawiamy téż opis innych obrazów i rzeźb do kroniki sierpniowej.

Pod tytułem *Gynecologia*, pani Olympia Audonard napisała historyczny rzut oka na stanowisko kobiety w pasmie sześćdziesięciu wieków. Autorka o którój mówiliśmy już rozbierając w jednéj z kronik podróz jéj po Ameryce, należy do kobiet dopominających się o swe prawa, tak piórem w publikacyach różnéj treści, jak żywém słowem w corocznych konferencyach. Gorliwa zapaśniczka w walce, pani Audonard umiała jednak ochronić się od przesady i śmieszności, w jakie wpadły zapalone jéj współszermierki wypowiadające wojnę społeczeństwu.

Tyle już w ostatnich czasach pisano o prawach kobiety, w saméj Warszawie tyle pism prowadzi gorącą polemikę w tym przedmiocie, tyle postawiono teoryi, tyle rzucono w świat nowych pomysłów, że nie myślimy bynajmniéj wchodzić w szranki i powiększać liczby walczących. Jeśli więc zamierzamy mówić o dziele pani Audonard, to jedynie traktować je chcemy ze stanowiska czysto literackiego, unikając zarówno roli rzeczownika jak i oponenta w podniesionéj sprawie wyzwolenia kobiety.

Książka którą mamy pod ręką, wykazuje nam kobietę w starożytnych społeczeństwach u Hindów, Persów, Egipcyan, Greków, Latynów i Germanów, w czasach pogańskich a następnie przy piérwszym brzasku chrześcijaństwa. W jednym tomie zawarta całość; autorka zapowiada nam jednak tom drugi; ogarnie on historiją niewiasty francuzkiéj od

czasów Galskich aż do dzisiejszej chwili; niemniej ukaże na tle dziejów kobietę hiszpańską, włoską, angielską, polską, a nawet chińską i muzułmańską. Pani Audonard wzięła sobie za cel dowieść jak dalece ustawy społeczne wpływają na obyczaje kobiety: o ile niewola znikczemnia ich charakter, o ile znów swoboda daje im samo poznanie własnej godności.

Założenie piękne; nie brak autorce erudycyi aby je loicznie przeprowadzić; załujemy tylko że brak jej niekiedy zimnej krwi i spokojności. Rażą nas te ciągłe przymówki *ad hominem*, to do Dumasa roszczonego sobie prawo życia i śmierci nad kobietą, to do zmarłego prawnika Dupin, z którym autorka polemizowała niegdyś w przedmiocie zbyteków niewieścich. Takie klucie śpilkami, zwykłe w artykułach dziennikarskich, przyjęte nawet w akademickich mowach, wydaje nam się nie na dobre w badaniu psychologiczném. Dalecy jesteśmy od zupełnego potępienia owęj soli, którą Francuzi na wzór mistrzów swoich Ateńczyków, lubią zaprawiać nawet płody suchęj erudycyi; protestujemy tylko przeciw jej nadużyciu. Wprawdzie trudna to rzecz dla autorki tak dowcipnej jak pani Audonard, wstrzymać złośliwy żart, gdy sam nasuwa się pod pióro. Zobaczmy oto jak umie dopatrzeć słabą stronę przeciwników i zręcznie w nią ugodzić.

„Mężczyzni—mówi—nie pobbłazają nam kobietom; chłoszczą nas przy każdej sposobności. I my téż mamy ostry oręż, użyjmy go we własnej obronie. Owym orężem polityka.

Skoro mężczyzna powie nam: Kobiety są lekkie, lubią świecidełka, wstażki, poświęcają nieraz ważne i święte sprawy tym drobnostkom.

Odpowiem na to: A mężczyzni czyż nie gotowi częstokroć postąpić wbrew przekonaniu dla złotego świecidełka i wstażeczki?

Gdy mi powiedzą: Kobiety nie umieją nigdy porozumieć się między sobą.

Odpowiem im: A mężczyzni czyż umieją porozumiewać się w polityce? Ci obstają za kolorem czarnym, tamci za błękitnym, ci znów pragną białego! Barwy sztandaru są dla nich trudnym do rozcięcia węzłem gordyjskim; spierają się, a kraj tymczasem dąży do zguby. Ich kłótnie gubią Francją!

Powiedzą mi: Kobiety są gadatliwe, całemi godzinami rozprawiają o niczém.

Odpowiem na to: A niektórzy mówcy parlamentarni, czyż całemi godzinami nie sypią słów brzmiących lecz pustych, z których nie wycisnąć jednęj myśli praktycznej!

Powiedzą mi: Przekupki kłóca się i niekiedy draż za włosy.

Odpowiem: A w klubach, przed wyborami, czyż się inaczej dzieje?

Powiedzą nakoniec: Kobiety zazdroszczą sobie, spotwarzają się wzajem!

Odpowiem na to: A mężczyźni przeciwnych obozów, czyż nie szkalują jedni drugich? Czytajmy tylko dzienniki!

Koniec końcem, dodaje autorka, polityka dostarcza nam sownie broni na przeciwników naszych; dzięki jej, mogą oddać wet za wet. Radzę też szczerze kobietom niech się nie wdzierają na owo pole, które wydaje tyle ciernisk i chwastów: zostawmy drugim odpowiedzialność!

We wstępie, autorka jednym rzutem oka przebiega sądy filozofów i myślicieli, głoszone na krzywdę kobiety, uznające ją albo złem koniecznym, lub przynajmniej istotą słabą, niby wiotką jemiolę, której potrzeba opleść się o dębowe konary. Zobaczmy te zarzuty.

Salomon rzekł: „Wdzięk niewieści kłamliwym jest, a dobroć występkiem“.

Plaut wyraża się z równą pogardą: „Nie chciejmy wybierać pomiędzy kobietami, najlepsza z nich nic nie warta.“

Poeta grecki Hezyod w ową Puszczę Pandory, z której na świat wyszły wszystkie plagi, widzi uosobioną kobietę. Posłuchajmy go tylko:

„Kulawy Wulkan posłuszny woli Saturnowej, ulepił z ziemi postać podobną do czystej dziewicy. Boskie Gracye włożyły jej na szyję złoty łańcuch; długowłose Godziny ozdobiły jej czoło wieńcem wiosennych kwiatów; Pallas dała jej piękną szatę; Posłannik bogów na rozkaz Zeusa uzbroił serce jej sztuczną mową, zdradą i kłamliwym uczuciem, Herold bogów mienił tę kobietę Pandorą, gdyż mieszkańcy Olympu złożyli jej dary, aby się stała plagą dla śmiertelników.“

„Z Pandory, dodaje *Teogonia*, zrodziło się plemię niewieście. Złowrogie plemię osiadło między ludźmi. Jowisz dopuścił na mężów plagę niewiast“.

Eschyles mówi w *Siedmiu Wodzach*:

„Płć to znieawidzona przez mędrców, tak w niedoli jak w szczęściu. Bodajbym nigdy nie łączył się z niewiastą, bo jeśli rozkazuje, pycha jej nieznośna; jeśli trwożliwa, staje się plagą domu.“

Sofokles przyznaje niekiedy cnotę niewiastom, upomina jednak aby mąż nie ulegał im nigdy; snadnie mu przebaczy jeśli schyli kark pod jarzmem tyra.

Poeta Xenarque napisał: „Szczęśliwe koniki polne, albowiem nieme są ich towarzyszek“.

Sokrates utrzymywał że straszniejsza miłość kobiety niż nienawiść mężczyzny, że lepiej żyć ze smokiem niż z niewiastą.

Eurypides zażarty wróg rodu niewieściego, ów Dumas grecki jak go nazywa autorka, woła w oburzeniu: „O jakże płć niewieścia nędznie uposażona, w porównaniu płci męskiej. Wyższa od niej w przewrotności, o ileż niższa cnotą!“

„Kobiety, mówi w *Orestesie*, stoją zawsze kamieniem na drodze, która wiedzie ród męzki do szczęścia! W *Ifigenii* znajdujemy to słowo: „Gdy mąż w rodzinie umiera, godzien jest żałoby; niegodna jej kobieta!“ „O Jowiszu! woła, ustami Hippolita, i czemuż to niewieście dałeś miejsce pod słońcem? Nie byłoby lepiej, gdyby ludzie kupo-

wali na wagę srebra lub złota, posiew przyszłych pokoleń złożon w świątyniach twoich i wychowywali dziatwę bez udziału kobiety?"

Z owego steku ohydy i upokorzenia, autorka przechodzi do pierwszych wieków chrześcijańskich. Chrześcijaństwo, rzecz, uświęciło kobietę. Wobec mężczyzn i prześladowania, potęgą wiary i odwagi dorównała mężczyźnie. Świadczy liczba świętych i męczenniczek.

Odmieniły się rzeczy. Przyszły wieki rycerskie: waleczni za-paśnicy biorą za godło: „Mój król i moja pani.“

Świetna to epoka dla niewiast. Widzimy je krzatające się w dziedzinie sztuk pięknych i poezyi; dzięki im, obyczaje łagodnieją, społeczeństwo przychodzi do ogłady.

Trubadurowie i Truwersy, królowie i księżęta, Ryszard Lwie serce, Rajmund Beranger, Bertran z Hornu, Andrzej Tibold hrabia Szampanii i tylu innych, ogłaszają niewiastę istotą wyższą, wybraną, ideałem piękna i wdzięku. Rycerze walczą w obronie jej czci znieważonej; poeci przebiegają zamki i grody: w cudnych pieśniach opiewają cnotę i urok swych bohdanek.

I znów odwróciła się karta: wiek odrodzenia stał się dla kobiety wiekiem upadku! Szekspir rzekł mówiąc o niej: *zdradziecka jak fala!* Byron powtórzył za Szekspirem:

„Znam burzliwe kobiety, znam burzliwe fale:
Nad kochankiem się więcęj, niż nad majtkiem żalę.“

Poważny Monteskiusz tak się wyraża w sławném dziele „*Duch Praw.*“ Przyroda obdarzywszy mężczyznę siłą i rozumem i nie stawiając innej tamy jego potędze, nad ową siłę i ów rozum, kobiecie dała tylko wdzięki, i chciała, aby jej wpływ kończył się z temi wdziękami.

Naruszewicz jak widać sparafrazował Monteskiusza w sławnym wierszu:

„Natura wołam rogi,
Dziarskie kopyta koniom,
Rączy zajmcom nogi,
Trąbę zaś dała słoniom;
Ptakom lot, rybom skrzele,
Nam roztropność w podziale.
Kobietom zaś nie miała
Nic więcęj: cóż im dała?
— Piękność, która im stoi
Miasto strzał, miasto zbroi.
I miecz i tarcza pękna
Przed tą, która jest piękna.“

Rousseau widział także w kobiecie bawidełko przeznaczone dla uciechy mężczyzn.

Bonald głosi aksyomat, że kobieta i mężczyzna nie stoją na równi i nigdy zrównać się nie mogą, lecz nie tłumaczy powodu takiej teorii.

Robespierre apostoł wolności, równości i braterstwa okazał się niemniej zaciętym wrogiem kobiet. Kiedy Siéyes i Condorcet domagali się na korzyść kobiety godniejszego jej stanowiska, w kodeksie praw i społeczeństwa, Robespierre głosił z trybuny że połowa rodu ludzkiego musi ulegać drugiej.

Napoleon I-szy nie sprzyjał też kobietom. Kiedy dyskutowano w senacie nad kodeksem, wyrzekł pamiętne słowa: „Nie zgadza się z duchem francuzkim, aby kobieta miała działać według swjej własnej woli.“

Legouvé w dziele *O kobiecie* pozbierał wszystkie zdania, stwierdzające mniemaną niższość kobiet. „Rzecz określona stanowczo co do przeszłości—dodaje zartobliwie. Są na niebie gwiazdy drugorzędne, satelity, których przeznaczeniem krążyć około ciał wyższych i służyć im za orszak. Taką rolę odgrywa księżyc względem ziemi. A więc w mniemaniu świata, kobieta jest satelitą mężczyzny. Niektóre gwiazdy jak Jowisz naprzykład mają po cztery księżyce. Obraz to polygamii.“

Pani Audonard przytacza te słowa i dodaje do nich dowcipną uwagę: „Jeżeli taka opinia obraża miłość własną kobiety, niech ją pocieszy ta myśl, że ludzka nauka nieraz okazała się mylną. Długo mniemano, że słońce jest satelitą ziemi, że krąży w około niej, aby blaskiem swoim oświecać ludzi, owych królów stworzenia. Potrzeba było Kopernika, aby sprostował błąd wiekowy.

Idąc loicznie do założenia swego, autorka występuje stanowczo z dowodami w ręku przeciw twierdzeniom tych, którzy zaprzeczają kobiecie siły fizycznej. Dzieli kobiety na cztery kategorie: na wielkie panie, mieszcanki, robotnice i wieśniaczki; naprzeciw każdej stawia odpowiednią kategorię mężczyzn.

Co do wielkich pań: bezsilność ich nie ulega wątpliwości. Brak powietrza, słońca i ruchu, moda długiego w noc czuwania, te warunki tak wprost przeciwne higienie, czynią je podobnymi do egzotycznych kwiatów; a jednak te eteryczne istoty w wiecznej pogoni za wrażeniem, trawiąc noce na balach i widowiskach dają dowody niepospolitej siły, niestety użytej tak marnie!

Zobaczmy, pyta autorka, czy młodzieniec światowy żyjący w tychże warunkach, okaże dowód siły muszkularnej, gdy mu przyjdzie rąbać drwa, tłuc kamienie, nosić worki ze zbożem? Żyjąc inaczej miałyby dostatek sił na cieśle i na drwa, jak wytworna pani na praczkę. Siła leży w nas, potrzeba ją tylko rozwinąć.

Weźmy mieszcankę. Ta pracuje na równi z mężem, musi w dodatku karmić i wychowywać dzieci.

A robotnica? Patrzymy na tę kobietę pochyloną nad brzegiem rzeki, po kostki zanurzoną w wodzie; patrzymy jak trze i wykręca bieliznę, czy w skwar lipcowy, czy w zamieć grudniową. Wszystko to dla niej jedno, musi zawsze pracować! Stałaż to, pytamy, kobieta? Dzień się kończy: obładowana pękiem mokrych chust, powraca do do-

mu, niekiedy zdaleka. Mąż wraca także z roboty. On przynajmniej odpocznie chwilę; dla niej spoczynku niema! I któż ugotuje wieczrę? kto obszyje męża i dziatwę? Przekupka gdy wlecze w pocie czoła swój wózek, śmieciarka gdy zamiata ulicę, małoż wypotrzebują siły?

Zobaczmy teraz wieśniaków. Czyż kobieta wiejska mniej pracuje od męża? Kosi trawę, rżnie zboże, okopuje kartofle motyką, zbiera kamienie, kopie grędy, piele, posiewa ogród. Przez cały dzień siedzi skulona, a wieczorem gdy mąż zaśnie znużony pracą, ona zamiata izbę, krząta się przy ognisku. Nadchodzi niedziela: mąż spieszy do karczmy, pije za stołem w gronie druhów; żona pracuje w domu: dla niej niema niedzieli. Mimo to krzepka i zdrowa, wychowuje dorodne dzieci, żyje długo, dłużej od męża; świadczą o tém cyfry statystyczne. I któż powie, że mąż silniejszy od niej?

Pani Audonard stawia mnóstwo dowodów świadczących o sile kobiety, gdzie tę siłę rozwijano odpowiedniem ćwiczeniem. Dowodów tych dostarcza jęj Herodot, gdy mówi że w starożytnym Egipcie niewiasty chodziły na targ, pracowały w polu, podczas gdy mężowie przędli wełnę pod cieniem strzechy. W podróży po Egipcie autorka przekonała się sama, że po wiekach XX-tu obyczaje w niczém się nie zmieniły. Dziś jak za czasów Herodota, niewiasta pracuje tam jak bydlę, a Fellah kręci wrzeczono u drzwi swojego domu.

Głęboka erudytką przypomina jak dawne Giermanki z czasów Tacyta dzieliły z mężami trudy wojenne, jak starożytne niewiasty Galiskie oblegały i zdobywały miasta, jak Amazonki wojowały zawzięcie w Czechach, jak Własta przez lat ośm ścigała trop w trop Przemysława, aż poległa z orężem w ręku: jak Libusza narzucała prawa Władysławowi.

„Niech kto nie sądzi, dodaje, mówiąc o Amazonkach, że radabym wskrzesić te rycerskie niewiast zastępy. Cywilizacja nowożytna miała dość smaku, że uwolniła niewiasty od służby wojskowej. Wdzięczna jęj za to jestem, radabym tylko dowieść, że jeśli kobieta niema być żołnierzem, to nie dla braku wytrwałości w trudach i siły.“

Odpowiedziawszy na zarzut słabości fizycznej, pani Audonard odpiera zarzut intelektualnej nieudolności, czyniony zarówno kobietom. Uwaga jęj bardzo słuszna, że kto chce sądzić prace umysłowe kobiet w stosunku do prac męzkich, powinien wziąć na uwagę sposób niedbały w jaki je kształcono i zapory jakie napotykały. „Geniusz, mówi, to iskra Boża złożona w nas przez Stwórcę, ale iskra ta nie wybuchnie płonieniem, jeśli nie wykrzesana pracą naukową, nie wyrobiona stopniowym rozwojem myśli. Gdyby Kopernik nie miał najmniejszego pojęcia astronomii, gdyby go nie uczono matematyki elementarnej, nie byłby odkrył ruchu ziemi, gdyż to odkrycie było owocem nauk, nie samego tylko natchnienia. Chemia i matematyka, to podwaliny wszelkich odkryć. Przesąd pozbawia kobiety owych

nauk; ztąd zarzut, że nie dotąd nie odkryły zupełnie jest niesłusznym. Aby dobrze czytać, trzeba koniecznie znać alfabet. Otóż w naukach kobiety nie doszły nawet do alfabetu. Nieświadomość ta, z góry im narzucona, ściągą na nie zarzut niższości umysłowej.“

Mówią, dodaje autorka, że umysł kobiety ma zdolności właściwe sobie, odrębne. Zgadzam się, ale jestże to dowodem jój upośledzenia? Rubens nie byłby odkrył tego co odkrył Galileusz, a Galileusz z pędzlem w ręku byłby zapewne malował obrazy bez wartości. Obaj przecież byli geniuszami.

Mężczyzna i kobieta stworzeni na to, aby dopełniać się wzajem. Kto chce utrzymać rozbrat umysłowy między nimi, popełnia prawdziwą nieloiczność. Jeżeli taki rozbrat szkodzi społeczeństwu, bo zmniejsza sumę wiedzy ludzkiej, szkodzi nie mniej tém, że psuje harmonią pomiędzy małżonkami. Mąż uczony nie może zamienić myśli z żoną, nie mówi z nią o tém co ją najżywiej obchodzi: ona go nie rozumie. W takich warunkach żona nie może być prawdziwą towarzyszką męża: będzie jego bożyszczem albo bawidełkiem, niewolnicą albo kucharką. Małżeństwo, święte w całym znaczeniu słowa, wymaga spójni w myśli i w duchu, w uczuciu i w dążności umysłowej.

Potrzeba więc podnieść myśl kobiety, aby wrócić małżeństwu świętość jaką dziś postradało.

Słowa te nabierają więcej znaczenia, gdy je odniesiemy do francuzek, których wykształcenie umysłowe bardzo słabe w porównaniu z wykształceniem mężczyzn.

Po takim wstępie, autorka zapuszcza się w świat starożytny; daje obraz czterech pierwotnych ognisk cywilizacji: Hindostanu, Egiptu, Grecji i Rzymu; czterech wielkich społeczeństw, jakimi przedstawiają się u kolébki dziejów i w dalszym historycznym pochodzie. Z głębokich badań ten wyprowadza wynik, że w wiekach pierwotnych kobieta stała wszędzie w prawach na równi z mężczyzną, że później dopiero w miarę skażenia obyczajów zstępowała coraz to niżej, aż w końcu upadła zupełnie. Z równej stała się niewolnicą.

Pochodnia cywilizacji, mówi pani A., zgasła dziś w Indyach, ale o dawnym jój blasku świadczą dotąd pyszne pagody i powalone złomy gruzów, na których wyrte są sceny ze starożytnej mytologii; świadczą o niej i odwieczne księgi Wedy, obejmujące zasady historii religijnej, moralności i praw społecznych. Ziemia i przyroda uosobione tu w „Aditi“ czczonéj przez oraczy Aryów. Pieśni Wedy wystawiają tę boginię jako matkę bogów, rozdawczynię wszelkiego szczęścia. Wspominają także „Zorzę“ (Ousna) sprawiającą czaty u bram niebios.

Z wyżyn mytycznych zstępuje autorka na ziemię, przypomina zasadnicze prawo Manu: „Jeżeli ojciec uważany jako obraz Brahma, matka jest żywym obrazem ziemi. Ojciec to święty płomień domowego ogniska, matka to płomień ofiarny tlejący przy obrzędach.“ „Dwie władze, dodaje, męzka i żeńska zupełnie równe sobie.“

„Gdziekolwiek niewiasta żyje w ucisku, opiewa Rygweda, kłątwa Brahmy ciąży tam nad rodziną; gdzie niewiasta szczęśliwa i pozyczona, tam rodzina kwitnie i rośnie.“

Historja Indji przedstawia kilka odrębnych epok. W pierwszej odnoszącej się do czasów kiedy Arye osiedli u podnóża Himalaj, niewiasty wolne, otoczone poszanowaniem, dzieliły trudy wraz z mężami. W starożytnych epopeach widzimy jak podniecają dzielność bohaterów, jak walczą przy ich boku. Później w epoce najwyższego rozkwitu cywilizacji, rycerzsy Kszatrye spełniają tam czyny waleczności; ręka ukochanej najmiłszą dla nich nagrodą. Ci protoplaści średniowiecznych trubadurów, umieją władać zarówno piórem jak i łukiem; pozostały po nich wielkie poemata złożone niekiedy z dziesięciu tysięcy wierszy, na cześć uwielbionych istot. Oto urywek pieśni, w której poeta Gassamy tak wystawia oblubienicę:

„Nad brzegiem jeziora Dussudu, pod cieniem zielonych konarów utkanych krasnym owocem, kryje się dom mojej narzeczonej. Ona tak piękna, że wobec niej kwiaty zginają łodygi ku ziemi, jakby upokorzone widokiem siostry, stokroć od nich cudniejszej.

„Gdy się ukaze, motyle porzucają kwiaty, sam nawet biały kwiat lotusu i ulatują nad nią.

„Pszczółka przybiega do niej z brzękiem; znać wie, że kwiat ten mieści w sobie słodycz najwyższą!

„Moja oblubienica czysta, jak gołąbka, co wybiegła zaledwie z gniazdką. Nikt nie dotknął jej ręki miłosnym uściskiem, nikt nie położył palących ust na jej usteczka purpurowe. Ona czysta! Ona mnie kocha! Ja to pierwszy dam jej poznać słodki urok miłości.

„Wieczorem, kiedy słońce tonie w falach oceanu, kiedy miesiąc otoczony rąbkami chmurek, pogrąży ziemię w ciemności; kiedy wszystko śpi, gdy milkną dzienne gwary, ja kryję się w nadbrzeżnym sitowiu. Pełzam jak wąż, zbliżam się do jej domu, mam słodką nadzieję, że litosny powiew, co igrał niedawno z włosami ukochanej, przyniesie mi ich woń czarodziejską!”

Pani Audonard porównywa sławną Romayanę do Illiady. I tu, i tam dzielni bohaterowie staczają zapasy o kobietę; ale o ileż Walmiki przewyższył Homera w pojęciu doskonałości niewieściej. Helena to tylko cud piękności; Sita zaś, to ideał wiary małżeńskiej i poświęcenia. Kiedy Rama, idąc na wygnanie, wiedziony szlachetnym uczuciem, żąda, aby młodziuchna małżonka powróciła na królewski dwór ojca swego, wzniosłą odbiera odpowiedź z ust obrazonej:

„Niewiasta porzucona przez męża, odrzecz Sita, umarła już, lubo żyje w goryczy i ponizeniu. Brahmini tak określają powinność naszą: żona, która wiernie postępuje za mężem, jak cień za śladem człowieka, idąc kiedy on idzie, spoczywając, kiedy on spoczywa, szczęśliwa, gdy łączy duszę z duszą małżonka swego: żona taka w przyszłym nawet świecie iść będzie za mężem, jak szła za nim na ziemi.”

Dodajmy tu uwagę, że pani Audonard zgadza się na określenie indyjskie tak wiernie odbite w mowie naszej *iść za mężem*; nie widzi w niem upokorzenia dla kobiety, pragnie tylko, aby miłość szczerą, oparta na szacunku, przewodniczyła im w pochodzie przez najeżoną cierniem drogę życia; pragnie, aby sąd opinii z równą ścisła surowością zboczenia, czyto męża, czy żony, jak to czynił u starych Hindów, gdzie mąż za złamanie wiary małżeńskiej, pozbawiany praw kastowych, strącony bywał do rzędu pariasów.

Ciekawe szczegóły dodaje autorka o teatrze Hindów, który poprzedził rozwój sztuki dramatycznej w Grecyi. Sławny dramaturg indyjski Kalidasa, współczesnym był Wirgilemu i Horacyuszowi. Doskonałość jego sztuk świadczy, że poeta, który się zdobył na takie arcydzieła, musiał mieć długi szereg poprzedników. Goethe tak się wyraża o Sakuntali:

„Chcesz-li czar wszystek zakląć w jedném słowie:
 Świeży kwiat wiosny i owoc jesieni,
 Ziemię i niebo, i woń ziół w dąbrowie;
 Zdrój wód, z kąd czerpią ochłodę spragnieni,
 Co bawi umysł, co serce zapala:
 Wszystko ci powie słowo Sakuntala.”

Widzimy tu najpiękniejszy typ małżonki, która w miłości czerpie siłę do przebaczenia obłędu i bolesnej dla serca jęj obrazy.

Teatr indyjski miał charakter czysto-romantyczny. Autorowie nie zachowywali nigdy jedności miejsca ani czasu. Sztuki dzieliły się na dwa rodzaje: wyższego i niższego rzędu. Zasadnicze prawo wzbraniało kończyć rzecz traicznie, śmiercią bohatera lub bohaterki, czyto w widzialny, czy domniemany sposób. Obraz przeniwierstwa równie był zakazany. Żona cudza nie mogła być nigdy celem grzesznych zabiegów. Poszanowanie dla kobiety zabraniało ukazywać ją z piętnem hańby na czole. Chłostano za to inne wady, naprzykład kłótniwość niewieścią w nader komiczny sposób. W wielu komedjach spotykamy typ skąpój. Zanyka chleb, liczy każdemu kęski; mąż i domownicy cierpią męczarnie głodu. Ten wysysa kamyki, tamten żywi się trawą i korzonkami. Skąpa żona kraje suknie tak ciasne, że mąż nie może się w nie wtłoczyć, suszy mu głowę, czemu tak utył, narzeka, że dzieci rosą, że nienastarczyć im chleba i odzieży; aby dać im zapomnieć o głodzie, wymyśla zabawne powieści. Mąż błaga o pieniądze, żona opiera się; ulega w końcu: daje drobny pieniążek z długą admonicją za marnotrawstwo.

W żadnej sztuce nie widać typu skąpego męża. Dowodzi to, że kobieta jest w domu kasyerką i strażniczką fortuny. Ona ma w ręku klucze, wypłaca sługom należytość, pobiera dochody, rozdaje jałmużnę, dobiera sobie zięciów i synowe. Kobieta indyjska daleka od zależności, jest, co się zowie, panią w domu własnym.

Dziś znika coraz bardziej stara prostota w obyczajach Hindów. Bajaderki niegdyś czyste strażniczki świątyni, zmieniły zupełnie charakter. Mimo to kobiety w ogólności utrzymały się tam na niepodległym stanowisku, są duszą domowego ogniska. Wiele z nich oddaje się pracy umysłowej. Almy (uczone) tworzą, śpiewają i deklamują wiersze, układają sceniczne zabawy; żadna uczta nie obejdzie się bez nich. Ogół otacza je wielkim poszanowaniem.

Z Indyi autorka przechodzi do starożytnej Persyi. I tu w czasach pierwotnych, niewiasta żyła na równych prawach z mężczyzną. Religia Zoroastra utrzymała tę równość. Wprawdzie wyłącza kobietę od służby w świątyni, lecz nakazuje czcić, jako dobroczynne geniusze, imiona tych, które zasłynęły cnotą i odwagą.

W poemacie Szah-Nameh, który odbija w sobie duszę starożytnej Persyi, widzimy kobietę głęboko poszanowaną. Poeta-historyk ukazuje nam dwie bohaterki, walczące obok mężów, sławne poetki, gęźbiarki i śpiewaczki. Wolność, jakiej używały, podnosiła im ducha. Typem ich owa sławna Artemiza żona Mauzoleusza, której świat zawdzięcza jeden z cudów swoich w Halikarnesie. Ale od czasu, jak Kambizes wprowadził wielożenstwo, kobieta upokorzona, traci uczucie dawnej godności. Obyczaje psują się coraz bardziej. Dziś przyszło do tego, że mężczyzna kupuje kobietę lub najmuje ją na liczbę lat określonych kontraktem.

W Assyrii autorka pokazuje nam pyszną postać Semiramidy. Napis własnego jej układu, skreślony na grobowcu w Babilonie, jasno maluje tę wielką osobistość: „Przyroda dała mi ciało niewiasty, czyni moje uczyniki mnie równą najdzielniejszym mężom. Władąłem państwem Ninusa, które ku wschodowi sięga po rzekę Nihanam, na południe po krainę kadzideł i miry, na północ do Sokdyanu. Assyryjczyk przedemną nie widział nigdy morza, jam dostrzegła cztery, dotąd niedostępne ludzkim stopom i zapanowałam nad nimi. Jam zmusiła prądy rzek, aby płynęły g'woli chęci i pożytkowi memu. Jam użyczyła ziemie jałowe, skrapiając je wodą rzek moich; jam pobudowała niezdobyte warownie, poprowadziła drogi przez zjeżone krawędzie opok, przez pustynie deptane tylko nogami dzikich zwierząt. I w pośród tych wszystkich trudów, znalazłam czas ku uprzyjemnieniu życia sobie i wiernym moim.”

Runął gród zanurzony w zbytkach i rozpuście; niewiasty przyszły do ostatniego poniżenia. Ojcowie i mężowie za garść złota sprzedawali żony i córki zdobywcom pysznego Babilonu.

Podróż po Egipcie w roku 1867, pozwoliła autorce zbadać na miejscu pomniki długotrwałej potęgi tego państwa, nad którym władało 470 królów i pięć ukoronowanych niewiast. Królowe te pozostawiły głębokie ślady w dziejach Egiptu. Pierwsza z nich piękna Nitokrys, okrutna mścicielka zamordowanego brata, buduje sobie na grób istniejącą dotąd piramidę. Amauze miłośniczka sztuk pięknych w ciągu dwudziestoletnich rządów, wznosi w Tebach

wspaniałe gmachy i pałace, o czém świadczą symboliczne płaskorzeźby i hieroglify. Na 1600 lat przed erą chrześcijańską Imahoumod (matka wdzięków), podejmuje berło po Faraonie Horusie; włada mądrze i biegle godna córka wielkiego ojca. W sto lat po niej panuje królowa Taoser. Na świeżo odkrytym grobowcu w Bibun el Molouk widać ją w płaskorzeźbie, jak składa bogom ofiary i z ust ich odbiera zlecenia. Ostatnia z nich sławna z pychy, intryg i nieszczęść, umiała być wielką nawet w zbrodni. Kiedy kohorty Augusta Cezara zajmują podbity Egipt, Kleopatra, nie chcąc przeżyć hańby, przykładła do piersi jadowitą gadzinę i kona wraz z niepodległością starożytnej ziemi Faraonów!

Rzeźby na dawnych pomnikach odkrytych dziś w Egipcie, wtajemniczyły autorkę w życie domowe egipskich niewiast. Wszystkie ją przedstawiają otoczoną zbytkiem i przepychem. Tu siedzi obok małżonka, pochylona nad szachownicą, tam przygląda się pługom niewolnic lub słucha przygrywających gęźbiarzy. To znów w świetnym orszaku domowników, strojna w klejnoty bierze udział w uczcie publicznej; tam w dziedzińcu przepysznej willi, spoczywa wśród kwiatów i wodotrysków. Wszędzie i zawsze widać w niej panią domu.

Z Egiptu pani Audonard prowadzi nas do Grecji. W wiekach Homerycznych ukazuje kobietę szczęśliwą i wolną. Praca utrzymuje w niej siłę ducha i ciała. Bogini mądrości zasłania ją tarczą swoją, jak to widzimy w ustępie z Odyssei.

„Tu niewiasty kamienne obracają żarna
I pełnemi w nie garściami sypią złote ziarna;
Ta Inianą nic z kądzieli wyprzedza radośno,
Tamta bieluchną wełnę nasnuwa na krosno.
W ciągłym ruchu migocą ich ręce niewieście,
Niby listki topoli przy wiatru szeleście,
A tkanka ich wyrobu w pełne fałdy spływa
I świeci, by na słońcu błyszcząca oliwa.

Jako mężom feackim nie sprosta świat cały,
Gdy nawy swemi porą wzdęte morza wały,
Tak feackie niewiasty nad innemi słygną,
Dziełem skrzętnej swęj ręki, wytworną tkaniną;
Bo mądrością i smakiem Minerwa je darzy
I czystą myśl tych niewiast trzyma w swojej straży.”

Związek małżeński świętym był w mitycznej epoce: dowodem słowa Homera. Ulyses tak przemawia do Nauzyki:

Przezacnego małżonka bądź szczęśliwą żoną,
Niech kwitną wasze progi zgodą niezmaconą;
Bo nie znaleźć śmiertelnym pomyślniejszój doli,
Jak kiedy serce z sercem jedna myśl zespoli,
Gdy słodka zapanuje nad domem ich władza.
Ta jedność do rozpacz wroga doprowadza,

Uszczęśliwia przyjaciół i parze dobranej
Rozsiewa promień szczęścia na domowe ściany.

Za Homera niewiasta była królową. Ze zmianą obyczajów zmieniły się jej losy. Mieszkańcy Miletu i innych osad greckich w Medyi, uciekając przed azyatycką powodzią, szukają przytułku w pierwotnej swej ojczyźnie. Przesiakli nawskróś wschodnim wpływem, przynoszą zbytki i zepsucie do Aten. Zaraza szerzy się gwałtownie. Wówczasto rozpoczyna się w Grecyi nowa era, pełna chwały dla literatury i sztuk pięknych, smutna pod względem ustaw społecznych i moralności. Kobieta stała się niewolnicą najprzód ojca a potem męża; niewola, jak zwykle, zrodziła gorzki owoc.

Homer opiewał niewiastę wolną, Arystofanes ukazuje niewolnice zamknięte w Gyneceach. Upadek niewiasty pociąga upadek całego społeczeństwa. Mężczyźni, żyjąc między sobą albo w towarzystwie zepsutych kobiet, przemawiają w dziwnie cyniczny sposób. Język dzisiejszych przekupek słabe dałby wyobrazenie owego języka, jaki słynny komik kładzie w usta wytwornych niegdyś Ateńczyków. Z pomiędzy komedyi Arystofanesa przytaczamy jedną, która maluje najwybitniej obyczaje i dążności ówczesnych kobiet. Tytuł jej „*Sejm Niewieści*.“

Praxagora promotorka emancypacji w Atenach, około r. 415 przed naszą erą, powołuje niewiasty do domu swego; przybywają tłumnie. Każda według umowy, odziana w płaszcz męzowski, ma na nogach twarde buty, w jedném ręku kij, w drugiem trzyma fałszywą brodę. O świcie udają się razem na zgromadzenie; utworzą większość i żądać będą, aby wodze rządu powierzono kobietom. Tymczasem próbują sił w wymowie. Jedna woła o wino.

— Czy mężczyźni piją na zgromadzeniu?—pyta druga.

— Zapewne że piją—odpowié Praxagora—i jakie jeszcze wino! To téż ich wyroki podobne do marzenia pijaków! I promotorka wstępuje na zaimprovizowaną mównicę.

— Sprawa kraju—rzecze—ciąży mi na sercu równie, jak i wam wszystkim. Oburzam się, patrząc na bezład naszego miasta, którem rządzą ludzie przewrotni. Mamy zgromadzenia; ktokolwiek pobiera pieniądze, chwali istniejący porządek, kto nie bierze nic, rzuca pioruny na rządzących.

Ty ludu mój powodem jesteś wszystkich klęsk, ty szafujesz mieniem publiczném! Rzeczpospolita chromieje, ale czas jeszcze ją ocalić! Oddajmy władzę niewiastom, to jedyna deska zbawienia. O ileż one roztropniejsze i oględniejsze od nas! U nich wszystko idzie po dawnemu. Piorą wełnę w ciepłej wodzie, jak dawniej, rozczyniają ciasto, jak dawniej, obchodzą święto Cerery, jak dawniej, dokuczają mężom, jak dawniej, przyjmują do domu kochanków, jak dawniej, oszukują w wydatkach domowych, jak dawniej, piją czyste wino, jak dawniej. Otóż Ateńczykowie, oddajmy im rząd kraju, nie patrzmy

na drobnostki, pamiętajmy tylko, że są matkami, że nie zechcą szafować krwią żołnierzy, zresztą kobieta umie zbierać pieniądze.

Mowa ta wywołała oklask obecnych kobiet, przylepiają brody i wsparte na kijach z dawną pieśnią na ustach, idą na zgromadzenie.

Mężowie tymczasem budzą się ze snu; tu następuje scena pełna dowcipu, lecz zaprawna grubiańskimi żartami.

Blepyros mąż Praxagory, napróżno szuka płaszcza i butów. Kładzie żółtą tunikę żony, wsuwa jej obuwie i tak wychodzi z domu. W bramie spotyka sąsiada, przebranego również po kobiecemu.

— A to co? jakże ty wyglądasz—zawołał sąsiad.

— Od godziny szukam płaszcza i nigdzie go nie widzę.

— Powiedz żonie niech go poszuka.

— Żonciu! Dziwne rzeczy, jej także nie ma w domu! Nie rozumiem co się z nią stało.

— Szczególna przygoda. Czy wiesz że ja sam jestem w podobnym wypadku.

Wchodzi nowa osoba. Chremes powraca ze zgromadzenia, opowiada że nigdy nie widział takich tłumów. Piękny, błydy jakiś młodzieniec, rzecze do Blepyrusa, wysławiał kobiety, a spotwarzał cię strasznie.

— I cóż o mnie powiedział?

— Że jesteś złodziejem.

— Ja tylko? A o tobie nicze nie mówił?

— Co ci w to wchodzić! Mówił jeszcze że zdradzasz tajemnicę stanu.

— Ja tylko?

— Ty i my wszyscy.

— Mówił — ciągnie Chremes — że kobiety są mądrością samą, że szanują pieniądze, że nie wydają tajemnic Cerery, gdy my tymczasem zdradzamy tajemnicę stanu.

— Miał słusznosc— rzecze Blepyrus.

— Mówił nareszcie, że kobiety pożyczają bez świadków jedna od drugiej, klejnoty, suknie i srebra i oddają wszystko sumiennie. My zaś procesujemy się nawzajem, chociaż pożyczamy przy świadkach.

— I to prawda!

— Koniec końcem, podałem wniosek aby oddać rządy kobietom.

I zgromadzenie zgodziło się na to większością głosów.

— Tak więc postanowiono?—woła Blepyrus.

— Nieinaczej. Większość stanowi prawo. Ojcowie nasi mawiali, że najszańsze postanowienia obracały się zawsze na dobro Rzeczypospolitej!

Kobiety zrzuciwszy męzką odzież, powracają do domu; każda tłumaczy jak może nieobecność: mężowie jak zwykle dają wiarę na oślep.

Blepyrus oznajmia żonie, że zgromadzenie złożyło losy Rzeczypospolitej w ręce kobiet.

— Tém lepiej—odrzecze Praxagora, udając skromną minkę.

— A to czemu?

— Czemu? Bo nie będzie ani spisków, ani wojen, ani szpiegostwa.

— A z czego ja będę żył—zawoła Blepyrus z rozpaczą.

Kobiety oddają przewodztwo Praxagorze, ta ogłasza Rzeczpospolitę Platona. Wspólność majątków, wspólność żon, wspólność dzieci.

Naiwny obywatel składa wszystko co ma do *massy*; *praktyczny* przynosi czwartą część, *przebiegły* nie daje nic, woli korzystać z *mie*-*nia* *drugich*.

Kiedy obiad na stole, przybiegają tłumy; gdy potrzeba łożyć na obiad, nie zobaczyć nikogo.

Gdy idzie o pracę, każdy wymawia się, nie chce pracować dla *drugich*, woli korzystać z *cudzej* pracy. Szczęściem republikanie mieli tłumy niewolników; gdyby nie to, *ziemia* leżałaby odłogiem, *śmiecie* zasypałyby miasto. Większość próżnuje, oszusty wyzyskują *uczciwych*.

Kiedy młodzian ofiaruje serce pięknej dziewczicy, stara baba bez zębów pochwyca go za rękę:

— Czekał mój piękny—rzecze—w imię równości dopominam się o twoją miłość!

Kiedy młoda dziewczica szepcze słodkie wyznanie do ucha młodzianowi, stary jednooki dziad, staje pomiędzy nimi.

— Zatrzymaj się panienko, wyznanie twoje także do mnie należy; według systematu wielkiego Platona, wszystko musi wspólnem być wszystkim!

W innych komedjach Arystofanes chłoczeze niemniej wady niewieście. Z tych pocisków pokazuje się jasno, że mimo rygli żelaznych i strasznych Molosów postawionych na straży u progu *gyneceum*, kobieta, brak wolności godziwej nagradzała sobie swawolą.

Od Greków autorka prowadzi nas do Rzymian. Drużyna *roz*-*bójników* *spanoszona* *gwałtami* i *łupieżą*, zakłada miasto na siedmiu *wzgórzach*. Nie ma zrazu niewiast w owem mieście. Drużyna *roz*-*biega* się na prawo i na lewo, *porywa* *Sabi**nkil*. *Przyrzeka* im *zupeł*-*ną* *równość* w *prawach*. *Branki* *przywiązują* się do *zdobycwów*, *wy*-*stępują* jako *pośredniczki* między *mężami* a *rodziną*. Na *głos* ich, *wojna* *ustaje*.

Romulus wdzięczny niewiastom za pośrednictwo, nadaje im przywileje, uwalnia je od ciężkich prac domowych: *kądziel* i *krosna* *jedynem* ich *zajęciem*.

W pierwszej epoce Rzymu, świadczy Momsen, *rodzina* *urządzo*-*ną* *była* w *sposób* *mądry* i *sprawiedliwy*, pod *jednaką* *powagą* *ojca* i *matki*. *Mąż* *pilnował* *spraw* *zewnątrznych*, *żona* *była* *wyłączną* *pa*-

nią domu. Majątek ich był wspólny. Prawa i obyczaje szanowały niewiasty. Dzięki tym instytucyom, imiona matron rzymskich wspinały blaskiem świecą na kartach dziejów.

Koryolan postanawia, zgubić Rzym: matka wygnańca Weturya i żona Wolunnia przybiegają ze łzami i odwodzą go od zbrodniczego zamiaru.

— Matko—zawoła Koryolan—wybrałaś między Rzymem a synem własnym! Nie zobaczyż mnie więcéj! Bodajby rzymianie umieli ci być wdzięczni.

Odwdzięczył to senat, rozkazał wznieść pomnik na cześć niewiast.

Na 500 lat przed Chrystusem, Lukrecya małżonka Kalatyna, znieważona przez Sixtusa syna Tarkwiniusza Pysznego, powołuje ojca, męża, braci i krewnych. Błada od grozy, wyznaje przed nimi hańbę własną; woła o pomstę, a niezdolna żyć w takiej bezczęści, w obec nich przebija się sztyletem. Bohatérstwo młodej kobiety oburza umysły przeciw królom, sprowadza rzeczpospolitą.

Tacyt ukazuje Agrypinę żonę Germanika, jak ożywia mężtwo w zmordowanych wojną legionach, jak sprowadza z Italii zwłoki małżonka, jak oskarża Pizona o morderstwo. Zowie ją niewiastą z wielkiem sercem.

Niemniej sławna w dziejach Porcyja. Kiedy małżonek jój Brutus postanawia zamordować Cezara i pilnie ukrywa przed żoną krwawy zamiar, ona odgadłszy tajemnicę, rani się w obec męża. Brutus pyta o powód:

— Chcę ci dowieść—odręcze śmiało—że gdy ręka twoja chybi, jam gotowa isć z tobą do grobu.

Po śmierci Brutusa połknęła rozżarzone węgle, dotrzymując obietnicy.

Wśród tych wielkich matron, najwspaniałej świeci postać Kornelii córki Scypiona Afrykańskiego, małżonki Gracchusa: zostawszy wdową czuwa nad wychowaniem dwanaściorga sierot. Piękna jeszcze, odmawia ręki licznym zalotnikom; kiedy król Egiptu pragnie złożyć u stóp jój koronę, ona ukazuje mu dzieci: „Oto—ręcze—najpiękniejsze klejnoty moje!“ Światła ta matrona zgromadza do domu swego uczonych i poetów, uprawia z zapałem literaturę grecką. Cycceron przytacza jej listy jako wzór wytwornego stylu. Rzymianie wzniesli jój pomnik z napisem: „Kornelii matce Gracchów.“

Zmieniły się czasy i obyczaje. W miarę jak Rzym rozrasta się do potwornych rozmiarów, zepsucie podkopuje do gruntu jego posiadłość. Zwycięzkie kohorty ze wszystkich krańców świata, znoszą łąpy i złoto. Zbytek nikczemni serca, szal rozpusty zalewa miasta, jak płomienista lawa. Niewiasta sponiewierana, okryta pogardą, traci dawną powagę wraz z uczuciem własnej godności. Niewola uświęcona prawem, pogrąża ją w coraz to głębszy odmęt.

Juvenalis, Tacyt, Marcialis i Owidiusz malują straszniemi rysami obyczaje współczesnych sobie matron. Stracone z dawnego stanowiska rzucają się w szalone zbytki; miłość strojów staje się panującą ich namiętnością. W tym kierunku wyteżają całą działalność, marnotrawią, wszystkie siły ducha. Rozpasana fantazyja smakuje w potworności. Prospercyusz szydzi z włosów malowanych żółtą a niekiedy błękitną nawet farbą.

Owidiusz ułożył taką elegiją na włosy ukochanej:

„Błagałem cię gorąco, nie słuchałaś rady.
Po co barwić włos kruczy zatrutemi jady?
Uznałaś po niewczasie prawdę w mojem słowie,
Gdy jednego już włoska nie ma na twój głowie.
A piękneż one były, pomnij ukochana,
Gdy cię jak płaszcz falisty kryły po kolana.

Nie obwiniaj śmiertelnych o złośliwe psoty,
Czarodziej-że to urzekł twe krucze uploty?
Ściętaż je dłoń zawiścią podżegana mściwą?
Ty zniszczyłaś je sama, zatrutą oliwą!

Dziś aby sztucznym blaskiem świeciły twe lica,
Łupem włos ci oddaje wroga niewolnica!
A gdy cię zalotników rój dworskich otoczy,
Gdy sławić będą cudny blask długich warkoczy;
Wtedy gładkie twe czoło wstyd krasą zrumieni;
Zapytasz siebie w duchu: „mnież chwałą szaleni“?
Maż się chlubić, mój umysł do pychy zbyt skorzy,
Z głowy branki germańskiej zdartemi kędziory?

Obok ohydneho obrazu niewiast rzymskich z epoki ostatnich Cezarów, pani Audonard stawia jako sprzeczność, obraz dzikich ale wiernych i wolnych giermanek, które podzielały z mężami trudy wojenne, podsycaly w nich ducha radą, nawet przykładem. Przychodzi wreszcie autorka do konkluzyi: „Widzieliśmy, mówi, do jakiego stopnia ponizenia spadła niewiasta w sławnych Atenach i w zwyciężkim Rzymie, ale oto połyska nowe światło, czysta i święta moralność Chrystusowa! Zobaczmy wnet jak niewiasta zrzuca z siebie potarzaną szatę, jak dusza jej budzi się z długiego snu, z jakim zapałem przyjmuje owe rozkazy Boże, owe przepisy sprawiedliwości, czystości i miłosierdzia, co świadczy wymownie, że żywioł niewieści godzien był zrozumieć całą wzniosłość téj religii, którą Bóg w miłości swojej dał poznać ludziom, za pośrednictwem Chrystusa!

Niewiasta chrześcijańska w górę podniosła głowę, nabrała przeświadczenia o swéj godności moralnej, którą prawa ludzkie uspiły, okazała, że dusza niewieścia nie jest niższą od mężkiej, skoro przyj-

muje tak skwapliwie tę przeczystą moralność, owe przepisy, będące najwyższym wyrazem prawdy i sprawiedliwości!

Autorka wsparta świadectwem ewangelii, przypomina, jak Chrystus w czasie nauczania swego, otoczony był zawsze gronem niewiast, jak miłosierny dla nich przyjmował je pomiędzy uczniów, jak na prośbę siostr zmarłego Łazarza, przywraca mu żywot cudownie; jak dla Maryi Magdaleny ma tylko słowa przebaczenia, nadziei; jak okazuje miłosierdzie nad jawno-grzesznicą, mówiąc: „Kto bez grzechu, niech rzuci w nią kamieniem;” jak nigdy żadnym słowem nie poniża niewiasty, nie naznacza jej podrzędnego stanowiska. Przypomina niemniej autorka, jak święte niewiasty z godną uwielbiania odwagą, nie opuszczają Chrystusa w chwilach męki krzyżowej, jak stoją u stóp krzyża, jak podejmują ciało, oblewają je łzami, składają w grobie i nad grobem pilne trzymają straż; jak zmartwychwstały Bóg-Człowiek, nagradzając tę żarliwość niewieścią, ukazuje się naprzód Magdalenie, jakoby na znak, że niewiasta godniejsza ujrzyć światło, poznać i uczcić Boga.

Jakoż ledwie, że z ust apostołów rozbrzmiało po świecie słowo ewangelii, niewiasty wyrzekają się pierwsze dawnych błędów i gorącym sercem przyjmują nową naukę. Święty Paweł poświadcza to wielokrotnie w listach swoich. W Atenach, w tym ognisku zepsucia i błędnej filozofii, przyjmuje pierwsza Damaris, niewiasta wysokiego znaczenia. W Rzymie wiele dostojnych matron wyznaje naukę Chrystusową.

Pani Audonard na dowód potężnej wiary niewiast, wylicza długi szereg męczenniczek, które po bohatersku przypiecztowały krwią siłę własnych przekonań. Na dowód dzielności ich umysłowej, wspomina świętą Teresę, której pisma postawiono obok dzieł Ojców Kościoła. Nakoniec, na dowód wysokiego patriotyzmu, wymienia Genowefę świętą, patronkę z Nanterre i Joannę, cudowną patronkę z Domremy.

Autorka tak głęboko patrząc na rzeczy, nie mogła pominąć owych listów świętego Pawła, w których apostoł zaleca uległość żon dla mężów. Podczas kiedy inni zwolennicy emancypacji niewieściej, głoszą, jakoby święty Paweł nakreślił te słowa, ulegając ówczesnym przesądom, upowszechnionym pomiędzy Żydami, pani Audonard poddaje głowę pod wyrok Apostoła.

Święty Paweł napisał do Efezów:

„Żony niechaj będą poddane mężom swym, jako panu.

Albowiem mąż jest głową żony, jako Chrystus jest głową kościoła.

Ale jako kościół poddany jest Chrystusowi, tak téż żony mężom swoim we wszystkiém.

Mężowie miłujcie żony wasze, jak Chrystus umiłował kościół i samego siebie wydał zań.

Tak i mężowie mają miłować żony swoje, jako swoje ciało; kto miłuje żonę swoją, samego siebie miłuje.

Dlatego opuści człowiek ojca, matkę i złączy się z żoną swoją, i będzie dwoje w jedném ciele.

Sakrament to wielki jest, a ja mówię w Chrystusie i w kościele.'
Zobaczmy, co odpowiada na to autorka.

„Zaprawdę nie widzę w tém nic upokarzającego dla kobiety, coby dać mogło do myślenia, że święty Paweł uznaje w niej istotę niższą. Porównywa ją do kościoła, do przeskzytój oblubienicy Chrystusowój, tój Strażniczki świętój prawdy i najwznioślejszój moralności! Mąż powinien ją miłować, jak Chrystus miłuje swój kościół aż do oddania życia za nią! Powinien ją miłować, jak miłuje sam siebie!

„Oświadczam więc stanowczo—kończy autorka—że od chwili jak *wszyscy* mężowie stosować się będą do świętych rozkazów apostoła Pawła, nie będą troszczyć się o kodeks; uznam za rzecz najstuszniejszą, aby kobieta oddana była całkiem na łaskę pana, któryby ją miłował jak siebie samego, gotówby dla niej poświęcić ojca i matkę, a nawet umrzeć za nią; któryby ją miłował tą miłością czystą, świętą i nieskończoną, jaką Chrystus miłuje swój kościół.

„Gdyby mężowie rozumieli *wszyscy* obowiązki małżeńskie według świętego Pawła, żona szczęśliwa w tój ścisłej jedności duszy, serca, ciała i myśli, żyłaby spokojna i zadowolona nie pytając o prawa“.

Wszyscy! Wyraz ten dziwnie jakoś mąci nam harmonię, pięknych zkądinąd dowodzeń pani Audonard. Doskonałość jestże udziałem wszystkich? Jeżeli zresztą mężowie wyłamują się zbyt często z pod przepisów świętego Pawła, alboż to i *wszystkie* żony przyjęły do serca słowa Apostoła Narodów?

O ile kodeks praw może zapewnić szczęście i spokój kobiecie, nie nam wyrokować o tém. Zapowiedzieliśmy z góry że nie chcemy wdawać się w polemikę, w sprawie która dziś podała broń tyłu zdolniejszym od nas szermierzom. Przy toczącej się walce, dzieło pani Audonard może zająć nie jednego z naszych czytelników, dla tego przebiegliśmy je tak szczegółowo.

Są w tém dziele ustępy przeciwne zupełnie naszym przekonaniom. Godziż się aby autorka tak wytrawna, z takim poszanowaniem cytująca słowa ewangelii, tak lekko traktowała Mojżeszową Genezę, jak to czyni pani Audonard? Zgoda na to że młodziuchne angelki rozczytując się w Starym Testamencie, mogą natrafić tam na ustępy niekoniecznie potrzebne do uzupełnienia summy wiedzy dziewiczej; ale na co zgodzić się nie możemy, to na systematyczne wyszukiwanie plam na słońcu, na sądzenie starożytnych obyczajów według modły dzisiejszój. Gdyby Stary Testament bezwarunkowo był doskonałym, nie byłby potrzebował dopełnienia. W każdym razie jednak zasługuje on, aby ci co go czytają, naśladowali owych synów Noego, którzy z miłości rzucili płaszc na obnażone ciało Patriarchy.

Wspominaliśmy w roku zeszłym, że znakomity muzyk nasz w Paryżu, Wojciech Sowiński, zamierza wydać w języku polskim, ważne dzieło historyczne p. t. *Słownik muzyków polskich* dawnych i nowoczesnych, na wzór dzieła które wydał po francuzku w roku 1857. Otóż zamiar ten przyszedł do urzeczywistnienia. Mamy właśnie przed sobą pierwsze formy wyszłe z pod prassy. Nowa publikacya nie jest prostym przekładem: autor od szesnastu lat zebrał mnóstwo nowych materyałów, historycznych i biograficznych. Dostyć powiedziéć, że czterysta imion nie objętych w dziele francuzkiem, wzbogaci polskie dzieło.

Imię Sowińskiego znane w kraju, więcéj zapewne jeszcze znaném jest w artystycznym świecie paryzkim, gdzie muzyk nasz wyrobił sobie wysokie stanowisko. Msze jego utworu, grywane tam często po kościołach, jego oratoria i hymny, ozdobą są koncertów religijnych; jego uwertury i pieśni chóralne wywołują grzmiące oklaski na orfeonicznych zgromadzeniach; jego marsze brzmią w orkiestrach wojskowych; jego mistrzowskie studia na fortepian, zalecane tam uczniom przez najpiérwszych nauczycieli.

Zaczmé przystąpimy do ostatniego dzieła, powiedzmy słówko o autorze. Sowiński równie jak Szopen, a dawniéj jeszcze książe Ogiński, położyli dla kraju tę wielką zasługę, że dali poznać światu wielkie bogactwo naszych rodzinnych melodyj. Ogiński w akkordach poważnych polonezów, zaklął harmonijne dźwięki przeszłości. Twórczy Szopen zidealizowanym mazurem i rzewną dumką, wyśpiewał żal i tęsknotę serc zbolątych, Sowiński oprócz rodzinnych tonów które rozpowszechnił w muzycznych kompozycyach wykazał jeszcze światu jako głęboki erudyta, kilkowiekowe prace polskie w wydziale artystycznym, świadczące o jéj wysokiéj cywilizacyi, która rozwijała się niegdys na równi z cywilizacyą piérwszorzędných ludów w Europie.

Urodzony na Wołyniu we wsi Łukaszowce w r. 1805, Wojciech Sowiński uczył się piérwszych zasad sztuki od ojca, niegdys dyrektora muzyki pułku Malczewskiego; wysłany późniéj do Wiednia, kształcił się tam na fortepianistę, pod kierunkiem Karola Czernego; w kompozycyi zaś i harmonii, mistrzami jego byli: Gyrowetz i Leidedorf. Po raz piérwszy wystąpił publicznie w koncercie Humla, na teatrze Körtner Thor w Wiedniu. Zachęcony piérwszym poklaskiem, wyjechał do Włoch r. 1828, zwiedził Wenecyą, Medyolon, Bolonią, Parmę, Placencyą, Rzym i Neapol; dał się słyszyć w wielu koncertach, a imię jego coraz większego nabiérało rozgłosu. Udał się wreszcie do Paryża, gdzie stale zamieszkał od czterdziestu lat zgórą.

Wiadomo jak Francya umie ocenić i podnieść każdy talent. Pod żywotném jéj tchnieniem, z iskry wybucha płomień. Wkrótce oceniono tu Sowińskiego i policzono do piérwszych fortepianistów. Muzyczne jego kompozycye zwróciły powszechną uwagę. Były to czasy panującego w muzyce klasycyzmu, czasy Humla, Fielda, Kalk-

brenera: pierwsze téż utwory mistrza naszego, taki mają charakter. Trzymając się jednak ściśle klassycznych przepisów, Sowiński każdy swój utwór umiał wypiętnować narodową samodzielnością. W początkach zawodu wydał śpiewy i pieśni polskie, w tłumaczeniu francuzkiém p. t. *Chants polonais, nationaux et populaires*. Ten zbiór dał poznać Francuzom nasze pieśni historyczne, dumki, krakowiaki, mazury i kołomyjki.

W roku 1835 udał się do Londynu. Podróż ta silnie wywarła wpływ na młodego artystę, wyższy dała polot jego twórczym zdolnościom. Zebrania muzyczne na dworze księżnej Kent, matki królowej Wiktorji, wyrabiały w nim smak artystyczny, zasłyszane po raz pierwszy oratoryum Haendla, odkryło mu nowy świat sztuki.

Za powrotem do Paryża, Sowiński był świadkiem, a co więcej jednym z promotorów wielkiego przewrotu, jakiemu uległa cała muzyka w owych czasach. Przewódcami nowego ruchu byli z nim sławni mistrze: Szopen, Liszt, Tahlberg, później Mendelson. Sztuka popchnięta przez nich w nieznane tory, odżyła nowém życiem. Wówczas to nastąpił rozdział pomiędzy muzykami: jednych przewzano *pianistes penseurs* (myślicielami), drugich *pianistes tapageurs* (hałaśliwemi). Pierwsi z nich ożywieni poezją i uczuciem głęboko narodowém, przeszli do potomności, Szopen i Sowiński należą do ich liczby:

Smutne koleje życia, doznane nieszczęścia i zawody, wpłynęły z swój strony na nowy kierunek prac artysty naszego. Gra jego przybrała cechę dziwnie rzewną i melancholiczną, utwory nosiły tenże charakter. W dziele 50-tém, wydaném w dwóch zeszytach, p. t. *Heures de recueillements, les Larmes* i t. d. uderza nas wielka samodzielność w pomysłach; widać tu nowe zupełnie formy, czuć świeże tchnienie poezji. Wszystkie odtąd kompozycye noszą wybitną cechę tego zwrotu.

Niepodobna tu wyliczać szczegółowo licznych prac, któremi Sowiński zasłynął w świecie artystycznym. Ogólna ich liczba dochodzi stu szesnastu. Zcharakteryzował je wybornie jeden z pisarzy naszych. Powtarzamy tu cudne określenie: na lepsze zdobyć się niepodobna.

„Wszystko w muzyce Sowińskiego nasze, i rzewność śpiewu, i potęga melodyi, i owa tęsknota ducha, co porywa na przemian to piorunami burzy, to cichą boleścią, a kończy się zawsze dźwiękiem ufności i nadziei! Zaskyszysz tu, jak matka usypia dziecinę swojską pieśnią, jak skowronek śpiewa na kłosistych polach naszych, jak dumki ludowe żalą się niebiosom! Pieśń Bogarodzicy prowadzi myśl do kołębki narodu, hymn królowej Jadwigi w czasy rycerstwa. Taka muzyka, to nie kołysanie rozdrażnionych nerwów, to nie budzenie samėj fantazyi, ale zdrowy pokarm dla cierpiących, wypoczynek dla znużonych pracowników“.

Do najpopularniejszych pieśni naszego artysty należy: *Skowronek, Święta miłości* ze znanym tekstem Krasickiego, *Jaskółeczka* ze słowami Uderowicza, *Lutnia* ze słowami Świejkowskiego.

Uwertura do opery *Jadwiga*, pierwsza z dzieł ułożonych na całą orkiestrę, odznacza się oryginalną melodią i świetną instrumentacją. Inna znów uwertura do *Mazepy*, rozpoczęta prześliczną dumką ukraińską, zakończona tryumfalnym marszem, gdy kozacy obierają Mazepę na Atamana, grywana często na koncertach, zachwyca paryzką publiczność.

Nie możemy pominąć pięknej elegii na śmierć Mickiewicza na fortepian, i przepysznój symfonii na wielką orkiestrę p. t. *Powrót do Ogniska*. Tę ostatnią artysta ofiarował towarzystwu muzycznemu lwowskiemu. Z religijnych utworów, oprócz trzech mszy grywanych po kościołach tak w Paryżu jak i w innych miastach Francyi, zasługuje na szczególną uwagę: *Zbiór religijnych pieśni polskich* z tłumaczeniem francuzkiem, do akompaniamentu organów. Znajdujemy tu suplikacje *Święty Boże*, i wiele innych hymnów. Wydaniem ich nasz kompozytor dał poznać religijnym zakładom francuzkim, wielkie bogactwo kościelnej naszej muzyki.

Prawdziwem arcydziełem Sowińskiego jest wielkie Oratorium *Święty Wojciech* z librettem układu Krystyna Ostrowskiego. Ten znakomity utwór, wydany w roku 1845, odegrany był we dwa lata potem w sali Herza przez pierwszych śpiewaków z orkiestrą i chórami. Pieśń Boga-Rodzica nadaje mu cechę prawdziwie narodową. Główną tu osobą Wielki Apostoł Polski święty Wojciech; występuje również Bolesław Chrobry. Przeplatają szereg scen chóry aniołów, chóry pogan i ludu.

Oratorium składa się z dwudziestu siedmiu ustępów podzielonych na trzy części. Aryę ze słowami: „*Synu mój przebudź się*“ odśpiewano w Warszawie na korzyść Instytutu Muzycznego. Chór finałowy znany niemniej w polskim przekładzie.

Sowiński przebywa zwykle w Paryżu, otoczony kołem artystów, uczniów i przyjaciół. Doroczne jego koncerty są prawdziwą ucztą dla miłośników sztuki. Wytrawny mistrz umie je urządzić z nieporównanym smakiem, przepłatać orkiestrą i chórami, zakończyć jakby bankietem, wesołą operetką. Słynni skrzypkowie i wiolonczeliści, najchetniej biorą w nich udział. Solistki francuzkie, za odśpiewaną po polsku *Jaskółeczkę*, zbierają wieńce i oklaski. Gorętsze jeszcze oklaski zbiera nasz znakomity mistrz, który z nauką i doświadczeniem dojrzałego wieku, łączy werwę męzką i zapał prawdziwie młodzieńczy.

Poranki muzyczne w domu Sowińskiego, równem tchną życiem jak i jego koncerty. Owiani czarem swojskich melodi, oddychamy tam pełną piersią, jak znojni wędrowcy, gdy wśród skwarnej pustyni napotykać zieloną oazę. W gronie sędziwych druhów napotykamy tam Nestora rytowników naszych, Antoniego Oleszczyńskiego. Półwiekowa blisko przyjaźń łączy tych dwóch wytrwałych pracowników, którzy na ziemi obcej mnożą ojczyste plony.

Sowiński ceniony niemniej pomiędzy francuzami jako pisarz i erudyta. Słownikiem muzyków polskich dał on poznać światu do tysiąca imion zasłużonych na polu sztuki. Później w roku 1869 wydał po francuzku dzieło: *O życiu i pracach Bethowena*, przekład wolny z niemieckiego. Wielkie powodzenie jakie znalazła ta publikacja, zachęciły autora do nowój: przełożył życiorys Mozarta i wydał wzbogaciwszy własnym ocenieniem.

Dwa wielkie dzieła: *Oratorium Świętego Wojciecha* i *Słownik muzyków polskich* są koroną prac Sowińskiego. Powiedzmy kilka słów o tej ostatniej pracy. Autor zebrał w niej skrzętnie bądź z kronik, bądź z dokumentów rozrzuconych po bibliotekach, bądź z ustnej tradycji, wszelkie wiadomości dotyczące się muzycznej sztuki w kraju naszym. Dopomagał mu w tém stary przyjaciel, głęboki erudyta, Ambroży Grabowski zmarły przed kilką laty. Szereg nazwisk ułożony alfabetycznym porządkiem, obejmuje kompozytorów, wirtuozów, śpiewaków, równie jak instrumentistów, lutnistów, organistów, poetów lirycznych, a nawet miłośników muzyki: słowem tych wszystkich którzy bezpośrednio czy też pośrednio, wpłynęli na rozwój sztuki muzycznej u nas. Do wielu imion dołączone ciekawe i obszerne życiorysy. Rozpoczyna dzieło historyczny rzut oka na muzykę w Polsce i opis dawnych instrumentów.

Autor rozbiera nasamprzód pieśń Boga Rodzicę, przechodzi po tém do kantyczek. Nuta pieśni kolendowój: *W żłobie leży*, zwraca szczególną jego uwagę; dopatruje w niej nutę czysto-narodową jakoby zaród poloneza. Z Gallusa, Kadłubka i innych, wydobywa ułamki pieśni średniowiecznych zapisane w kronikach w przekładzie łaćnińskim. Ale najznakomitszą nowość dzieła stanowi drogocenny pomnik muzyki z r. 1460! Jest to hymn do świętego Stanisława, ułożony na cztery głosy, staro-gotycką notacją. Sama pisownia świadczy o jego starożytności.

Chwała Tobie Goszpodzynie
Ysz othwych Swyathych chesz slyne
Ktora nygdy nyeszagynye,
Y na wyeky nyepremynye.

Zyeszzych sza polszka korona,
Ysz znasz thakyege patrona:
Dostoynego Stanysława,
Yen sze wyszedł Szczepanowa.

Obok tego pomnika, widzimy drugi nadzwyczaj także ważny, wydany po raz pierwszy. Jest to pieśń „Ave Maria“ z XVI wieku, ułożona na cztery głosy. Wynalezioną była w Marienburgu przez Kętrzyńskiego. Oto początek pieśni:

Zdrowa bud' Marya niebieska lilia,
Pani Bogu miła matka liutoschiwa.

Oba te autentyki pomieszczone będą w fac-similach na końcu dzieła.

Wiek XVI był dla muzyki naszej—mówi autor—równie pomyslnym jak dla literatury. Zorza Zygmuntońska ogarnęła sztukę muzyczną i dała jej prawdziwie świetny rozwój. Psalterz Gomułki stawia autor na równi z dziełami szkoły włoskiej, sławnej pod mistrzem Palestriną. Upodobanie Jagiellonów w muzyce przyczyniło się wielce do jej rozkrzewienia. Wnuk Jagiełły, który umarł z przeziębienia zaskuchawszy się zbyt długo w pieśni słowiczej, otrzymali w spadku smak muzyczny wysoko wyrobiony. Jan Albrecht i Aleksander mieli w służbie sławnych Finków; jeden z nich Herman, dzieło swoje *Practica musica*, poświęcił Albrechtowi.

Zygmunt Stary dalej jeszcze posunął upodobanie; kapela jego składała się z prawdziwych wirtuozów. Pomnożyli ich liczbę artyści włoscy przybyli z Boną z Medyolanu. Zygmunt August miał przy sobie ulubionego lutnistę Węgrzyna. Na grobowcu tego króla w katedrze krakowskiej wyrte narzędzia muzyczne: harfa, róg, trąba, skrzypce i gitara, świadczą o miłośnictwie sztuki. Nieustąpiła bratu ostatnia Jagiellonka Anna. Ona to ufundowała przy katedrze kolegium, Roratystów, którzy obowiązani byli co dnia śpiewać mszę na głosy. Instytucja ta, jedna z pierwszych jakie się pojawiły w Europie, przetrwała dotąd. Pierwszym jej dyrektorem był Mikołaj Czech z Poznania. Partycye jego utworu przechowują się w bibliotece katedralnej krakowskiej. Wielcy panowie idąc za danym z góry popędem, trzymali śpiewaków i lutnistów nadwornych. Sławne były kapele Stanisława Górki i Jana Zamojskiego. Zawiazywały się liczne cechy i bractwa przy kościołach. Lutniści stanowili w Krakowie cech osobny: mieszkali na Kaźmierzu. Jedną bramę miasta zwano od nich *Bramą muzyków*.

Stefan Batory odziedziczył po Jagiellonach upodobanie w sztuce muzycznej. Pozostało po nim mnóstwo narzędzi: organy, regaty, klawikord, skrzypce, fujary, brombony i rogi, jak świadczy spisany inwentarz. Bratanek jego, kardynał Andrzej, utrzymywał przyjazne stosunki z Palestriną. Wysłany przez króla do Rzymu, kształcił się w muzyce pod kierunkiem tego wielkiego mistrza.

Za Zygmunta III zakwitnęła muzyka kościelna. Orkiestra katedry krakowskiej była jedną z pierwszych w Europie. Jezuici sami utrzymywali stu śpiewaków przy kościele św. Piotra i Pawła.

W wieku XVII, kiedy w Europie muzyka czyniła wielkie postępy, w Polsce zatrzymał się jej rozwój, ale ożywił ją jeszcze odblask zbiegłego stulecia. Władysław IV gorliwy opiekun sztuk pięknych, utrzymywał na zamku orkiestrę wraz z baletem. Na owym teatrze zjawiała się po raz pierwszy opera włoska. Jan Kazimierz

rozrywał się niemniej muzyką, wśród nawału kłesk szarpiących kraj bez ustanku. Kiedy jadąc do Hiszpanii uwięziony był w zamku Vincennes, ulubiony sługa Piotr Ellert, gra na lutni skłodził mu smutne chwile. Jan Sobieski lubił także muzykę. Nim został królem utrzymywał sławną orkiestrę na zamku swoim w Żółkwi. Żona jego Marya Kazimira pięknie grała na klawikordzie. Głośny był w świecie klawikord, ofiarowany jej przez cesarżowę po zwycięstwie wiedeńskim.

XVIII wiek wskutek burz zewnętrznych i ogólnego upadku ducha, okazał się niepomysłnym tak dla muzyki jak w ogólności dla literatury i sztuk pięknych. Pomimo że orkiestra dwóch Augustów Sasów uchodziła za najlepszą w Europie, mimo że dwór utrzymywał stale operę włoską, na którą Warszawianie mieli bezpłatny przystęp, wpływ dworu nie oddziaływał na naród pod tym względem, tak jak oddziaływał szerząc upodobanie w kufu i biesiadach.

Za Stanisława Augusta odżyła muzyka, zastosowana głównie do sztuki dramatycznej. Bogusławski tworzy operę narodową, połysk to chwilowy: wszystko runęło z końcem wieku!

Umysły podnoszą się do Boga—mówi autor—przemaga liryzm, powstają piękne pieśni religijne: *Kiedy ranne wstają zorze, Przed oczy Twoje Fanie* i t. p. Elsner, Kurpiński i inni układają Msze i Oratoria. Wacław Rzewuski tworzy Requiem na pogrzeb Czackiego. Zawiązują się stowarzyszenia muzyczne: powstaje w Warszawie konserwatorium zasilone ofiarami Staszica. Rzuczone ziarno bujny wydaje owoc; sztuka muzyczna rozwija się wszechstronnie: krytyka wyrabia wyższy smak estetyczny. Królikowski kreśli prawidła rytmu. Mnożą się zbiory ludowych melodi: kompozytorowie czerpią natchnienie w tych źródłach tak bogatych. Zjawia się Moniuszko. Mistrz ten siłą geniuszu śmiało rzuca muzykę dramatyczną, polską, w nowe, dotąd nieznanne tory.

Genialny Szopen, który w świat europejskiej muzyki wprowadził tryumfalnie Dumkę i Mazurę, nie doczekał dzisiejszego rozkwitu sztuki rodzinnej w Polsce. Sowiński patrzy z radością na ów rozkwit, do którego dzielnie przyłożył rękę acz z daleka; rozważa, zapuszcza badawczy wzrok w przeszłość, oblicza imiona, tworzy z nich wielki obraz i dziełem pełnym erudycji buduje pomnik wytrwałym pracownikom, którzy w pasmie wieków uprawiali muzykę narodową w kraju naszym i doprowadzili ją do dzisiejszego stanu.

Akademia Krakowska uznała zasługi uczonego artysty; zaszczyliła go tytułem członka korespondenta. Sowiński jest oprócz tego członkiem Towarzystwa muzycznego we Lwowie, oraz dwóch towarzystw francuzkich: *Filotechnicznego i Dzieci Apolina* w Paryżu.

Niech nam będzie wolno zakończyć tę kronikę literacką ploteczką. Professor Aleksander Chodźko w liście do jednej z polskich

pisarek nakreślił żartobliwie te słowa: Droga Wajdelotko nasza!
„ach nie nazywaj mnie panem!”

„Tak się zaczyna jedna z piosnek moich, kiedy osmnastoletnie
chłopię pisałem jeszcze wiersze. Już nie pamiętam, do jakiej
ziemianki wołała ta modlitwa, nawet nie pamiętam jej nazwiska;
lecz pomnę wyraz dowcipnie śmiejących się oczu, zdaje się błękitnych,
może i czarnych, ale figlarnie pięknych. I oto pamiętam, że modlitwa
skutkowała. Dzisiaj staremu i sprozaiczonemu, chciałoby się także
pobłagać, abyś droga Wajdelotko nie karmiła mnie salonowemi
grzecznościami. Jaki ja pan? Ja radbym takiej duszy, takiemu
pióru, jak wasze, służyć i służyć, bo to dobrej sprawie się służy.“

Oto odpowiedź zagadnionej:

Z splątanego nie snuj motka,
Nie odkwitnie zwiędłe kwiecie;
Twoja mistrzu Wajdelotka,
Nowej pieśni warta przecie.

Ukochany drub Adama,
Niech Pegaza w lot doskoczy;
Helikońska pełnie brama
I wytryśnie źródł uroczy!

Ach! Muz orszak zagniewany
Zbiegł, że trudno dojrzeć tropu!
Lecz są wieszczce Kamijany
Wśród nieznanych skał Rodopu.

Z ich krynicy dobądź świeżej
Tajemnicze pieśni słowo,
Twoja ręka niech uderzy
W starą świrkę Orfejową.

A zadzwoni nuta słodka,
Chórem gwiazdy odbrzmia w niebie;
Twoja mistrzu Wajdelotka
Takięj pieśni chce od ciebie!

Maż być dla niej ręką dziecka
Nakreślona niegdyś karta?
Wajdelotka mazowiecka
Nowej pieśni czyż niewarta?

Przegląd prassy peryodycznej

W KRÓLESTWIE POLSKIM

Rok 1873.

PISMA ROLNICZE.

Aby należycie ocenić kierunek i doniosłość, wpływu jakiegokolwiek gałęzi piśmienictwa czasowego w danym okresie czasu, potrzeba koniecznie cofnąć się nieco w przeszłość i obejrzeć choć pobieżnie kierunek i okoliczności, w jakich się pismo rozwijać zaczęło i o ile potrafiło wyzyskać materiały które znalazło pod ręką, a następnie spożytkować je na własną i czytelników korzyść. Mówimy tu głównie o *Gazecie Rolniczej*, jako najstarszej wiekiem z pism specjalnie rolnictwu poświęconych, w kraju wychodzących. Opuściwszy w 1861 r. opiekuńcze skrzydła *Gazety Codziennej*, pod których cieniem przez czas bardzo długi istniała jako tygodniowy dodatek, pod nieco za wiele obiecującym tytułem: „*Gazeta Rolnicza, Przemysłowa i Handlowa*,” rozpoczynając nowe samodzielne życie, *Gazeta* odrazu wypowiedziała czém być pragnie, mianowicie organem ziemian w celu wzajemnego porozumiewania się tychże w rzeczach, dotyczących mozolnego ich zawodu, a zarazem poradnikiem do rozwiązywania, spotykanych co chwila na tej ciernistej drodze, trudności. Że organ taki stał się już nieodzowną potrzebą, dowodzi tego niewątpliwie samo istnienie *Gazety* przez lat przeszło dwanaście; zaznaczamy więc jako główną zaletę *Gazety Rolniczej* w przeciągu wzmiankowanego okresu, że była. Czy zaś sposób wypełnienia nakreślonego sobie programu był trafnym i rzeczywiście mógł przynieść korzyści, to już inne pytanie, na które ogólna odpowiedź musi wypaść przecząco. Redakcja dążąc do jak największego rozpowszechnienia swego pisma, na pierwszym planie postawiła korespondencye gospodarskie ze wszystkich okolic kraju i ościennych prowincyj, kładąc na nie szczególne nacisk jako na szacowny materiał do przyszłej historii krajowego rolnictwa. W rzeczywistości jednak, badacz pragnący zużytko-

wać w tym kierunku pomieniony materyał, gruboby się omylił: w powodzi pobieżnych wiadomości o miejscowych widokach na urodzaje prawie zawsze jednakowo brzmiących, o trudności dostania czeladzi i dziennego najemnika, o pomyślnych wróżbach na przyszłe plony zbóż jarych jeśli im susza nie zaszkodzi, ozimin, jeśli zima nie będzie zbyt mroźną lub nadzwyczaj mokrą, trudno odszukać materyał kwalifikujący się na podstawę do poważniejszej pracy. Ujemne te strony Gazety Rolniczej za dawniej jój redakcyi nie uszły bacności krytyki, która nie zaniedbała ich wytykać przy każdej sposobności; nawoływania te wszakże nie zdołały trafić do przekonania redakcyi: przypisując te zarzuty raczej osobistej niechęci niż objawowi wyrażającego się krytycznego poczucia w czytającej publiczności, czém organ specjalny ziemiański być winien, redakcyja postanowiła upornie wytrwać przy swoim programie *usque ad finem*; ów zaś *finis* łatwy był do przewidzenia sądząc ze stopniowego zmniejszania się liczby prenumeratorów. Broniąc nibyszczandar tradycyi, lekceważąc zdobycze nauki, jako nie dla wszystkich bez wyjątku czytelników dostępne, i kwalifikujące się jedynie do zapełnienia szpalt roczników akademii lub innych czysto-naukowych instytucyi, redakcyja usiłowała wpoić w czytelników swoich to przekonanie, że z pomocą kilku wypróbowanych recept na płodozmian, przepisów hodowli inwentarza, dając illustrowane opisy nowych i nie nowych machin i przyrządów, często bardzo tylko odległy związek z rolnictwem mających, wywiązuje się ze swego zadania najzupełniej. Jeśli więc piérwój przyznaliśmy za zasługę Gazecie Rolniczej że *istniała*, to znowu główną przyczynę wielu jój stron ujemnych upatrujemy w tém, że była jedyném pismem rolniczém w kraju. Powstały w roku 1872 „Tygodnik rolniczy“ wziął sobie za zadanie, zaniedbane ze strony redakcyi braki uzupełnić. Podnosząc lekceważoną dotąd przez Gazetę stronę naukową, redakcyja nowego tego pisma starała się w szeregu licznych, po większej części oryginalnych artykułów obznajmić czytającą rolniczą publiczność z dzisiejszém stanowiskiem nauki rolnictwa. Okoliczność ta była niewątpliwie jedną z przyczyn, które wywołały zmianę redakcyi Gazety Rolniczej, lecz przycém postawiły nową redakcyę w dość trudném położeniu, zmuszając ją do zdobywania sobie na nowo utraconego stanowiska w skutek poprzedniego zbytelnego zaufania w korzyści wyłącznego położenia. Rzeczywiście dwa pisma rolnicze, a więc specjalne, a ztąd nie mogące liczyć na bardzo obszerne koło czytelników w rozmaitych klassach społeczeństwa, z jednakowo prawie nakreślonym programem, obok innych, za granicami kraju wychodzących, jakoto: „Ziemianin poznański“, „Rolnik lwowski“, które i u nas pewną liczbę czytelników posiadają, muszą spotykać na swój drodze ciężkie nieraz do zwalczania przeszkody. Nie mówiąc już o braku prenumeratorów, téj groźnej posuszy niszczącej nieraz żywotne zasoby nie jednego peryodycznego wydawnictwa, sam brak zdolnych współpracowników których siły rozpraszają się

na zadosyćczynienie wymaganiom obu redakcyi, brak zresztą stałych a umiejętnych, specjalnych korespondentów z rozmaitych miejscowości w kraju i zagranicą, którzyby peryodyczne swe sprawozdania podług pewnego z góry nakreślonego programu nadsyłałi: wszystko to sprawia, że pomimo najlepszych chęci redakcyi, posługiwać się nieraz trzeba pracami niezupełnie zasługującemi na uwzględnienie. Do takich naprzykład należą zbyt często w obu pismach pojawiające się artykuły czysto wyteryaryjnej treści, które właściwsze miejsce znaleźćby mogły w dziele specjalnie weterynaryi poświęconém; w pismach zaś dla rolników przeznaczonych, stosowniejszemi byłyby wskazówki dotyczące higieny nietylko zwierząt domowych lecz i ludności wiejskiej, narażonej z konieczności na tak rozliczne wpływy w rozmaitych porach roku, przy właściwych w każdej z nich zajęciach i pożywieniu. Łatwiej jest ustrzedz się choroby niż leczyć ją gdy się już rozwinie, gdyż do tego potrzeba tylko pewnej dozy zdrowego rozsądku przy ogólnych wiadomościach, łatwo dla każdego dostępnych, podczas gdy ostatni wypadek wymaga już specjalnej nauki; w tym razie gospodarz ustąpić musi miejsca lekarzowi lub weterynarzowi, który jedynie jest w stanie złemu zaradzić. Wszelki więc obszerniejszy wykład patologii i terapii weterynaryjnej, będzie dla rolnika zbytceznym, gdyż prawdziwój korzyści z niego odnieść nie może.

Napotykaemy jeszcze zarówno w Gazecie Rolniczej jak i w Tygodniku Rolniczym, korespondencye z rozmaitych okolic kraju, a lubo większa ich część wolną już jest od czczych gawęd przeważnie wypełniających szpalty dawniejszej Gazety Rolniczej, jednak z samej natury rzeczy wypływa, że treść ich rzadko bogactwem poszczycić się może; jeśli więc korespondencye pozostać mają i nadal, radziłyśmy w nich znaleźć wiadomości o warunkach ekonomicznych różnych okolic, a mianowicie o cenach ziemi przy sprzedaży i dzierżawie, o stosunkach dzierżawców do właścicieli ziemi, o sposobie ich gospodarowania, o zasobach ich kapitałów obrotowych i nakładowych, porównania z praktyki czerpane, korzyści dzierżaw długoterminowych z krótkoterminowemi i inne tym podobne szczegóły. Przy ogólnie zachwianym materyalnym bycie właścicieli ziemskich, wdzierżawienie dóbr na czas dłuższy zasobnemu dzierżawcy, może w niejednym przypadku ocalić posiadłość ziemską, jeśli już nie dla dzisiejszego dziedzica, to przynajmniej dla dzieci jego, jeśli brak zupełny obrotowego i nakładowego kapitału gospodarowanie na własną rękę czyni niemożliwem. Okoliczność ta niewątpliwie wpłynie na wytworzenie u nas wykształcenijszej, pracowitej a zamożnej klasy dzierżawców, których zadaniem będzie dokonać tego dla dobra krajowego rolnictwa, czego znaczna część właścicieli dla braku kapitału uczynić nie jest w stanie. Wiadomości podobne, przedstawiające sumiennie i dokładnie fakta dokonane, dadzą nam miarę o ile zbliżamy się w praktyce do zasad przez naukę i doświadczenie stwierdzonych, a tém samém wskażą jakie już kroki poczyni-

liśmy na drodze postępu pod względem zdrowego pojęcia ekonomicznych zadań gospodarstwa.

Drugą kwestyę niezmiernie ważną stanowi kwestya ofycjalistów, służących i czeladzi dworskiej. Zwyczajem jest prawie powszechnym w korespondencyach nadsyłanych z prowincyi, z dalszych zwłaszcza okolic, narzekać na brak wykształcenia, na niesumienność, złą wolę i lenistwo różnych klass pracowników gospodarskich; wyznajemy ze głosem tym niezupełną dajemy wiarę, jako opartym na zbyt jednostronnym poglądzie. *Audiatur et altera pars...* Dlaczegoż właśnie ta strona, jeśli się czuje pokrzywdzoną, nie zechce podnieść swego głosu g'woli własnej obronie i wyświeetleniu kwestyi, gdy szpalty pism rolniczych gościnnie dla niej stoją otworem, tém bardziej, że namiętny sąd w takich razach zawsze będzie stronny; lecz umiarkowane wykazanie stron ujemnych wzajemnego stosunku między chlebobadwą a pracownikiem, byłoby bardzo pożądanem. Pragnęlibyśmy tylko mieć te wiadomości z pierwszej ręki, od osób rzeczywiście w tój kwestyi interesowanych, a więc od gospodarzy rolnych, tak właścicieli ziemskich jako téż dziedziców i ofycjalistów, pomiędzy którymi zapewne nie mała liczba się znajdzie takich, którzy i czytają i pisać potrafią. Zresztą materiały tój treści nadsyłane do redakcyi choćby *in crudo*, lecz z dobrą wolą, posłużyłyby do ułożenia z nich pewnej całości, której na doniosłości braknąć nie będzie. Gdyby nawet z tego powodu miała się pomiędzy obu pismami wywiązać żarliwa polemika, nie mielibyśmy nic przeciwko temu, zastrzegając z góry obowiązek ciążący na redakcyach utrzymywania jój w granicach przyzwoitości i umiarkowania, zgodnych z powagą i godnością pisma. W każdym razie, dyskusyje takie, więcéjby krzyści przyniosły niż gwałtowne wzajemne napaści, których szpalty obu pism rolniczych były widownią, rok temu przeszło. Przeważający w Gazecie Rolniczej kierunek ekonomiczny usposabia jój redakcyę do podniesienia tój kwestyi, zwłaszcza że rozporządza dostatecznemi ku temu siłami w gronie swoich współpracowników.

Olbrzymi rozwój nauki rolnictwa na drodze teoretycznej nie został pominięty milczeniem i w naszych pismach rolniczych; Tygodnikowi Rolniczemu należy się zaskuga, że pierwszy podał do wiadomości ziemian naszych rezultaty prac takich badaczy, jak Grandeau, Déherain i inni, lecz i pod tym względem należy być oględnym w wyborze; artykuły czysto-naukowe, dostępne tylko dla ludzi należycie z nauką obeznanych, są przez nich czerpane bezpośrednio ze źródła, mianowicie z licznych roczników i pism specjalnych niemieckich i francuzkich, posiadających i bogate zasoby, i liczny zastęp czytelników. My nie mamy stacyj doświadczalnych, w którychbyśmy własne spostrzeżenia robić i te do wiadomości ogółu podawać mogli; musimy zatem koniecznie zapożyczać się u obcych, którzy nas dawno na tój drodze wyprzedzili; lecz czyńmy to z bardzo starannym doborem, abyśmy tylko prawdziwie pożyteczne rzeczy

brali. Nadewszystko strzeżmy się ubierania cudzoziemskich myśli i pojęć, w nasze swojskie niby szaty. Niech już lepiej zapożyczony artykuł, będzie prosto tłumaczeniem godnej uwagi pracy, nie zaś przeróbką, mającą uchodzić za oryginalną pracę. Podobne usterki spotykamy często w Tygodniku Rolniczym; wolelibyśmy, aby redakcyja tego pisma ostateczności tej unikała.

Niepodobna nam w tej krótkiej wzmiance podać wyczerpującego rozbioru peryodycznej naszej literatury rolniczej; z przyjemnością wszakże zaznaczamy fakt, że gdyśmy przed laty piętnastu żadnego jeszcze pisma rolniczego tej formy i treści nie mieli, dzisiaj dwa z jednakowym prawie programem znajdują dla siebie warunki bytu. Dalszy ich rozwój zależyć będzie od uznania dobrych chęci i sumiennej pracy redakcyi, o których z góry jesteśmy przekonani.

St. R.

GAZETA RZEMIEŚLNICZA.

Rok 1873.

Rok 1873 był drugim rokiem wychodzenia Gazety Przemysłowo-Rzemieślniczej. Zadaniem jęj było starać się: 1) o rozkrzewienie oświaty między rzemieślnikami; 2) o wskazanie rzemieślnikom najdogodniejszych i najłatwiejszych środków produkcji i 3) śledzić konkurencyę zagraniczną na naszych targowiskach przemysłowych, wskazywać, co ta konkurencyja robi, gdzie co robi i czy my umiemy temu zapobiedz i jakim sposobem?

O ile zkądinąd wiadomo, rok pierwszy wydawnictwa pokazał, że oddziaływanie na starszą generacyę rzemieślników t. j. na majstrów i czeladź, jest bardzo trudnóm i mało skutecznóm. Redakcyja zatem wzięła za stosowne zwrócić się ku młodszym rzemieślnikom, ku terminatorom i młodziej czeladzi. W tym celu zamieszczane były artykuły takie n. p. *Wzór umowy dla uczniów* (N. 2), za pomocą którejto umowy chciano obronić uczniów od wyzyskiwania i złego traktowania. Umowa ta, napisana przez budowniczego mularza Szpadkowskiego, w istocie po jęj ogłoszeniu, w wielu razach stała się wzorem do umów. Dalej dla łatwiejszego wpływu na młodzież, redakcyja z współredakcyą Opiekuna Domowego urządziła odczyty popularne dziesięciogroszowe, bardzo dobrze przez rzemieślników przyjęte; z odczytów tych niektóre drukowała w szpaltach Gazety, jak Makowieckiego: *Do czego nauka doprowadzić może*; drugi: *Jakim sposobem może być lepiej rzemieślnikom*; Wiślickiego: *Co rzemieślnicy zrobić mogą dla swych dzieci*; Głowackiego: *O odkryciach i wynalazkach*; Heuricha: *Jak rzemieślnicy u nas mieszkać, jak mieszkać mogą i powinni*; D-ra Dolińskiego: *Zkąd się biorą choroby, jak się od nich chronić*.

Jako dalszy ciąg starań o szerzenie oświaty między rzemieślnikami, zaliczyć trzeba także wydawnictwo redaktora gazety: *Książek dziecięciogroszowych dla rzemieślników*, których ośm wyszło w r. 1874.

Obrona także młodzieży rzemieślniczej była treścią artykułów wstępnych p. n.: *Ustawy rzemieślnicze*, i *O praktykantach* przez Ludwika Szweđe. Szczególniej też artykuł atakujący starszych zgromadzeń rzemieślniczych, wywołał donośne zajęcie: czego między innymi jest dowodem sama gazeta, która mieści w sobie aż trzy artykuły w odpowiedzi na takowy i to artykuły pisane przez samych interesowanych t. j. rzemieślników; jeden przez starszego krawców, drugi przez jednego z podstarszych, a trzeci przez majstra stolarskiego.

Artykuły czysto techniczne, wykazywać mające jak robić, przeważnie były czerpane z pism zagranicznych specjalnych. I tu jednakże spotkać się można było z artykułami oryginalnymi, jak: Ciszewskiego cieśli, Grotowskiego inżyniera, Heuricha budowniczego, Jabłońskiego dyrektora kopalń nafty, Juszczyka krawca, Klimaszewskiego inżyniera, Kreusza introligatora, Łepkowskiego mydlarza, Pietraszka inżyniera, Skwierczyńskiego mechanika, Szmita inżyniera, Szpadkowskiego budowniczego i kilku innych. Redakcyja starała się pobudzać rzemieślników i techników polskich do pisania, czego dowodem lista powyższych, a do której dodać jeszcze należy i innych piszących w kwestiach ekonomicznych jak: Borowski Lucyan, Flaszynski krawiec, Gaszczyński stolarz, Szweđe Ludwik i Temler Aleksander garbarze, i Zawiszewski drukarz.

Z pomiędzy artykułów technicznych, oryginalnych, zwracają uwagę: *Ulepszenia w kryciu dachów* T. Szpadkowskiego, *O eksplozji kotłów parowych* Jana Pietraszka, *Ulepszona maszyna parowa białochmura zwana przez tegoż: Aleurometr* przez Kropiwnickiego, *Slusarstwo* (wykład) przez Skwierczyńskiego, *O asfalcie i jego zastosowaniu w przemyśle* przez Klimaszewskiego Piotra i wreszcie: *O nafcie* przez Adolfa Jabłońskiego dyrektora kopalni oleju ziemnego w Bóbrce w Galicyi.

W wykonaniu nakoniec trzeciego zadania śledzenia konkurencyi zagranicznej i szukania sposobu sprostania takowej, redakcyja zwracała głównie uwagę na konieczność rozszerzenia naszego handlu w Rosyi i na niezbędność wiązania się drobnych rzemieślników w spółki. Za pierwszą koniecznością przemawiały listy z Petersburga i Jenisejska i artykuł „Nasze rynki do sprzedaży wyrobów krajowych,” a za drugą koniecznością artykuły „Nasze szewstwo.“ „Jakim sposobem może być lepiej rzemieślnikom“ i inne.

Gazeta poruszała także wiele innych projektów, jak *Muzeum przemysłowe*, o które obecnie starają się w Petersburgu, *Nagród za współpracownictwo* dla czeladzi szczególniej, założenie *Towarzystwa zachęty przemysłu warsztatów rzemieślniczych*, z których jeden założony został przez p. Leszczyńskiego i wiele innych, rozwój przemysłu i rzemiosł mających na celu.

Z tego krótkiego przejrzenia kierunków i treści Gazety rzemieślniczej widzieć się daje, iż redakcja, o ile okazała poczucia potrzeb samego zadania, o tyle w wyborze środków, prowadzących do celu, okazała wiele żywotności i praktyczności.

PISMA CODZIENNE.

*Gazeta Warszawska, Gazeta Polska, Wielk. Dziennik Warszawski,
Gazeta Handlowa, Kurjer Warszawski, Kurjer Codzienny.*

W państwach, mających swe własne życie polityczne, pisma codzienne niemal wyłącznie zajmują się sprawami publicznymi, pośrednicząc w roznoszeniu wiadomości z dziedziny tego życia politycznego, objaśniając czytelników z wypadkami własnego kraju bliższych lub dalszych stron. Wszelkie inne objawy ruchu umysłowego i społecznego już na drugim postawione są planie i w wielu razach tylko bardzo ograniczone zajmować mogą miejsce w gazetach politycznych. U nas gazety inne mają warunki swojego bytu i rozwoju. Pośrednicząc w rozpowszechnianiu wiadomości codziennych z pola wypadków politycznych wszystkich innych krajów, nie są w stanie tym tylko przedmiotem zająć uwagi swego czytelnika. Zwracają się codziennie ku ważniejszemu wypadkom światowym i o nich czynią sprawozdania, zmieniając ciągle swój zmienny przedmiot, żadnego wyłącznie kraju nie mając na uwadze. W tytule wymienione pisma u nas dopełniają tego obowiązku, dając codziennie niemal ogólny obraz stanu politycznego Zachodu lub rozbierając szczegółowiej ten lub ów przedmiot z dziedziny politycznej, który swą doniosłością na szczególniejszą uwagę zasługuje. Korrespondencye treści politycznej z różnych krajów nadsyłane, przez ludzi bliżej obeznanych na miejscu, wzmacniają dział polityczny i dają dostateczne *dla nas* objaśnienia. Rok ubiegły jak w ogóle, wpłynął korzystnie na nasze gazety, zdaje się, przez ukazanie się współzawodnika „Wiek”, tak w szczególe w dziale politycznym do większej pobudki ruchliwości. Ukazały się bowiem artykuły wstępne, poświęcone szczegółowszemu rozbirowi ważniejszych wypadków politycznych danej chwili. Mniej lub więcej dokładnie przedstawione sprawy, mniej lub więcej trafnie ocenione zdarzenia z dziedziny politycznej, stanowią mniejszą lub większą wartość tej lub owej u nas gazety działu politycznego. W tym względzie, zdaje się, wymagania naszej publiczności są zaspakajane w dostatecznej mierze. Gdy jednak warunki naszego położenia nie pozwalają nam wyłącznie zwracać się ku wypadkom na szerokiej widowni politycznej, gazety więc nasze codzienne ogarniały zarazem i inne pola ruchu naukowego i społecznego. Wspólnie wszystkie trzy gazety poświęcały w roku ubiegłym przedewszystkiemi swoje odcinki bądź oryginalnym bądź tłumaczonym powieściom. Gazeta

Warszawska w tym sposobie, zdaje się, zadość czynić stronie literackiej pisma codziennego. Dwie inne gazety przez umieszczanie częścię rozbiórów dzieł literatury zagranicznej i krajowej, przez dawanie wiadomości i nowinek literackich, obowiązkom pisma codziennego gorliwiej sprostać usiłują. Jestto rzecz redakcyi, jak w tym względzie swoje zadanie pojmuje. Szczupłość lub rozległość tego działu, ma swoje zasady, nie jest jednak także bez zarzutu. Gazety właściwie organami literatury być nie mogą: krytyki naukowe i literackie nie do pism codziennych wyłącznie należą. Mają one innych czytelników, z grona których ci, co żywiej ruchem naukowym i literackim się zajmują, w tygodnikach lub innych pismach peryodycznych potrzeby swe zaspokoić mogą. Ze wzmagającą się u nas działalnością wydawniczą, pisma codzienne nie są w stanie objąć i ogarnąć tego rozległego a tak różnorodnego pola.

Nierównież ważniejsze zadanie do spełnienia mają pisma codzienne w dziedzinie spraw społecznych, a mianowicie spraw społecznych własnego kraju. Przedmiot ten z natury swęj również blisko obchodzi każdego obywatela kraju miejskiego lub wiejskiego, jak wszechdziejowe wypadki lub polityczne życie pozostałego za nami świata. Liczne wprawdzie łączą nas węzły z tém wszystkiém, co się po za granicami naszemi dzieje. Umysł nasz ma swe szersze potrzeby: z ciasnoty naszego widnokregu występujemy, wkraczając w ruchliwą sferę życia historycznego wielkich narodów na Zachodzie, ale mamy drugą stronę, z którą nas wiąże również bliżka nasza siedziba, jęj losy i losy naszych współmieszkańców. W ubiegłym roku rozbudziła się w naszych gazetach większa czynność i dbałość o to, co się między nami dzieje. Starano się przez korespondencye informować czytelników o położeniu naszych miast bądź większych lub mniejszych, o naszej prowincyi. W tym względzie wiele jeszcze życzeń zostało niespełnionych. Korespondenci naszych gazet nie dość pojęli swoje stanowisko i zadanie. Zapewnie nie wina to redakcyi, ale chyba trudność w odszukaniu właściwych zdolności, ludzi, którzyby przy większych środkach i przygotowaniu lepiej umieli zadaniu swemu podołać. Poświęcono w roku przeszłym po raz pierwszy od wielu lat bacniejszą uwagę sprawom społecznym. Postęp to znaczny i nie bez istotnych korzyści. Za taką wskazówką pójdą zapewne redakcye naszych gazet i powoli wyrobią sobie odpowiednie siły. Zdaje się, że większe powodzenie na przyszłość téj lub owęj gazety zależeć będzie mianowicie od przedszego wyrobienia zdolnych piór do objaśniania i kierowania czytelnikami w sprawach, ku którym cała usilność powinna być, a w części jest skierowaną naszego społeczeństwa pracującego. Tu właśnie na tém polu ma przed sobą do spełniania nasze dziennikarstwo najwyższe i najwdzięczniejsze zadanie. Tu jest misya, gdzie się nasze dzienniki dobrze zasłużyć mogą ogółowi. Wskazówki, objaśnienia nie zamykające się w granicach tylko miasta, w którym wychodzą gazety, ale ogarniające cały kraj, cały horyzont, gdzie praca rolna, przemy-

słowa i kupiecka może się rozwinąć, wzmocnić, przyczynią się nie mało do wyniesienia naszego dziennikarstwa na ten wysoki stopień znaczenia w życiu społeczném, na jakim się znajduje dziennikarstwo lepsze na Zachodzie i zjednania sobie tego szacunku i powagi, jakiej używać ma wszędzie prawo piśmiennictwo codzienne dobrze zasługujące się swemu ogółowi.

A. P.

PISMA HUMORYSTYCZNE.

Pozornie humorystyka jest najłatwiejszym rodzajem produkcji literackiej, bo kiedy artykuł naukowy wymaga pewnego przygotowania, chociażby kompilacyjnego, kiedy powieść lub pomniejszy nawet utwór poetycki wymaga mniej więcej artystycznego wykończenia i wdzięku formy; humorysta może wywołać efekt, podobać się czytelnikom, ba nawet zdobyć sobie sławę luźnymi notatkami, kilkoma słówkami, lub kreskami, nie troszcząc się o surowe wymagania estetyki i kodeksów naukowych. Byle tylko dowcip, a ludzie będą się śmieli. Ta łatwość pozorna zachęca wielu początkujących na widowni życia młodzieńców do sięgania po wieniec Arystofanesa, pierwój zanim się załatwić potrafią z nudnymi paragrafami gramatyki lub logiki.

W szlachetniejszym atoli i głębszém znaczeniu, humor, potrzebuje nietylko dowcipu, i to wytwornego, ale i wykształcenia, znajomości społeczeństwa i świadomości celu, dokąd chłostane ironią typy zaganiane być mają. Humorysta powinien wiedzieć to samo, co filozof, polityk, moralista; jeżeli przemawia do społeczeństwa w innej formie, nie znaczy to, aby treść jego mowy miała być inną, lub co gorsza żadaną. Wiadomo, że najznakomitsi pisarze humorystyczni z charakteru swojego na wesołych i lekkomyślnych chłopaków wcale nie zakrawali. Cechowała ich owszem małowówność, skupienie w sobie, poważny nastrój umysłu, czasem nawet wielka drażliwość, wynikająca z głębokiego odczuwania wad i niedoli społecznych.

Śmiejąc się do rozpuku z „Dusz Zmarłych” lub „Rewizora” czytelnik nie domyśli się nigdy, że autor ich, Gogol, znosił ciężkie udręczenia moralne, które go do czarnej melancholii doprowadziły.

Rozglądając się w naszych pismach humorystycznych, przychodzimy do ogólnego spostrzeżenia, że w redakcyach nie zasiadają owi ludzie zgryźliwi, których trapi wciąż troska o niedole społeczne. Zdaje się, że głównym ich celem jest żarcik, przypięcie komuś łatki, wywołanie chociażby przelotnego uśmiechu. Nie wywierają tóż one widocznego wpływu, nie rują głębszej brzozy w pamięci. Co prawda, położenie ich jest trudne; przy ograniczeniu zakresu ich obserwacji życiem wyłącznie towarzyskiem i prywatnym, muszą się z konieczności posługiwać kwestyami abstrakcyjnie-psychologicznymi lub tematami

z nauki obyczajowej. Z tego powodu niepodobna będzie nam rozbiierać krytycznie całą treść rocznych kompletów; poprzestaniemy na krótkiej charakterystyce. Zaczynamy od najobszerniejszego, co do rozmiarów pisma.

K O L C E,

tygodnik humorystyczno-satyryczny, ilustrowany.

Pismo to poczęło wychodzić w r. 1871 z początku zeszytami; po dwu zeszytach musiało zmienić swój tytuł na „Ostroge” i „Kose;” w 1872 r. zamieniło się na dwutygodnik większego formatu i przybrało ilustracye (od 6 lipca 1872), od roku zaś 1873 wychodzi jako tygodnik w dzisiejszej swój postaci. W ciągu krótkiego czasu przeobrażenia były więc niezwykle częste; zmieniał się nawet po razy kilka skład redakcyi: obecnie założyciel pisma p. Dzikowski, już wcale do niej nie wchodzi.

Dawniejsze koleje działalności humorystyczno-satyrycznej są smutne: wytykania osobistości, opisywanie scen brudnych i gorszących, obelżywe epitety żywcem z dawnych ech Przeglądu Tygodniowego przeniesione, prywatna zawiść i zemsta głównego redaktora, ciągle wymyślanie na członków redakcyi Kuryera Warszawskiego i tym podobne nieprzyzwoite wystąpienia, ujemną doniosłość czasopisma wzmożły znakomicie i ze strony prassy wyjednaly mu bezwzględne milczenie.

Wśród tego chaosu, gorszącego bojowania i skandalików, objawił się zwrot ku lepszemu w artykułach wstępnych, podznaczonych literami M—i.

Autor ich pragnie się utrzymać na gruncie głębszej, społecznej satyry; ze szlachetną tendencją, a dość często i z prawdziwym humorem, karcii śmieszność i wady, a niekiedy nawet podaje wskazówki reformy, co już zakres pisma humorystycznego przechodzi. W artykule np. „Obieranie Zawodu” zwraca uwagę ogółu na prawo wartości, któremu ulega narodowa produkcya i gorąco zaleca, aby zbyt wiele jednostek w danym czasie i miejscu nie sposobilo się do jednakowego powołania, gdyż niektóre z nich potem, nie znalazłszy odpowiedniego zajęcia, zmarnują tylko czas i kapitał. W artykule „Panny na wydaniu” z niekłamany zapałem powołuje je do nauki i produkcyjnych zajęć, chłostząc sarkazmem jednostronnie, estetyczne wychowanie, przyzwyczajenie do zbytku i bezczynności, nieznanomość warunków życia, drzémkę salonową i rozognioną powieściami wyobraźnią, wytwarzającą marzenia o konkurentach, którzy wśród takich okoliczności, niby Messyasze, oczekiwania Żydów zawiodą. W ogóle M—i dotykał różnorodnych kwestyj, a raczej ułomności społecznych; z humorem wysmiał nicość umysłową i moralną pewnych „złotyeh” i powszednich amantów, bawiących się w miłostki podczas polowania na posag (Kandydaci na mężów). Skarcił (Salonowe illuzye) zabytki przecenia-

nia swego rodu lub stanowiska, co do dziś dnia, pomimo rozwoju idei o osobistej wartości człowieka, jest w pewnych razach przyczyną towarzyskiego rozdziału klas pracujących i śmiesznej, na ułudzie opartej dumy. Wykazał niedorzeczność źle i pozornie pojętej oszczędności (Oszczędność przedewszystkiém); zamiłowanie lenistwa (Apoteoza próżniactwa), wiodące częstokroć do ubóstwa, ponizenia i zaprzędania skarbu swoich przekonań; dokładnie scharakteryzował handlarzy ulicznych i t. d. i t. d.

Tenże sam autor pod pseudonimem Sercojeza (jak to łatwo z języka i tendencji odgadnąć) prowadził rubrykę „Ech prowincjonalnych,” w której z właściwym sobie humorem dotykał przeróżnych śmieszności na partykularzu. Korrespondencye, osobiste wycieczki i fakta w innych pismach zamieszczane, służyły mu za materiał. Niekiedy wprawdzie dał przytułek jakiemu skandalikowi, co za rzecz bezwarunkowo ujemną uważać należy, czuł jednakże niewłaściwość takiego kroku i w odezwach do korespondentów prosił ich o nadsyłanie wiadomości głębszego, ogólnego znaczenia. Z korespondencyi drukowanych oddzielnie odznaczają się „Listy otwarte szlachcica łęczyckiego.”

Co się tyczy humoresek, zasługują tylko na zaznaczenie: „Geneza koncertu” „Pożyczka”, skreślone z werwą i dowcipem, „Spółka chybiona,” w której autor wyśmiewa iluzye postępu, oraz „Satysfakcyja,” napisana na czasie z celem odwiedzenia od pojedynków zwolenników średniowiecznego wymiaru sprawiedliwości. Wszystkie są pióra M—i.

Z innych rubryk „Kronika Literacka” do tej nazwy nie ma żadnego prawa. Nie widać w niej ani uzdolnienia, ani bezstronności sprawozdawczej, ani nawet dowcipu. Toż samo powiedzieć należy o rubryce „Teatr.”

Poezya a raczej wiersze w Kolcach również smutno się przedstawiają. Ciągłe jedne i te same erotyczne ogólniki, oklepana nieśmiałość i interesowność niewolników Amora, przybrana w rymy częstochowskie—oto prawie i wszystko. Udatniejszemi bywają niekiedy wierszyki Korwina.

Ostatnia nakoniec rubryka „Pod sekretem”—magazyn skandalików i osobistych zawiści lub upodobań, na wzmiankę nie zasługuje.

Zmieniając od N-ru 69 firmę redakcyjno-wydawniczą Kolce, w treściwym i jednym artykule „Wiedza—to potęga” wypowiedziały zakres swój i dążenie. Oznaczając stosunek satyry do ruchu społecznego, któremu rozwój wiedzy przyświeca, postanowiły „rozbudzać opinią publiczną, piętnować wady pogardą i śmiesznością i oddziaływać na stan obyczajów,” a za materiał brać wszystkie zjawiska towarzyskiego życia. Miały zamiar: „Kłuć ale z miłością, z pragnieniem poprawy i dobra, nie dotykać osobistości, pośrednio wpływać na rozwój życia społecznego, na podniesienie ogólnej oświaty, dobrobytu i moralności.” Ale na ziszczenie tych dobrych chęci jeszcze oczekujemy. Oprócz bowiem wybornego artykułu „List uczonego filologa do hreczkosieja” nie spotykamy nic prawie godnego uwagi. M—i przestał pisać. W „Echach

prowincjonalnych" zaczęto pomieszczać słabo skreślone korespondencye nadsyłane z prowincyi. Wujaszek w olbrzymich artykułach, za tytułowanych sakramentalnóm: „Tylko sza!" za mało okazuje dowcipu. Mniej go jeszcze okazał p. Teofil Tarcza, który pisuje liczne, ale ogołoczone z wszelkiej treści pożywnéj korespondencye z Warszawy, adresowane do jednego z pism amerykańskich. Dopiero w r. b. niedawno nastąpiła powtórnie zmiana redakcyi i widoczniejszy zwrot ku lepszemu. Siły są dotąd wprawdzie bardzo słabe; pana Bąbystę, który się mieni być redaktorem, opanowała mania wierszowania, ale przynajmniej Boleśław Prus dosyć dowcipnie redaguje nową rubrykę „Na czasie." Rozwadnia wprawdzie swój humor, w zbyt ciasném obraca się kole i pozwala sobie zbyt często erotycznych dwuznaczników; w każdym razie jednak ze względu na brak humorystów, stanowi dla Kolców cenny nabytek. W dodatku Kolce drukowały dosyć nudną powiastkę „Kuternoga," oraz powieści tłumaczone z francuzkiego, zwykle nieszczęśliwie wybrane. Ilustracye Kolców są wykonywane w inny sposób, niż w Tygodniku lub w Kłosach. Są to szkice litografowane; rysunek zwykle udatny: przypominają bardzo Journal Amusant. Oznaczają się przed innymi rysunki p. Szymanowskiego.

ab.

KURYER ŚWIĄTECZNY.

Mniejszy co do rozmiarów, niż Kolce, ale większą cieszący się popularnością. Wychodzić zaczął w r. 1863 jako „Kuryer Niedzielný", aż do r. 1865 zajmował się sprawami polityki i literatury; potem zmienił nazwę i od 1 października stał się pismem wyłącznie humorostycznóm. Redakcyą prowadzi zawsze p. Łaszczyński. Lawirując wśród rozlicznych trudności, Świąteczny umie nieraz pobudzić do szczerego śmiechu, układa często z ręczne wierszyki, np. oracyą do p. Iglą, restauratora w Dolinie Szwajcarskiej z powodu cen zbyt wysokich na piwo i jedzenie; staje się tłumaczem uczuć i żalów ogółu publiki warszawskiej; zdobywa czasem wpływ na niektóre czynniki życia miejskiego. Jemu to może przypisać należy w znacznej części utworzenie nowych żółto pomalowanych zewnątrz omnibusów, które zdobyły już sobie wdzięczne uznanie pasażerów z Nowego Świata i Krakowskiego Przedmieścia. Przypomnijmy sobie, że właśnie Kuryer Świąteczny przez czas jakiś prowadził osobną rubrykę p. t. Czarna Księga, a w niej portretował rozkołatané landary z wypisanym wyraźnie numerem. Czuwa też redakcyja dość starannie nad przyzwoitością i moralnych uczuć nie obraża. Chętnie też każdy kupuje sobie za dziesiątkę mały ale żwawy numererek.

MUCHA.

Nieco większego formatu, usiłuje współzawodniczyć z Kuryerem Świątecznym, ale z ustaloną od dawna powagą, walka isé musi nie ła-two. Po nowym 1874 r. zreorganizowała swoją redakcyę; o ile to na polepszenie pisma wpłynie, orzekać w tój chwili nie chcemy.

ab.

PISMA PROWINOYONALNE.

Niedawno jeszcze Warszawa była jedyném ogniskiem dzien-nikarstwa i ruchu literackiego na całe Królestwo. Dopiero z końcem r. 1865 objawić się mogła prowincyi dążność do zakładania pism, któreby czuwały nad miejscowemi potrzebami okolicy. Pierwszy krok na tém polu postawił ś. p. Julian Liedtke, założyciel „Kuryera Lubelskiego.” Za jego przykładem poszedł p. Chodyński w 1870 roku założyciel „Kaliszawina;” w r. 1873 ukazał się „Tydzień” Piotrkowski pod redakcyą p. Antoniego Porębskiego; w tymże roku zaczęła wychodzić „Gazeta Kielecka,” która po kilku miesiącach zamarła, ale w roku bieżącym odżyła znowu, oby na czas dłuższy! Nadto posiadamy jeszcze organ miasta fabrycznego Łodzi p. t. „Łodzer Zeitung”; gdy ten jednak nie poczuwa się do żadnej soli-darności z prassą naszą, pod względem dążności prześciga pisma pruskie w popieraniu polityki Bismarka, a z języka jest nam zu-pełnie obcy, przeto i w obecnym przeglądzie znaleźć miejsca nie może.

Istnienie prassy prowincjonalnej jest zjawiskiem nader pociesza-jacém. Nieliczna ludność miast naszych, posiada tak szczupłe za-soby do kształcenia umysłu, że nawet przybywający do niej ludzie wyższej i ruchliwszej inteligencyi, najczęściej marnują swój kapitał umysłowy wśród otaczającej ich apatyi powszechnej, wśród drobiazgo-wych kłopotów, wzruszeń i wrażeń powszedniego życia, które można-by vegetacyą nazwać. Okolica, wsie i dwory, z saméj natury swoich zatrudnień rolniczych, nie natchną miasta zapałem do literatury lub nauki. A tymczasem powszechna otępiałość umysłowa wy-daje zwykle swoje opłakane owoce: niezaradność w rolnictwie i prze-myśle, nieopatrność w prowadzeniu interesów i w życiu towarzyskiém, niezdatność do zajęć szlachetniejszych, a szczególnie — ciemnotę zło-śliwą, rujnującą, wstrętną ciemnotę. Skoro więc wśród takiego spo-łeczeństwa znajdzie się kółko ludzi energiczniejszych, którzy potrafią zaciekawić i pociągnąć je do pomyślenia o własném życiu, o własných potrzebach i celach egzystencyi, winniśmy policzyć im to za wielką zasługę, tём większą, że z większemi, niż każdy redaktor warszawski, muszą walczyć trudnościami.

Jakkolwiek serdeczne żywimy dla prassy prowincjonalnej współczucie, musimy jednak zastrzedz, że dokładnego przeglądu jej podać nie jesteśmy w stanie, gdyż nie posiadamy kompletów w składach redakcyi, a poszukując po mieście, nawet w Bibliotece uniwersyteckiej nie byliśmy w stanie znacznych braków skompletować. Z tego powodu nie możemy o Gazecie Kieleckiej nic dodać do wzmianki powyżej zamieszczonej.

1. KURYER LUBELSKI.

Numer pierwszy ukazał się na dwa dni przed nowym 1866 rokiem. Zagaił rzecz wierszem p. t.: „Pierwsze słowo,” żądając miłości i opieki dla siebie od Lublinian.

„Przy pomocy, wielkie dusze
Wyrastają na geniusze”

Chociaż autor nie zbyt starannie studyował „Sztukę Rymotwórczą” Franciszka Dmochowskiego, jednak na umyśle czytelnika dobre robi wrażenie zapał i wiara poety.

A ci, którzy mu (Kuryerowi) nie radzi,
W zółci pióra niech maczają,
Niech się srożą, przyganiają;
Niechaj godzą mu na życie:
On nie zgini!—Zobaczycie!

I wiara ta nie zawiodła, bo oto w końcu roku, redakcyja podziękowała czytelnikom za życzliwość, zapowiedziała prenumeratę na rok przyszły i utrzymała pismo aż dotąd przez lat 8. Po śmierci p. Liedtkego redakcyą objął p. Wdowiński.

Kuryer Lubelski obejmuje dział wiadomości rządowych, wiadomości o jarmarkach i wypadkach w okolicy, korespondencyą czasem nawet z Wiednia, wiadomości zagraniczne, czerpane z gazet warszawskich, wiersze, humoreski, powieść w feletonie (widzieliśmy kilka tłumaczonych z angielskiego pani Braddon) i nareszcie ogłoszenia płatne. W pierwszym roku istnienia czytaliśmy dwa artykuły historyczne: o Lublinie i Piotrkowie po-Trybunalskim; nadto z mowy profesora Winc. Dawida dowiedzieliśmy się, że w Lublinie w roku 1815 był wydany „Almanach Lubelski dla amatorów literatury ojczystej” przez K. Urmowskiego; w 1840 wyszła książka zbiorowa p. t.: „Fijolek” za staraniem Zofii Ścistowskiej, oraz że od roku 1818 do 1830 istniało „Lubelskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk.” Teatr i zabawy m. Lublina doznawały troskliwej czujności od redakcyi. W układzie materiału dziennikarskiego nie dostrzegliśmy widocznego systematu; w ogólnym

charakterze wpada w oko pewne nie zbyt udatne naśladownictwo Kurjera Warszawskiego; w pisowni razi czasem chwiejność. Gdyby redakcja mogła i chciała zbliżyć się do programu „Tygodnia” Piotrkowskiego, sądzimy, że pismo jój zyskałoby na urozmaiceniu treści i na głębszém wglądaniu w życie społeczeństwa, któremu służy.

2. KALISZANIN,

gazeta miasta Kalisza i jego okolic.

Wychodzi raz na tydzień od dnia 4 stycznia 1870 r. W numerze 1-ym redakcja określiła swój program w tych wyrazach: „Idź więc z swą sakwą podróżną, jak *nowiniarz miejski i gawęda wioskowy* w drogę żywota!” Jest to program zbyt ogólnikowy i nieokreślony. Dopiero z przejrzenia pisma dowiedzieliśmy się, że w szpaltach jego panuje wielka rozmaitość, oprócz bowiem rozporządzeń rządowych znajdowaliśmy tu wiadomości miejscowe i okoliczne, kronikę teatralną, przegląd polityczny, luźne i króciuchne „Wiadomości z literatury, sztuk, nauk, przemysłu i handlu i t. d.” powieść w odcinku, poezyc, korespondencje, a nawet szarady: to wszystko na małym arkusiku. Możliwy więc zarzucić zbyt wielką rozmaitość, która może uczyć czytelników rozróżnienia, ale ma tę dobrą stronę, że bardzo rozszerza widnokrąg ich myśli. Zaznaczyć też winniśmy, że na kartach Kaliszana ukazało się kilka cennych rozpraw historycznych, pomiędzy innemi np. „Dzieje i opis miasta Kalisza” przez Adama Chodyńskiego w r. 1870, „Synody Kaliskie” przez p. Cezarego Biernackiego, prace J. Szaniawskiego i kilka innych.

3. TYDZIEŃ (Piotrkowski).

Założony w r. 1873, pod redakcją Antoniego Porębskiego. Pomimo zwykłych trudności i kłopotów literackich, pomimo cholery, która na czas jakiś rozprzegła drukarnię, publiczność otrzymała wszystkie numera i z początkiem nowego, drugiego roku z zadowoleniem zapewne odczytała odezwę redakcyi z zapowiedzią wytrwałej nadal pracy i nowych ulepszeń. Mamy więc nadzieję, że pismo już swoją egzystencją ustaliło i zamieniło się „w stałego towarzysza i przyjaciela domowego” Piotrkowian. W istocie też, dzięki talentowi redaktora, dzięki gorliwości kilku bliższych jego współpracowników, Tydzień dostarczał swoim czytelnikom wiele pożytecznych wiadomości i rad obywatelskich. Znajdujemy w nim: informacje na polu rolnictwa (cenniki zboża etc. od filii wrocławskiej Banku rolno-przemysłowego Kwilecki, Potocki i s-ka), oraz handlu (kursy giełdy warszawskiej); rady w kwestjach życia ziemiańskiego (w 11-tu

artykułach np. „Stacya doświadczalna rolnicza“, „Wielka czy średnie fabryki nawozów“, „Szkoły rolnicze w Puławach, Dublinach i Żabikowie i t. p.); kronikę miasta Piotrkowa (p. L. Rz.). Często-kroć Tydzień dawał inicjatywę w zaspokojeniu potrzeb społecznych (Uwagi o straży ogniowej i zaopatrzeniu miasta w wodę p. Wł. Korzeniowskiego; Towarzystwo zaliczkowe i Uwagi o niem p. L. Zasa-ckiego; Oświetlenie gazem p. L. R.; O urządzeniu kontroli dla słu-żących; O konieczności usunięcia suteryn w jednej dzielnicy miasta i t. p.). Dwa z tych projektów (O straży ogniowej i o Towarzystwie zaliczkowym), zredagowane w paragrafach, zostały przedstawione do zatwierdzenia władzy i zapewne niedługo będą w czyn wprowadzone. Ale redakcja nie zadawałniała się czuwaniem nad interesami po-wszedniemi swojej okolicy. Znaleźliśmy spory szereg koresponden-cyi (nie licząc 47 miejscowych): z Warszawy, Krakowa, Lwowa, Toru-nia, z nad Dniepru, z Kijowa (dostarcza wiele ciekawych wiadomości o stanie obecnym Rusi i o zlicytowanych obecnie skarbach historycz-nych Wiszniowca (nr. 22) p. F. Eismonta, młodego poetę), z Kazania przez niezmordowanego L. Niemojowskiego, a nawet z Drezna przez J. I. Kraszewskiego. Z wystawy wiedeńskiej p. W. Małogowski zdał sprawę o przemyśle polskim. Nareszcie czytaliśmy niejedną pracę ogólnego znaczenia. Do takich zaliczamy nasamprzód opisy wielu miej-scowości szczególnie przemysłowych i górniczych: np. Dąbrowy, gór Dy-mińskich i Poštowieckich, gdzie się znajdują rudy ołowiane, oraz Czarko-wy hr. Pusztowskiego z kopalnią siarki, produkowanej rocznie w ilości 40,000 pudów („Z pod gór Sandomierskich“ p. Andrzeja z Rzucowa n-ra: 49, 50 i 52). Bardzo interesującym jest artykuł p. W.: „Gorączka Górnicza w okolicach Dąbrowy“ (nr. 11), w którym się oceniają sku-tki prawa z 12 (24) czerwca 1870 r., oraz ukazu 1864 r., który nadał włościanom prawo własności nietylko do powierzchni, ale i do wnę-trza gruntów. Dla historyków cenną jest praca p. Chwilczyńskiego p. t. „Pajęczno“, niegdyś miasta, dziś osady. Autor skreślił dzieje Pajęczna od XIII w. posługując się oryginalnemi dokumentami, opisał stan jego obecny i uczcił wdzięcznym wspomnieniem niezwykłych zalet nauczyciela parafialnego, Józefa Konopackiego, który udzielał po-czątkowej nauki szanownemu badaczowi pomników pism średnio-wiecznych Kazimierzowi Stronczyńskiemu.

Jeden tylko można uczynić zarzut, że pod względem technicz-nym wydawnictwo nie okazało należytej oględności i akuratności. Numery 47 i 48 (wprawdzie z powodu cholery) wyszły razem w póź-nionym terminie, powieść p. t. Głowa Rodziny, zdaje się nie została ukończoną; od połowy roku ustały zupełnie sprawozdania handlowe. Trudno jednak kłaść nacisk na takie uchybienia, skoro się zważy, z ilu trudnościami walczyć musi redakcja w małym mieście, rozrzą-dzająca szczerpłemi zasobami (prenumerata bowiem roczna wynosi tylko 3 rs.). Spodziewamy się, że pomnożenie liczby prenumerato-rów i wzrastające dla pisma współczucie publiczności, nastrożęcy re-

dakcyi możność usunięcia na przyszłość podobnych uchybień. W ogólnym bowiem wniosku przyznać winniśmy, że „Tydzień“ dobrze pojął zadanie organu miejscowego i dobrze świadczył usługi literaturze krajowej

Tadeusz Korzon.

ZAMKNIĘCIE.

Doszliśmy do końca obszernej i mozolnej pracy. Czytelnicy nasi mają przed oczyma obraz 39 pism (prócz Bibl. Warsz.), z których się składa nasza prassa peryodyczna. Dokładaliśmy gorliwych usiłowań, aby charakterystyczne ich cechy były należycie uwydatnione, aby złożone w nich zasoby talentu, nauki, użyteczności mogły znaleźć rzetelną ocenę. Jeżeliśmy nie jednakowo we wszystkich częściach zadaniu temu sprostali, niech nas wytłumaczy trudność jego, ogrom materiału, oraz pewne różnice poglądu i techniki krytycznej, właściwe każdemu z pojedynczych współpracowników, nieuniknione przy pracy zbiorowej, która w obecnym razie jedynie możliwą i praktyczną była.

Rezultat ogólny przeglądu niniejszego da się zawrzeć mniej więcej w następujących wnioskach:

Liczebnie prassa nasza doszła do takiego bogactwa, że rozmaite potrzeby społeczne, estetyczne, wyznaniowe i naukowe (oprócz nauk ścisłych i technicznych), mogą być zaspakajane. Publiczność, poszukująca średniego wykształcenia, jest obsłużona dostatecznie i tylko uczeni lub specjaliści, mechanicy, inżynierowie, fabrykanci są zmuszeni udawać się o informacje peryodyczne do literatur obcych; organ bowiem noszący na karcie tytułowej napis: „Przyroda i Przemysł“ obrał sobie za cel szerzenie wiadomości przewaźnie z dziedziny przyrodoznawstwa i stara się podawać je w formie popularnej. O uczonych można się nie troszczyć, wiadomo bowiem, że nigdy nie poprzestają na jednej chociażby najbogatszej literaturze; a zresztą, znając z konieczności kilka języków cudzoziemskich, zawsze potrafią sobie zaradzić. Rzeczywistą lukę stanowi brak pism, poświęconych sprawom przemysłu, techniki i fabrykacji; ale brak ten jest objawem ułomności społeczeństwa naszego, jest wynikiem niskiego stanu, w jakim znajduje się przemysł krajowy. Widoczny dowód mieliśmy na niefortunną próbę utworzenia organu dla gorzelnictwa, piwowarstwa i cukrownictwa, który nie mógł się utrzymać dla braku prenumeratorów. Gdy jednak nacisk okoliczności ekonomicznych i sam duch czasu popycha nas na drogę przemysłu, miejmy nadzieję, że niedługo objawi się żywszy ruch na tém polu, a wtedy i literatura nie omieszka rozbudzoną potrzebom dostarczyć karmi. Liczne zastępy młodych techników, którzy chlubnie pokonywali lub obecnie kończą

kursa w zakładach zagranicznych, niewątpliwie potrafią usłużyć i przemysłowi i literaturze.

Pod względem jakości w prassie peryodycznej prócz obszernie i w ogóle udatnie rozwiniętej belletrystyki, prócz fejletonu, który stał się częścią niezbędną gazet i pism tygodniowych, oprócz artykułów poświęconych sprawom chwili obecnej; zaznaczyć winniśmy rozbudzenie się powszechne dążności naukowych. Pierwsze atoli kroki w tym kierunku stawiane, nie są wolne od zarzutów i nie zadowolnią surowszych wymagań.

Kilka pism (nowych) wystąpiło pod hasłem Bakonowskiem: „wiedza to potęga“; kilka redakcyj i firm wydawniczych zabrało się do przyswojenia nam dzieł obcych. W tym poczcie mieści się kilka prac znakomitych, ale z przykrością zaznaczyć musieliśmy, że niektóre wydawnictwa były podjęte w widokach spekulacji wyłącznie pieniężnej i wykonane bez należytej znajomości przedmiotu, tak niedokładnie, że oryginały zostały skażone i przekłady nie mają wartości. Wytykaliśmy też niejednokrotnie, że redakcje pism, popularyzujących naukę, pozwalały swoim współpracownikom przykrywać strzępami chorągwi naukowej lekkomyślne gawędziarstwo. W ogóle, w pismach popularno-naukowych i literackich przeważała metoda (jeśli to metodą zwać można) układania artykułu z dorywczego przejrzanej książki lub nawet z innego artykułu, ogłoszonego w jakimś piśmie zagranicznym. Podobne procedery mogą być tolerowane tylko w literaturze początkującej, w społeczeństwie, które liczy szczupłe gronko ludzi piśmiennych. My na to patrzéć nie możemy bez rumieńca wstydu wobec XVI wieku, wobec wielkich pisarzy i uczonych, którzy tak niedawno jeszcze do grobu zstąpili. Łącząc przeto głos nasz ze wszystkimi publicystami, do jakiegokolwiek należą stronnictwa, o ile wrażają publiczności cześć i zamiłowanie do nauki, musimy w imię téj czci właśnie zażądać od redakcyj, szczególnie pism nowych, podniesienia kamertonu i obostrzenia wymagań naukowych. Nie wymagamy badań samodzielnych od autora, piszącego artykuł popularno-naukowy, ale żądać mamy prawo, aby ten autor był ze swym działem dobrze obeznany; aby sprawdzał dzieło, z którego czerpie, zasadami ustalonymi przez innych koryfuszów nauki; aby nie pisał pod wpływem pierwszego nieprzetrawionego wrażenia, lecz poczekał na tę chwilę, kiedy przez obejrzenie rozbieranéj kwestyi z kilku punktów widzenia, umysł jego potrafi oznaczyć dla niej właściwą wagę i miarę.

Pod względem nareszcie etycznym, moralnym i obywatelskim nie znaleźliśmy dowodów zepsucia, jakiemu uległo dziennikarstwo wiedeńskie lub północno-niemieckie, tak łakome na „fundusz gadzinowy.“ Dostrzegaliśmy wprawdzie zapędy stronnice i za daleko posuwaną pieczołowitość o tryumfy wyznawców téj lub owéj zasady filozoficznój, wszakże jedno tylko pismo stanowczo przekroczyło granice godziwéj walki z przeciwnikami i oparło istnienie swe na skan-

dal. Mamy nadzieję, że to naśladowictwo paryzkiego „Figaro“ pierzchnie przed rozbudzonem sumieniem czytelników, a nadzieję tę uzasadniamy na widocznem polepszeniu, jakie się objawiło w pismach polemicznych w ostatnich miesiącach. Z chlubą atoli zaświadczyć winniśmy, że posiadamy kilka poważnych organów ściśle naukowych (jak np. pisma lekarskie), których nie powstydziłaby się żadna z literatur europejskich, że niejednokrotnie znajdowaliśmy prace gruntowne i wytrawne nawet w pismach o lżejszym programacie; żeśmy widzieli w kilku przedsiębiorstwach wydawniczych gorącą chęć niesienia pożytku społeczeństwu nawet z uszczerbkiem dla interesu materyalnego. Pod tym względem na wdzięczne uznanie zasługują szczególnie publikacje rolnicze i rzemieślnicze.

Ukończony obecnie przegląd prasy peryodycznej doznał, o ile nam z ogłoszonych zdań wnioskować wolno, w ogóle przychylnego przyjęcia, oprócz trzech pism, które wystąpiły z zarzutami mniej więcej na miętne. Gdy jednak same te pisma, a przynajmniej dwa z nich w oświadczeniach późniejszych i w zmianie tonu swoich artykułów, objawiły zamiar usunięcia stawionych przeciwko nim zażeń; gdy harce pomiędzy tak zwaną „młodą i starą prassą“ w ostatnich czasach ustały; niechże nam wolno będzie wynurzyć nadzieję, że w roku bieżącym, a może da Bóg i nazawsze, cała prassa nasza w sporze o zasady usuwać będzie wszelkie zaczepki osobiste i rekryminacje gwałtowne; że w technice dziennikarskiej, a szczególnie popularno-naukowej podniesie skalę wymagań; nareszcie: że przekradającym się do nas z Zachodu ponętnym wpływom spekulacji literackiej, oprze się i silnie w sobie rozzarzy pragnienie pracy dla moralnego, umysłowego i materyalnego dobra współziomków.

PIŚMIENICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

J. Kościelski. Władysław Biały Książę Gniewkowski. Tragedya w pięciu aktach z prologiem. Poznań. Nakładem Żupańskiego, 1874. Stronnic 171 tekstu i 6 stronnic nut. Pieśń wojenna i śpiew Anny, muzyka St. Moniuszki.

„Wnuk króla Łokietka, synowiec Kazimierza Wielkiego Władysław, od białych włosów przezwany *Białym*, w XIV wieku występuje wydatnie na kartach dziejów naszych, jako postać godna zwrócić na siebie uwagę poetów i artystów polskich.” Temi słowy rozpoczyna K. Wł. Wójcicki swój szkic historyczny, poświęcony życiu i przygodom księcia Gniewkowskiego ¹⁾. I w samej rzeczy, zapoznając się bliżej z tym pięknie nakreślonym szkicem, jako też i z wiadomościami podanemi o Władysławie Białym przez Naruszewicza, przychodzimy do przekonania, że nie tylko historia polska, lecz i powszechna nie przedstawia nam wiele osobistości, których charakter i przygody życia zawierałyby w sobie więcej momentów prawdziwie dramatycznych, podawały poetom i artystom bogatszy materiał do najrozleglejszych utworów, niż właśnie charakter i życie Władysława Białego. Oto w krótkości, co nam o nim historia donosi. (Zob. przytoczony powyżej szkic K. Wł. Wójcickiego).

Jeszcze za życia Kazimierza Wielkiego, Władysław Biały należał do najpotężniejszych książąt polskich. Po ojcu był dziedzicem Gniewkowa, stolicy linii książąt kujawskich, po bracie swoim owdanął Bydgoszczą, a z daru króla Kaźmierza Wielkiego stryja swego, został nadto panem Inowrocławia. Chciwy władzy i sławy, nie wypełniał swych powinności, jako lenny hołdownik Korony, lecz domagał się praw udzielnego księcia. W sporze o granicę,

¹⁾ Zob. K. Wł. Wójcicki. Szkice historyczne. Kraków 1869 str. 72 do 86.

zabił Stanisława Kiwałę, sędziego kujawskiego, a w zuchwałości swojej dochodził do tego stopnia, że się stawić nie chciał przed sąd króla Kazimierza pod pozorem, że król go prześladuje i odebrać pragnie jego dzielnice. Z czasem jednak rzec się musiał swęj władzy nad różnemi powiatami, a zniechęcony tém upokorzeniem, jako też ciężko i boleśnie dotknięty śmiercią żony swojej, córki Alberta Strelieckiego na Szlązku, którą kochał namiętnie, porzucił strony rodzinne i udał się na pielgrzymkę do dalekiego Wschodu. Przy grobie Chrystusa w Jeruzalem szukał spokoju dla serca znękanego. Następnie wrócił znowu do Europy, bawił przez czas niejakis na dworze cesarza Karola IV i przyjmował udział w krucjacy krzyżaków przeciw Litwie. Lecz na nowo zniechęcony do gwaru życia, szukał spokoju w celi klasztornej i wstąpił, jako laik najprzód do zakonu Cystersów w dyecezyi kolońskiej, a niedługo potem do Benedyktynów w Dyżonie. Tutaj przez lat 16 o całym świecie zapomniął, oddany swemu życiu zakonnemu. Wiadomość zaś o śmierci Kazimierza Wielkiego 1370 r. rozbudziła znowu w Władysławie gorącą krew gniewkowską; sercem jego owładnęła dawna chęć władzy i sławy, wkradają się nadzieje świeckie o zamienieniu kaptura mniszego na koronę królewską, o wstąpieniu na tron polski, jako potomek Piasta i najbliższy spadkobierca Kazimierza Wielkiego. Nadzieje te podtrzymywane zostały wezwaniami obywateli wielkopolskich, *Przedpełki* ze Starzewa, *Wiszoty* z Kurnika i wielu innych, którzy nie chcieli, aby nad nimi panował obcy król węgierski Ludwik, lecz pragnęli widzieć na tronie księcia z krwi Piastów. W skutek tego, mnich porzuca klasztor i udaje się do papieża Grzegorza XI do Awinionu w celu uzyskania rozwiązania ślubów zakonnych. Papież jednak odmawia rozwiązania; Władysław nie śmie wbrew woli papieża występować otwarcie, jako pretendent do korony polskiej; udaje się do Węgier, do dworu Ludwika, aby przy jego pośrednictwie uzyskać pożądane rozwiązanie ślubów zakonnych. Starania te pozostają jednak bez skutku, a Władysław, obawiając się zdrady ze strony Ludwika, opuszcza potajemnie Budę i udaje się do Gniezna. Tutaj odbiera przysięgę wierności, tak od mieszczan jak i od szlachty wielkopolskiej; następnie zajmuje Gniewków, dąży do silnie obwarowanego zamku Złotoryi nad Wisłą; napada na miejscowego starostę, bawiącego w swojej wiosce niedaleko Złotoryi, bierze go do niewoli i groźbą, że mu każe uciąć głowę, zmusza straż do poddania warowni. Zuraz potem staje pod twierdzą *Szarleję*, która, bojąc się groźnej potęgi Władysława, otwiera mu swoje bramy.

Krół Ludwik usłyszawszy o tych postępach pretendenta, zwołał pospolite ruszenie szlachty pod dowództwem Sędziwoja z Szubina. Ten ostatni otoczył i ścisnął Władysława w Inowrocławiu. Opuszczony przez wielu ze szlachty kujawskiej, obawiając się zdrady, książę Biały poddaje się pod warunkiem wszakże, że król mu wy-

da jego posiadłości dziedziczne. Ludwik jednak nie dotrzymał przyrzeczeń danych przez Sędziwoja, przeciwnie ogłosił Władysława *bannitą*, wydając rozkaz, aby go wszędzie ścigano, a schwytanego bez sądu, jako wiarołomnego mnicha i pretendenta śmiercią ukarano.

Taki przebieg rzeczy zmusza Władysława do tajemnej ucieczki. Uniknąwszy szczęśliwie zdradliwych zasadzek, dostaje się do Marchii Brandeburskiej i znajduje u Ulryka de Ostein hołdownika korony polskiej, przyjazne przyjęcie. Tutaj, Władysław w dowód swego nieugiętego i zawziętego charakteru, nanowo rozmyśla o środkach dostąpienia tronu i przygotowuje nową wyprawę przeciwko Ludwikowi. Przy współdziałaniu Ulryka de Ostein zebrał w r. 1375 liczne hufce najemnych rycerzy i udał się nanowo w drogę przeciw Złotorzy. Starostą tej warowni był naówczas szwagier Sędziwoja Krystyn ze Skrzypowa, znany ze swój gnuśności i opilstwa. Książę Biały skorzystał z tej słabości starosty. Przekupieni rybacy dostarczyli staroście w łoźniach dobrego i mocnego wina, a gdy się upił wraz z głównymi przywódcami warowni, Władysław przystawiwszy drabiny do murów, zajął zamek bez oporu i osadził w nim swoją załogę. Tymczasem Ulryk de Ostein, oblegający Gniewków, zmusił mężnego starostę Gierarda ze Stoniewa do oddania warowni w ręce księcia Białego. Stawszy się w ten sposób panem dwóch silnych zamków, Władysław ruszył dalej na oblężenie Inowrocławia. Lecz tutaj szczęście go znowu opuściło. Zastępy królewskie z rozkazu Sędziwoja pod dowództwem starosty sieradzkiego Jaśka Kmity i starosty brzeskiego Barkona z Wejsemburga, natarły na Władysława na otwartym polu pod Gniewkowem i zadały mu cios tak straszny, że książę Biały ocalił zaledwie życie. Z kilkoma tylko rycerzami dostaje się do Nieszawy, a ztąd po Wiśle do Złotorzy. Tutaj jednak broni się jeszcze przez cały rok 1376, zadając nieraz bardzo dotkliwe klęski wojskom Sędziwoja i Kazimierza księcia szczecińskiego, oblegającym Złotorę. Sędziwój w końcu ucieka się do zdrady, aby zająć tę ostatnią warownią księcia Białego. Zdrajca był mieszczanin Hanko z Brześcia, który obiecuje wpuścić zastępy królewskie przez jedną z bram. Książę Biały dowiaduje się jednak o zdradzie i sam dla siebie z niej korzysta, bo wpuszczając część królewskich przez umówioną bramę, daje rozkaz spuszczenia ciężkich, żelaznych bron takowej, oddziela takim sposobem przednią straż królewskich od reszty zastępów i bierze ją do niewoli. Hanke zaś i współników na stosie żywcem spalić kazał. Wszelkie starania Sędziwoja wzięcia szturmem Złotorzy pozostają bez skutku; waleczny książę szczeciński Kazimierz wraz z wieloma rycerzami przypłacił życiem chęć zdobycia siłą tego zamku. Z tym wszystkiém jednak Władysław, wyczerpawszy zasoby i bojąc się nowój zdrady, sam rozpoczął układy z Sędziwojem o wydanie Złotorzy. Dla ocalenia honoru rycerskiego zażądał jednak pojedynku na włócznie z jednym z wojowników królewskich. Żądaniu temu zadosyć uczynił starosta

kujawski, Bartosz z Sokołowa. Pojedynek odbył się pod murami Złotoryi, lecz miał koniec niepomyślny dla księcia Białego. Bartosz odniósł nad nim zwycięstwo: zranił go w prawe ramię, zrzucił z konia, zmusił do poddania się na łaskę królewską. Posłany do Węgier, książę Biały łaskawie był przyjęty przez króla Ludwika, sprzedał mu ziemię Gniewkowską za 10,000 złotych pragskich, a sam otrzymał bogate opactwo w Węgrzech. Lecz niedługo potem porzucił Węgry i powróciwszy do Dyżonu, przywdział nanowo habit benedyktyński.

Na tém jednak nie kończą się jeszcze dramatyczne przygody Władysława Białego. Śmierć króla Ludwika, która nastąpiła roku 1382, rozbudziła we Władysławie po raz trzeci chęć do zajęcia tronu polskiego. Po otrzymaniu téj wiadomości, mnich dyżoński posłał natychmiast powiernika do papieża Klemensa VI, zamieszkującego w Awinionie, z prośbą, aby go zwolnił od ślubów zakonnych i zezwolił na wystąpienie z prawami do tronu polskiego. Klemens VI, pragnąc zjednać sobie Polskę w sporze swoim z Urbanem VI, papieżem przebywającym w Rzymie, chętnie się przychylił do prośby księcia Białego przez wydanie *breve* z dnia 15 września 1382. Opuszcza tedy Władysław klasztor, a przybywszy do Polski, zbiera znowu zastępy ochotników i rozpoczyna działania zaczepne. Tymczasem jednak Jadwiga, po ojcu odziedziczywszy tron polski, oddała rękę swoją Władysławowi Jagielle. Okoliczność ta odjęła księciu Białemu nadzieję szczęśliwego obrotu jego sprawy. Historia przynajmniej nic nam nie mówi o dalszych staraniach pretendenta; przeciwnie donosi nam, że Władysław przez parę lat znowu się błąkał po Niemczech, a postanowiwszy powrócić do klasztoru w Dyżonie, na drodze umarł 1 marca 1388 roku. Zwłoki księcia-mnicha jednak stosownie do jego ostatniej woli przeprowadzono do Dyżonu i złożono na wieczny spoczynek w pośrodku kościoła Ś-tój Benigny.

Po takim przedstawieniu różnorodnych przygód Władysława Białego, nie potrzebujemy zapewne zwracać dopiero szczegółowo uwagi czytelnika na bogactwo motywów dramatycznych tego niespokojnego żywota. Władysław Biały mógłby natchnąć genialnego poetę do stworzenia prawdziwie wielkiego, historycznego dramatu. W jego charakterze i życiu odbijają się jak najwyraźniej charakter i dążności nietylko jego wieku, lecz całych wieków średnich. Książę Biały, to rycerz średniowieczny w całym tego słowa znaczeniu; w nim łączą się wszystkie sprzeczności, charakteryzujące wieki średnie i nadające im piętno tak odmienne w porównaniu z nowszymi czasami. Z odwagą, walecznością i nawet okrucieństwem wojownika łączy on jak najczulszą miłość dla kobiety, królowej swego serca; z żądzą sławy i władzy, z namiętném upodobaniem w zatargach rycerskich, łączy głęboki pociąg do spokojnej kontemplacji, do mistycznego życia w klasztorze. Miecz i serce, honor i kobieta, grabież i hojność, stosy gorejące i krzyż na sztandarze, zamki

warowne i Ziemia święta, życie burzliwe i zacisze klasztorne, bitwa i kościół, tron i ołtarz, król i papież, świat i Bóg: wszystko co z równą siłą oddziaływa na żywy umysł rycerza średniowiecznego i, niby różnobarwne szkiełka kalejdoskopu, nadaje wiekom średnim ów charakter niezrozumiałej dla nas fantastyczności i romantyzmu. Jeżeli przytém zauważymy, że rycerz nasz był potomkiem królewskiego domu Piastów, że miał pewne prawa do tronu swych ojców, że znajdował się w jak najbliższych osobistych stosunkach z ówczesnymi władcami świata, z królem węgierskim i polskim Ludwikiem, z cesarzem Karolem IV, z papieżami: Grzegorzem XI i Klemensem VI, że jako pretendent do korony polskiej przyjmował bezpośredni udział w losach swego kraju, że do celu owego dążył z rzadką zawziętością i energią pomimo wszelkich trudności i nieszczęść; że nareszcie skończył tragicznie w obcej ziemi: natenczas pojmiemy, co może zrobić poeta utalentowany z podobnego materiału historycznego, gdy potrafi skorzystać z bogactwa jego prawdziwie dramatycznych momentów.

Po tych wiadomościach wstępnych, które zdawały się nam koniecznymi dla należytego ocenienia tragedyi historycznej pana Kościelskiego, zwracamy naszą uwagę na sam ten utwór. Chcąc zaś dać, o ile to być może wyczerpujący rozbiór tego dzieła, a na rozbiór taki zasługuje ze wszechmiar tragedia p. Kościelskiego, głównie dla samego wyboru tak szczęśliwego i zajmującego tematu, zajmujemy się najprzód szczegółową oceną, tak treści jak i układu każdej ze składowych części tego utworu, a następnie wypowiemy nasze zdanie o całości.

Tragedya p. Kościelskiego składa się z pięciu aktów i prologu. Ten ostatni zaś zarówno treścią, jak i obszernością swoją stanowi niezbędną, składową część całego dramatu i dlatego w oczach krytyka uchodzić może tylko jako osobny akt wstępny, któremu autor odmówił nazwy aktu jedynie dlatego, że nie chciał odstąpić od przyjętego podziału poważnego dramatu na pięć głównych części. Estetycy w samej rzeczy prawie jednomyślnie i nie bez poważnych przyczyn, rozdzielają każdy większy dramat na następujące składowe momenta: 1-o) akt wstępny, mający na celu oznajomić czytelnika i widza z ogólną sytuacją przedstawianego utworu; 2-o) akt pierwszego zawiazku naprężenia dramatycznego, działania i przeciwdziałania, 3-o) akt kulminacyjny najwyższego naprężenia walki dramatycznej, 4-o) akt zwrotu czyli rozpoczynającego się rozwiązania i w końcu 5-to) akt katastrofy, samo rozwiązanie węzła dramatycznego. Jeśli podział ten jest trafny, i jeżeli odstąpienie od niego powinno być umotywowaném szczególnymi okolicznościami, to mamy prawo już zaraz na wstępie naszego rozbioru rozpatrzyć bliżej z tego stanowiska układ dzieła p. Kościelskiego i porównać takowy z powyższą regułą techniczną.

Powiedzieliśmy powyżej, że prolog do naszej tragedji zastępuje właściwie miejsce aktu wstępnego: wynika to bezpośrednio z treści tego prologu. Jesteśmy w Dyżonie (autor mówi w Dywionie), w klasztorze Cystersów (dlaczego nie Benedyktynów?) Rzecz rozpoczyna się rozmową dwóch mnichów o ich zajęciach klasztornych. Jeden przepisywał kroniki Rzymu, drugi zaś skończył właśnie przepisanie starożytnych foliów greckiej mądrości; lecz w księdze została nie zapisana karta, którąby pragnął wypełnić opowieścią z życia prawdziwego. Na to pierwszy mnich odpowiada następnemi słowy, mającemi na celu oznajmić nas zarówno z przeszłością bohatera dramatu, jak i z główną tendencją poety:

Idź bracie! (mówi) niech Duch Święty twe zamysły wspiera,
 Masz tu w klasztorze dobry wąż do zdarzenia,
Niechaj i naszych dziejów pomrok nie zaciera.
 Zapisz swą kartę dziejami książęcego brata,
 Władysława z Gniewkowa, co tu Bogu służy;
 Jego przeszłość jest pono w wypadki bogata,
 Zanim wziął włosiennicę, był to rycerz duży;
 Nie myślał końcem życia spoglądać z za kraty,
 Był on, słyszę, gdzieś królem pomiędzy Sarmaty.
 Wielki rycerz i możny przed obliczem Pana,
 Lecz skoro mu umarła żona ukochana
 I on umarł dla świata, ale w Panu odżył!
 O! masz bracie wspomnienie święte i klasztorne!

W drugiej scenie prologu występuje sam Władysław Biały i w pięknym monologu odsłania nam swój stan duchowy, uzupełniając takim sposobem przytoczone powyżej wiadomości o jego zewnętrznych kolejach życia. Władysławem, opanowywa pewien niespokój, pewna tęsknota za dawnym życiem rycerskim, w obec którego duszna i ciemna cela klasztorna wydaje mu się *trumną*, w której *umiera pierś chora*. Kiedyś był on spokojnym i pragnął zakończyć życie w klasztorze, a dziś!

Dziś (mówi) znowu jakaś mara napada mnie zbrojna.

Gdzie stąpie, słyszę bitwy gwar i szczęk oręża,
 Dawnych braci po mieczu widzę nikłe cienie;
 Chcę się modlić, pokusę modlitwa zwycięża:
 Bronię się od cierpienia, srogie to cierpienie!

Tak więc gniewkowski książę, hardy wojownik
 Padło ci kończyć żywot w mnisięj włosienicy,
 Całe ci szczęście zgasto w jednym ócz promyku,
 Całą przyszłość pogrzebał—jeden skon kobiety!
 Gdybyś ty była żyła Maryo!—gdybyś była

Uśmiechem dalej chrobre rozgrzewała serce,
 Nigdyby się skroń moja w proch nie poniżyła,
 Byłby dziś drżał przedemną król, kraj i oszczerce...
 Świat cały drżał przedemną; jam nie drżał przed Bogiem:
Ukarał mnie, wziął ciebie, wszystko z tobą razem!

Rozmowa Władysława z jednym ze wzmiankowanych powyżej mnichów, uwydatnia jeszcze bardziej stan duchowy księcia-mnicha. Tamten życzy mu pokoju w Panu; Władysław odpiera, że to pozdrowienie rozdziera mu serce; na to mnich radzi mu, aby się ukorzył przed Bogiem i modlił o spokój i zdrowie, gdyż dusza jego chora. Władysław jednak odpowiada namiętnie:

Nie chora, ale silna, za silna na kratę;
 Dlatego mię rozterki gnają niepojęte;
 Moje sny jeszcze chęcią *czynu* są skrzydlate:
 By tutaj żyć, potrzeba mieć skrzydła zwichnięte.
 Patrz bracie! we mnie młodość kipi jeszcze warem,
 Jeszcze chwycić świat cały w ramiona ponęta.

Na dalsze napomnienia mnicha, Władysław wypowiada w gorzkich słowach swój pogląd na życie klasztorne. W klasztorze, mówi, próżniactwo, bezczynność jest szczęściem, szczęściem zgnilizna. Prześlęczyć dnie nad księgą, a nocy na modlitwie, to praca kłamiwa.

Inną znam pracę w życiu: czynem się nazywa!
 Czyn, czy to głową w radzie, czy grotem w gonitwie:
 To życie!

Ten wewnętrzny rozbrat Władysława z życiem klasztornym, staje się w piątą i ostatnią scenie prologu czynem. Pó krótkim monologu, w którym książę wypowiada nadzieję, że krew jego przecież nie zastygnie w mnisiej trumnie pod głazem wilgotnym, że mu w kraju rodzinnym zaświeci może słońce łaskawsze; że mu przyjdzie może jeszcze działać, a może nawet panować: po tym monologu zjawia się Wiszota z Kurnika w odzieniu żebraczym, z zamiarem odszukania w klasztorze Piasta i wezwania go w imieniu całego kraju, aby wrócił do Polski i objął rządy po Kazimierzu, który syty więcej chwały, niżeli wieku, zstąpił między naddziady w wawelskie grobowce.

Rozmowa Wiszoty z Władysławem, oddaną została przez autora w prawdziwie artystyczny i efektowy sposób. Książę nie poznaje początkowo Wiszoty, a ten też zachowuje swoje inkognito w celu zgłębienia Władysława, wywiedzenia się, *jakiem korytem* myśl jego w klasztorze bieży. Opowiada mu tylko Wiszota, że kiedyś był

rycerzem, gdzieś w dalekiej stronie za setną rzeką, i opisuje w pięknych słowach ten swój kraj ukochany, w którym wprawdzie niebo nie jest tak jasne, jak w Franków krainie, w którym jednak żyje plemię szlachetne i rycerskie.

Tam rycerskość prawdziwa, tam cnota prawdziwa,
Z niepozornej powłoki na jaw się dobywa;
Tam się możesz upoić prawości obrazem,
Choć nie złotem moj naród sławny, lecz żelazem:
Żelazem on jest silny, mieczem wrogom srogi,
A pług z miecza przekuty uprawia rozłogi;
Tam niewiasty cnot starych pewnym idą torem,
Tam męże dzielnej ręki, radnej głowy wzorem!

Daliej opowiada Wiszota o swym wodzu mężnym, który jednak już nie żyje; nie żyje, bo zwątpił o sobie i wstąpił do klasztoru aby żyć życiem trupów.

Wszystko to roznamiętnia coraz bardziej księcia-mnicha.

Pieki! (woła) oni tam żyją, ja konam!

A gdy Wiszota o swym wodzu mówi: „on w grobie, dajmy mu już spoczywać“ wtedy Władysław książę i rycerz zabija w swém sercu mnicha i woła namiętnie:

Spoczywać! o biada!

On nie zna co spoczynek, lecz siłę posiada,
Siłę, co wszystkie węzły rozerwać jest zdolna,
Podeptać święte śluby i wyjść znowu wolna;
Siłę, co wszystkie więzy i sieci rozmota...

Tu Wiszota daje się poznać Władysławowi i ukłękawszy przed nim mówi: „Panie! uczyn jak mówisz!“ Następnie donosi mu, że po Kazimierzu zabrał dziedzictwo *Węgier samozwaniec*, i że kraj cały pokłada jedyną nadzieję w owym księciu Białym. Po krótkim wahaniu się ze strony Władysława, uprzytomniającego sobie świętość ślubów zakonnych, prolog kończy się piękną apoteozą księcia do miecza, który mu podał Wiszota.

O mieczu! piękne cacko, o ilekroć razy
Szukałem cię na szarój ścianie mojej celi;
Nie było cię! i męstwo pordezwiąło w skazy;
Wzięli miecz, wszystko razem z moim mieczem wzięli!
Dziś z tobą rycerskiego ducha czuję jeszcze.
O! zostaw mi ten miecz twój, niech się nim popieszczę;
Miecz mam znowu, miecz znowu przyciskam do łona!

Z tym mieczem, mówi dalej, powróci do kraju, lecz w kraju? pyta następnie, a Wiszota odpowiada: *korona!* Zastona spada.

Podaliśmy nieco obszerniej treść prologu dlatego najprzód, że on stanowi najpiękniejszą i najlepszą część całego dzieła, a powtóre dla tego, żeby wykazać doniosłość téj treści w układzie dramatu p. Kościelskiego. Każdy przyzna, że charakterystyka Władysława, jego stosunku zarówno do życia klasztornego jak i do owego rodzinnego kraju, jest niezbędną dla należytego zrozumienia całego dalszego przebiegu dramatu, w którym Władysław ma odgrywać rolę główną. Charakterystyka ta, odsłania nam duszę bohatera, wykazuje najtajemniejsze dążności jego serca, stanowiące zawiazki jego późniejszych działań. Otóż rzeczy tak ważnych nie można żadną miarą oderwać od związku z pozostałą całością, o nich nie można traktować w prologu tylko, który według przyjętego zwyczaju odgrywa rolę bardzo podrzędną, a w każdym razie powinien być tego rodzaju aby usunięcie jego nie wpłynęło na samą treść dramatu. Prolog można porównać z przypiskiem autora podawanym niezależnie zupełnie od tekstu. Przypisek taki może być często bardzo pouczającym i zajmującym, lecz nigdy nie powinien zawierać w sobie rzeczy koniecznej potrzebnej dla zrozumienia tekstu, inaczej nie możnaby pojąć dlaczego autor podaje w przypisku to, co powinno znajdować się w samym tekście. Kto pisze o Władysławie Białym popełniłby wielką nielogiczność, gdyby o charakterze jego traktował w przypiskach; takiej nielogiczności dopuszcza się poeta, który w prologu zajmuje się charakterystyką swego bohatera, a w samym dramacie o podobnej charakterystyce prawie zupełnie zapomina.

Na usprawiedliwienie swego prologu, autor mógłby się wprawdzie odwołać do przykładu kilku wielkich poetów, którzy téj formy wstępu dramatycznego w niektórych utworach z powodzeniem używali, jak n. p. Göthe we *Fauście*, Szyller w *Dziewicy Orleańskiej*, Słowacki w *Lilli Wenedzie*, i inni. Lecz na to odpowiemy najprzód, że największy poeta dramatyczny, Szekspir, z prawdziwie wielkim taktem unikał wszelkich prologów dramatycznych (wyjątek stanowi krótki ustęp do *Postromienia złoŃnicy*) pojmując dobrze ich niestosowność a nadto zauważyć należy, że w przytoczonych przykładach prologi mają tylko na celu objaśnienie ogólnej sytuacji w której dramat się odbywa, a nie wprawiają bynajmniej w ruch głównych sprężyn przyszłej akcji dramatycznej. Dlatego téż przytoczone dramata mogą się obejść bez prologów, nie tracąc wcale na jednolitości i spójni w swój treści głównej. Tymczasem nasz autor, jak widzieliśmy, przeniósł do prologów rzeczy tak fundamentalne dla całej dalszej akcji dramatycznej, że śmiało powiedzieć możemy, że jego dramat bez prologu po prostu istnieć nie może; z usunięciem prologu ucięłoby całemu dziełu głowę, lub co gorsza wydartoby mu serce; w jednym i drugim zaś razie mielibyśmy do czynienia z trupem, pozbawionym życia i ducha. Żałujemy mocno, że p. Kościelski pisząc swój dramat, nie obznajmił się należycie z dziełami dotyczącymi techniki dramatycznej u. p. z dziełem znakomitego

powieściopisarza i poety dramatycznego Gustawa *Freytaga* p. t. *Die Technik des Dramas*, 2 wyd. 1872. Tu na str. 101 i nast. mógł być się dowiedzieć o wymaganiach dobrego wstępu dramatycznego, a zarazem o niebezpieczeństwie na które się naraża autor rozpoczynający swe dzieło obszernym prologiem dramatycznym. Niebezpieczeństwo to polega na tém, że środek ciężkości dramatu zbyt łatwo się nachyla do prologu, wskutek czego całość staje się chwiejną lub nawet zupełnie upada. Nasz autor, jak zaraz zobaczymy, nie uniknął tego niebezpieczeństwa.

Akt pierwszy przenosi nas do sali tronowej zamku królewskiego w Gnieźnie. Występują: król Ludwik, w ubraniu węgierskiem i wojewoda wielkopolski Sędziwój z Szubina. Rozmowa ich pięknie udratyzowana, chociaż nieco przydługa ma na celu oznajomić nas z położeniem kraju i z głównymi charakterami przeciwnego Władysławi obozu. Prolog oznajomił nas z bohaterem i głównym jego współnikiem Wiszotą; tutaj występuje król Ludwik jako potężny przeciwnik księcia-mnicha, wraz ze swoim głównym pomocnikiem Sędziwojem. W królu przedstawia się nam człowiek surowy, despotą, widzący w narodzie tylko *podły motłoch*, którego krnąbrność powściągnąć należy. Sędziwój natomiast reprezentuje pierwiastek pojednawczy, radzi królowi aby na wzór Kazimierza Wielkiego był ojcem ludu, a wtedy może być pewnym równej wdzięczności i miłości. W tym celu Sędziwój prosi króla aby nie opuszczał kraju, nie wracał do Węgier, tém bardziej że jego tronowi grozi niebezpieczeństwo, gdyż „mnich wiarołomny świętokradzką dłońią sięga do skroni, kędy korona“. Król lekceważy sobie tego przeciwnika, gdyż jak mówi:

Króla stać na to, aby nędzną tę głowę
Zdeptać i szablą tonsurę wygolić!

Z tém wszystkiém jednak Sędziwój, znający dobrze stan rzeczy, radzi aby król przychylił się do prośby Władysława, domagającego się posłuchania u króla.

Dozwól (mówi Sędziwój), niech stawi się mnich przed twą chwałą,

Niech powie czego żąda, co przynosi?
Skromny gdy będzie, mir w kraju zabłyśnie;
Dumny, to ręce umyjesz w żałości,
Krzywdzić nie będziesz krwi więcej niewinnój:
Na głowę mnicha krew spadnie i zemsta.

Po odejściu króla i Sędziwoja występują w scenie drugiej panowie radni w celu przedstawienia się Ludwikowi. Między niemi odgrywa główną rolę Wiszota, starający się zjednać Władysławowi

głosy radnych panów. Występuje on w charakterze wicherzyciela, agitatora, i woła nawet z zapałem:

Niech żyje król nasz, Władysław z Gniewkowa!

Niektórzy jednak panowie radni, między niemi szczególnie Jasio Kmita, protestuje przeciwko podobnemu postępowaniu. Oni jak mówią nie uznają nigdy Władysława, tego „wilka w mnisięj skórze.“

W scenie następnęj jesteśmy świadkami pierwszego starcia głównych przywódców działania i przeciwdziałania t. j. Wiszoty i Sędziwoja. Pierwszy reprezentuje dążności głównego bohatera dramatu, Sędziwój zaś z urzędu i przekonania broni praw królewskich, gdyż według niego tylko poszanowanie dla tych praw zapewnić może krajowi dobrobyt i spokój. W krótkiej lecz prawdziwie dramatycznej rozmowie tych dwóch postaci, uwydatnia się bardzo dobrze wzajemny do siebie stosunek stron wojujących. Nie ma tu jeszcze działania, ale są słowa które rokują działanie, jak to sam Sędziwój wyznając mówiąc trafnie i pięknie:

Obłuda człowiecza

Wprzód niż żelazem, słowem chce panować.

Sędziwój zarzuca Wiszocie, że pod „płaszczkiem publicznej swobody, własne łata łachmany i strzępy“, że pan jego „nie doniesie krajowi przysięgi, gdyż Bogu nawet nie dochował wiary.“ Wiszota na to:

Mówisz jak klecha wyczon kazania,
Co djabłu wyrwać ma duszę grzesznika.

ŚĘDZIWÓJ.

Gorsza niż szatan jest kraju zamieszka;
Zuć złe, i milczéć, to więcéj niż zdradzić!

WISZOTA.

Zkąd do napomnień ci sprawa i prawo?

ŚĘDZIWÓJ:

Zkąd do zaburzeń ci chęćka wiclączu?

Ta rozmowa doraźna przechodzi naturalnym sposobem w działanie, gdy Wiszota powiedział Sędziwojowi ironicznie, że chce być Sieciechą, a ten odpiéra, że lepszy był Sieciech, niżli Pełko zdrajca. Na co Wiszota, dobywając miecza woła: „Zdrajca, to słowo krew twoja mi spłaci!“

Lecz wtém otwierają się podwoje sali tronowęj i wstępuje król Ludwik z arcybiskupem gnieźnieńskim i duchownymi.

Ludwik ma mowę tronową, przerywaną w celu dramatycznym uwagami panów radnych wypowiedzianymi na stronie. Mowa króla pełna jest surowości i gróźb.

Są w dłoni królewskiej pioruny,
Są gromy z nieba na króla skinienie.

Król—a stanowczość to jedno jest słowo;
Król—sprawiedliwość, dwa dźwięki to równie.

Z tém wszystkiém jednak Ludwik zgodził się na prośbę Sędziwoja, wypowiedzianą powyżej i dozwolił księciu Białemu zjawić się przed tron i wypowiedzieć publicznie swe żądania. Ludwik kończy swą mowę:

„Próg niech przestąpi mój brat, pan Gniewkowa.“ I w samej rzeczy Władysław zjawia się w zbroi i staje przed tronem Ludwika.

Konieczność zniewala nas przerwać tutaj na chwilę opowiadanie dalszego przebiegu dramatu, dla wypowiedzenia kilku uwag krytycznych, które się nam narzucają wobec tak ważnego faktu, jakim jest zjawienie się osobiste Władysława przed tronem Ludwika. Nie trudno zauważyć że sam ten fakt znajduje się w jak największej sprzeczności ze wszystkiém, cośmy dotąd w naszym dramacie o księciu Białym słyszeli. Czyż mnich dyżoński na to tylko podeptał święte śluby, aby stanąć beczynnym przed tronem swego śmiertelnego przeciwnika? czy na to tylko wyłamał żelazne kraty swój celi, ukuł z nich zbroję rycerską i miecz krwawy, aby zabłyszczeć na radzie w sali tronowej swego rywala? Gdzież się podziała jego dusza silna, przed którą drżał świat cały? Gdzie się podziały jego sny niespokojne o gwarze bitwy i szczyku oręża? gdzie jego marzenia o tronie i koronie? Czyż to wszystko się rozpierzchno wraz z spuszczeniem zasłony, oddzielającej króla od aktu pierwszego? O nie! książę Gniewkowski, wnuk Łokietka, w którym krążyła krew królewska Piastów, nie mógł nigdy a nigdy stanąć w Gnieźnie i ukorzyć się dobrowolnie przed Węgrem Ludwikiem! Taki charakter jak on mógł stanąć przed tronem swego przeciwnika nie jako rycerz swobodny i pan na Gniewkowie, lecz tylko jako hardy więzień spętany łańcuchami; nie na pierwszym wstępie do kraju rodzinnego, lecz tylko w ostatnim akcie swego dramatycznego żywota, ulegając tragicznej konieczności losu. Jeżeli historia nam donosi o zjawieniu się Władysława w Peszcie, to przyczyny tego zdarzenia nie są nam bliżej znane, a w każdym razie fakt ten nie powinien być w ten sposób zużytkowany, jak to czyni nasz autor. Czegoż się możemy spodziewać po bohaterze, który już w pierwszym akcie tak rażąco i nie potrzebnie zmienia swoją rolę, i tak mało pokazuje charakteru właściwego prawdziwym bohaterom.

Nadto zauważyć musimy, że wystąpienie Władysława przed tron Ludwika nie jest wcale umotywowaném w sytuacji, którą nam

przedstawia sam autor w pierwszych scenach swój tragedyi. Od samego początku aż do chwili w mowie będącej, skryśliśmy tylko o księciu Białym jako o pretencji do tronu, na którym zasiadał Ludwik. Tylko z tego stanowiska zrozumiałą jest niechęć króla dla wielkopolan sprzyjających Władysławowi, tylko w tym duchu pojąć można antagonizm między obiema partjami; działanie Wiszoty przeciw sprzymierzeńcom królewskim, jego opór ze Sędziwojem i t. d. Zresztą Wiszota jak widzieliśmy po prostu wywołuje Władysława jako króla. W jakim stosunku pozostaje książę Biały do tej agitacji Wiszoty? Autor nam tego w pierwszym akcie nie objaśnia i dla tego mamy prawo przypuszczać, że stosunek ten się nie zmienił w przeciągu czasu między prologiem i pierwszym aktem. Władysław zgodził się na wezwanie Wiszoty i Wielkopolan, przybył do kraju; czyż możemy przypuszczać, aby tutaj wobec stronnictwa przeciwnego nie działał w jak największej zgodności ze swymi przyjaciółmi? A jeżeli miał jakieś tajemnicze motywa do działania na własną rękę, to ten zmieniony stosunek księcia do Wiszoty należało uwzględnić w osobnej scenie, inaczej ten rozdźwięk jednego z dwóch głównych stronnictw całego dramatu pozostaje niezrozumiałym. Wiszota mówi o Władysławie jako o swym królu, a ten zadaje mu kłam, korząc się przed tronem Ludwika. Zaznaczamy tedy dwie ważne sprzeczności w samym fakcie wystąpienia Władysława w pierwszym akcie: 1) sprzeczność z samym sobą, ze swymi pierwotnymi zamiarami, ze swoim charakterem; 2) sprzeczność z otwartym wystąpieniem jego współników.

Sprzeczności tych autor nie zdołał usunąć przez dalszy przebieg działania; przeciwnie, motywa jakie książę Biały przed królem wypowiada dla usprawiedliwienia swego zadziwiającego postępowania, są tak słabe i mało znaczące, że dają niestety dowód, iż autor nasz nie zrozumiał wcale potężnego charakteru swego bohatera.

Władysław przyznaje przedewszystkiemi królowi, że przybył do kraju, aby usiąść na tronie Piastów.

Kiedy kraty celi prysły

Przed moją piersią (mówi), w szalonym obłądnie

Pędziłem, a mych marzeń tron był końcem.

W kraju błagalne wierzyłem orędzie

I ludu mego chciałem zostać słońcem!

Duma rodowa i Piasta nazwisko,

Drogę mi świetną znaczyły przed duszą...

A cóż skłoniło księcia Gniewkowskiego do tak rychłego odstąpienia od zuchwałych zamiarów? Co zdołało skruszyć jego energię i zgziąć jego dumę? Czy przekonanie o niemożności urzeczywistnienia tych zamiarów, czy sroga nauka nieugiętego losu? Bynajmniej: u naszego autora ten przewrót w całym charakterze bohatera, w całym celu jego istnienia i dążenia, skutecznia się środkami

daleko mniejszemi, prostszemi. Sielankowy szum gajów rodzinnych wystarczał, aby mężnego żołnierza i dumnego rycerza, aby księcia krwi królewskiej przeistoczyć na człowieka pokornego, na filantropa, brzydzącego się próżnym rozlewem krwi. Otóż własne jego słowa:

Ach! jakże prędko szum gajów rodzinny
 Rozwiął marzenia: krwią nie chcę się wsławić;
 Na Piastów tronie zasiadł władzca inny,
 Aby go posiąść musiałbym go krwawić.
 Nie chcę krwi ludu rozlewać daremnie,
 Skroń mą rozbijam o te tronu stopnie,
 Które mą stopą gnieść chciałem, i we mnie
 Masz *poddanego: nie współzawodnika!*

Szanujemy jak najbardziej zarówno liryczny polot ducha, który w tych słowach się wyraża, jak moralną ideę, jaką poeta zapewne miał na oku wypowiadając takowe przez usta swego bohatera. Lecz to wszystko nie może złagodzić wymagań dotyczących jednolitości i prawdy psychologicznej każdego charakteru dramatycznego, cóż dopiero bohatera takiej doniosłości, jakim jest Władysław Biały. Który rycerz średniowieczny był do tego stopnia sentymentalnym, że się bał rozlewu krwi ludzkiej, gdy chodziło o urzeczywistnienie jakiejś idei romantycznej? Któryż z pretendentów i uzurpatorów w historii, marzył kiedykolwiek o osiągnięciu swego celu bez walki na życie i śmierć? Czyż Władysław słysząc w Dyżonie o Ludwiku, mógł przypuszczać, że mu się uda zrzucić potężnego władzcę z tronu bez wojny i rozlewu krwi? Po cóż wtedy jego apoteozy do miecza, do gwaru bitwy, do szczęku oręża? A jeżeli miał serce pełno miękkich, bardziej muisich niż rycerskich sentymentów, to pocóż porzucił klasztor? po co nie wraca do niego czémprędzej, gdy niema odwagi przeprowadzenia swego dzieła do ostatnich wyników? Cóż ma począć w świecie rycerskim książę Gniewkowski po takim upokorzeniu samego siebie, po zrzeczeniu się wszystkich tych motywów, które spowodowały jego zamartwychwstanie z grobu klasztornego? Jaki może być dalszy cel jego dążności? Jakie może być jego znaczenie w dalszym przebiegu dramatu p. Kościelskiego? Według naszego przekonania, rola księcia Białego skończyła się z pierwszą chwilą jego kornego wystąpienia przed Ludwikiem. Przez to wystąpienie autor zamiast obudzić interes dla swego bohatera, przytkumił w każdym krytycznym czytelniku i widzu współczucie, jakie dotąd towarzyszyło głównej postaci jego dramatu. Współczucie, interes dla bohatera są zawsze wynikiem obawy naszej o los, jaki go czeka, naszej niecierpliwości z powodu dalszych kolei jego życia i działania. Ten interes potrafił autor obudzić w sercu i umyśle czytelnika na początku swego dzieła, w prologu, w pierwszych scenach pierwszego aktu. Władysław zaś korbujący się przed Ludwikiem już nie obudza w nas ani

obawy, ani nadziei, ani niecierpliwego oczekiwania. Poddał się i koniec. Tego rażącego błędu już żadne dalsze efekta dramatyczne poprawić nie zdołają. Autor sam zabił moralnie swego bohatera w pierwszym akcie. Najpotężniejsza fantazyja nie jest już w stanie powrócić mu życia, postawić go znowu na nogi i wlać w jego serce ową energię dramatyczną, którą się za życia odznaczał.

Rzecz jednak naturalna, że autor w dalszym przebiegu swęj tragedyi nie mógł się kierować wyłącznie motywami liryzmu i sentymentalności. Musiał tedy odszukiwać sztucznie nowych powodów do naprężenia dramatycznego, bez którego niema życia i działania. Po usunięciu zaś jedynie właściwego i naturalnego naprężenia, wszelkie nowe w tym kierunku starania nie mogły być uwieńczone skutkiem pożądanym, przeciwnie przybrać musiały charakter naciągany, sztucznie nadrobiony. I w samęj rzeczy nie w inném świetle przedstawiają się nam motywa, uwydatnione przez autora dla wywołania nowęj walki dramatycznęj między Władysławem i Ludwikiem.

Król przyjmuje upokorzenie księcia Białego z wielkiem zadowoleniem i mówi do niego: Obyś tak czynił jak mówisz roztropnie.

Na to Władysław występuje z żądaniem treści następującej:

Pragnę!

Zwróć mi mój Gniewków, ziemię Inowłodza:

A ja przysięgam, że dumę mą nagnę

I z burzyciela uczynię ci wodza.

Ludwik naturalnie odmawia tęg prośbie:

Raz człek umiera (mówi), że śmierci manowca

Trup do swych dzierzaw nie wraca, ni miecza.

Żeby zaś odjąć Władysławowi wszelką nadzieję odzyskania swęj ziemi dziedzicznęj, król obdarowywa Gniewkowem Kazimierza księcia szczecińskiego. Pomimo wspaniałomyślności tego ostatniego, skutkiem któręj nie chce przyjąć daru, dlatego, że się tęg ziemi domaga dziedzic prawy, pomimo groźb Wiszoty i innych stronników księcia Gniewkowskiego, którzy wołają:

„Z księciem jest prawo, więc będą i miecze!“ Ludwik pozostaje nieugięty. I otóż nowy powód do naprężenia dramatycznego. Władysław będzie chciał przemocą odzyskać ziemię dziedziczną: z tego wywiąże się walka między nim i Ludwikiem. Czy w samęj rzeczy tak będzie? Jest to pytanie uprawnione wobec tego, cośmy dotąd o Władysławie słyszeli. Może znowu szum gajów zmięni jego postanowienia. Może sobie przypomni rycerz wojowniczy, że jeżeli nie chciał splamić swego miecza krwią ludzką dla uzyskania tronu, to tęg mnięj godziłoby się rozpoczynać walkę krwawą o posiadanie jednęj ziemi Gniewkowskięj. Autor sam czuje dobrze, że przytoczony powód nie jest dostatecznym do umotywowania walki dramatycz-

nój przyszyłych aktów. Ztąd uwydatnia jeszcze nowy motyw téj walki.

Podczas sporu króla z Władysławem wpada do sali tronowej tłum wieśniaków, żalących się na Węgrów, którzy tratuja, zboże i palą chaty wieśniacze. Ludwik niema litości dla nędzy ludu i woła niecierpliwie :

Precz mi z motłochem! nie króla to ucho
Jękiem wieśniaczym obrażać!

.....
Precz z oczu!

Ta srogość oburza Władysława. Nazywa on Ludwika ojczymem i postanawia stanąć w obronie ludu, jako ojciec prawdziwy.

Poznasz dłoń trupa (mówi do Ludwika), i poznasz czy
Dłoni miecz nowych nie wzbudzi piorunów; [w zmarłej
Tu mi plon życia, tu święta powinność.

.....
Królu węgierski, kamienne twe serce
Jest dla méj nogi pierwszym stopniem tronu!

Oto drugi powód do naprężenia dramatycznego. Władysław wraca tedy do swéj pierwotnéj idei, staje się znowu pretendentem. Ale czy ten zwrót jest umotywowanym dostatecznie? Bynajmniej. Władysław znajdował się w kraju; mamy prawo przypuszczać, że znał dobrze stan rzeczy, sytuacyą, w której się znajdował i że nie potrzebował dopięro być świadkiem owéj sceny z wieśniakami, aby powziąć rzeczony zamiar. Scena ta mogła tylko służyć za usprawiedliwienie jego pierwotnych zamiarów, gdyby od nich nie był odstąpił, gdyby nie był się kornie poddał Ludwikowi; teraz zaś zwrot podobny wskutek jednéj *przypadkowej* sceny, jest co najmniej naciągany.

Autor, widocznie pomieszał tutaj dwa zupełnie różne sposoby motywacyi dramatycznój; motywacyą psychologiczną, w saméj osobie działającej i motywacyą artystyczną dla widza lub słuchacza, mającą na celu w sposób należyty uwydatnić sprężyny działania dramatycznego. Przytoczona scena z wieśniakami mogła mieć tylko znaczenie motywacyi artystycznój, t. j. mogła tylko w oczach widza uwydatnić czynniki przyszłego działania i usprawiedliwić rodzącą się walkę dramatyczną. Lecz scena ta nie powinna była nigdy uzyskać znaczenia motywacyi psychologicznój, zmieniającej dążności samego bohatera. Jeżeli Władysław znając dobrze położenie wieśniaków przed pierwszém swoim wystąpieniem, pomimo to miał pewne powody do ukorzenia się przed Ludwikiem; to te powody musiały być poważne-
mi i nie mogły być usuniętymi tak nagle przez ową scenę. Jeżeli

zaś scena ta była w stanie rozbudzić w księciu postanowienie wystąpienia publicznie ze swemi pretensjami do tronu, to pojąć nie można dla jakiej przyczyny od tego pierwotnego postanowienia odstąpił, co go mogło skłonić do pokory? Czyż tylko chęć posiadania ziemi Gniewkowskiej bez rozlewu krwi?

Na przedstawieniu przytoczonych motywów, kończy się akt pierwszy.

Treść aktu drugiego jest następująca: Jesteśmy na zamku w Złotorzy.

W scenie pierwszej i drugiej występują Anna, córka Hanki z Brzezia i Marta jej piastunka. Anna w słowach pełnych uczucia i energii, wypowiada Marcie swoją gorącą miłość do księcia Władysława. Poznała ona go w Gnieźnie na uroczystości wjazdu króla Ludwika. Książę Gniewkowski był na uczcie w domu jej ojca, puszkarza, który należał do stronników księcia. Anna usługiwała przy stole i nalewała księciu wino. Nie ostrożna i zatruwiona, uroniła na szatę księcia krople purpurowe. Książę wtedy z uśmiechem rzucił wzrokiem na skłopotaną dziewczę. A Anna?

Ja (mówi ona o sobie) z dziecięcym
Strwożeniem, pierwszym wtedy spłonęłam rumieńcem.
Pamiętam, ten dzień pierwszym jest dniem w mojem życiu,
Przed nim nie żyłam, może żyłam, ale nie wiem;
Życie z całym palącym w mej piersi żarzewiem,
Dopiero się poczęło w pierwszym serca biciu.

Isć za nim, jako Anioł Stróż stać mu przy boku,
W każdej chwili weni patrzeć i być przy nim wszędzie;
Czerpać zdroje rozkoszy w jasnym jego oku
I ginąć, byle tylko w jego wiernych rzędzie!

A jednak choć mi dusza kraje się na ćwierci,
Nic mu wyznać nie mogę, chyba w chwili śmierci.

Dalsze sceny tego aktu dają nam poznać kilka nowych postaci dramatu. Widzimy tu przedewszystkié Hankę z Brzezia, który będąc puszkarzem na zamku Złotorzy, znajdującym się w ręku królewskich, postanowił przez zdradę oddać zamek Władysławowi. Anna wie dobrze o tej zdradzie i wspiera ją moralnie, w nadziei prędkiego zobaczenia księcia. Lecz jej miłości stoi na zawadzie zamiar ojca wydania jej za mąż za Wszeboja, młodego rycerza, syna Wiszoty. Wszebój kocha Annę z całą siłą młodzieńczego serca. W dłuższej rozmowie z Anną (scena 6) przedstawia się nam jako człowiek niezwykle namiętny i szorstki. Należy on do stronnictwa Władysława, ale dla tego, że ojciec jego stoi na czele tego stronnictwa. W głębi zaś serca nienawidzi krwawo księcia mnicha, który,

jak mówi Wszebój, wyrzec się nie może swój mniśiej natury i zamiast siłą oręza, woli, w ciemnej nocy podstępem zdobywać nieprzyjacielskie zamki. Przypomnijmy Wszebój prędko domyśla się, że serce Anny zajęte jest księciem. Anna przynajmniej otwarcie mu wyznaje, że go nie kocha i że nigdy jego nie będzie. Wiadomość tę Wszebój przyjmuje z niewymowną złością i goryczą. Rycerski młodzieniec nigdy nie przypuszczał, aby córka puszkarza mogła mu odmówić miłości. Gniew jego wyjawia się w najsroźszych słowach. Kochanka z razu stała się w oczach jego czarownicą, jedzą, żmiją, której grozi, że pozna rękę obrażonego rycerza. Anna wobec tych obelg zachowuje się śmiało, energicznie, a nawet bohatérsko.

Stój wściekły! (woła do Wszeboja), gniew twój powstrzymaj
Mężny szermierzu z słabemi niewiasty! [na wodzy,

Zbierz wściekłe zmysły i wyznaj w swój duszy,
Jaki to nędzny jest rycerz, choć w stali,
Którego słaba kobiéta powali
I słowem jedném w nim męztwo pokruszy!

Anna wychodzi z Martą, a Wszebój w krótkim monologu odsłania nam całą swą duszę szatańską; myśli o zabójstwie Anny i o samobójstwie. „Ja muszę krew złopać,“ woła roznamiętniony i postanawia odkryć tego, któremu Anna oddała pierwszeństwo.

On mego szczęścia tu przeżyć nie może:
Znajdę, zębami mu żyły otworzę!

Prócz przytoczonych nowych postaci zapoznajemy się w akcie drugim jeszcze ze starostą Złotoryi, Krystynem ze Skrzypowa. W dwóch scenach tego aktu (4-éj i 8-éj) przedstawia się on nam, jako pijak z profesyi. Zasmakowawszy w winie przez podstępnych rybaków w dar mu przyniesioném, już od dzbana odejść nie może. Akt kończy się niespodziewaném wystąpieniem księcia Władysława, który wskazaną przez Hankę furtką wraz ze swemi hufcami od strony Wisły do zamku się dostał. Występując na scenę nakazuje starostę i załogę królewską okuć w kajdany i wtrącić do lochu.

Otóż treść aktu 2-giego; porównywając go z aktem pierwszym, nasuwa się nam bardzo wiele uwag krytycznych. Wypowiemy tylko najważniejsze z nich. Przedewszystkiém razi nas w całym tym akcie nowość zupełna wszystkich prawie czynników dramatycznych. Akt 2-gi nie jest dalszym ciągiem pierwszego, lecz samodzielną całością, która mogłaby służyć za akt pierwszy do nowego zupełnie dramatu. Osoby, sytuacja, treść, duch, napięcie dramatyczne są zupełnie inne, nie mają nic wspólnego z aktem poprzednim. Akt pierwszy postawił nas w wyżynach historii; osoby działające brały

bezpośredni udział w losach całego kraju; naprężenie dramatyczne nie wynikało ze stosunków osobistych, lecz z sytuacji historycznej, w której się znajdowały osoby działające. Czytelnik zainteresowanym został nie dla tej lub owej jednostki, lecz dla idei, w imię której jednostka działała. Jednym słowem akt pierwszy należał do dramatu historycznego. Tymczasem w akcie drugim treść historyczna odgrywa rolę bardzo podrzędną. Najwybitniejsze postacie tego aktu: Anna, Wszebój i Krystyn nie są przedstawicielami żadnej idei historycznej, żadnego stronnictwa, nie zdradzają żadnej chęci przyjęcia czynnego udziału w przebiegu głównej akcji dramatu zcharakteryzowanej w akcie pierwszym.

Anna jest wyłącznie zajęta sobą, swoją miłością. Miłość tę autor uwydatnił wprawdzie z wielkim talentem, nadał jej odcień heroizmu, związał z głównym bohaterem dramatu. Z tym wszystkiem jednak nie ma ona charakteru historycznego i nie znajduje się w żadnym związku z główną ideą aktu pierwszego. Jej znaczenie w dramacie historycznym takiego zakresu, jakiego się spodziewać należało po prologu w akcie pierwszym, mogło być drugorzędne. Autor miał zupełne prawo miłością tą wypełnić kilka scen, i związać ją z losami bohatera, miał również prawo nadać Annie miejsce wydatne w akcji dramatycznej. Lecz nie miał prawa sentymentami Anny i jej stosunkiem do Wszeboja zapełnić prawie cały akt drugi. Toż samo należy powiedzieć o samym Wszeboju. I on podobnie jak Anna daje się powodować wyłącznie osobistymi motywami: on nie jest charakterem historycznym, a zatem mógł stać tylko na drugim lub nawet trzecim planie; w każdym zaś razie wystąpienie jego nie powinno było krępować rozwoju historycznej idei dramatu. Krystyn wreszcie ze swoim opilstwem, choć przedstawiony bardzo charakterystycznie, ma tylko znaczenie karykaturalnego arabesku. W tym charakterze byłby zupełnie w swoim miejscu, wydatne zaś miejsce jakie zajmuje występując wraz z Anną i Wszebojem jako główna postać aktu drugiego, muszą wywołać w każdym widzu wrażenie jak najprzykrzejsze. Szekspir jak wiadomo, wyprowadza na scenę dość często podobne karykaturalne postacie, ale tylko do uwydatnienia postaci głównych. O tych zaś nasz autor w drugim akcie zapomniał zupełnie.

Co się zaś tyczy króciutkiego wystąpienia Władysława w końcu aktu, to ono bezwątpienia może wywołać wielki efekt dramatyczny, może nawet złagodzić w części wytkniętą powyżej niestosowność wprowadzenia na widownię wyłącznie osób nieznanymi i drugorzędnymi. Pomimo to jednak, sposób zachowania się Władysława nie jest bez zarzutu. Dostaje się on do zamku przez *zdradę*, a zatem sposobem nie bardzo rycerskim, jak to Wszebój trafnie zauważył. Okrzyki hucfów książęcych przy zajęciu zamku:

„Książę niech żyje, niech żyje wódz drogi!“ brzmią jakąś ironią. Czyż potrzeba na to być księciem i wielkim wodzem, aby w nocy przez

otwartą furtkę wejść do zamku i okuć w kajdany spią żałogę? Mamy prawo zapytać, co zmusiło dzielnego rycerza, księcia Gniewkowskiego, do posiłkowania się zdradą dla zajęcia Złotoryi? Czyż do tego dzieła przystąpił bez żadnego skrupułu, bez poprzedniej walki? O tém wszystkiém autor nam nic nie mówi, a są to rzeczy dla charakterystyki bohatera daleko ważniejsze niż wszystko cośmy słyszeli z ust Anny, Wszeboja lub Krystyna. Widocznie brak w akcji drugim sceny, któraby uwydatniła stosunek Władysława do owego podstepu. W ogóle brak scen takich, któreby oznajomiły nas jak z zamierami obydwóch wojujących stronnictw, tak i z faktami historycznymi, które miały miejsce między hałaśliwem zebraniem w Gnieźnie a oblężeniem Złotoryi przez Władysława. Co robi król Ludwik i jego stronnicy? Czy śpią podczas oblężenia jednego z najsilniejszych zamków królewskich? Jakim sposobem zebrał Władysław hufce rycerskie, jak się dostał pod mury Złotoryi, czy dał dowody swego mężstwa, waleczności, czy też zawsze używał zdrady dla dopięcia swych celów? Oto pytania, które nam mimowolnie narzucają się przy wystąpieniu Władysława w Złotoryi. Autor nie ma odpowiedzi na te pytania, i dla tego właśnie akt drugi jego dramatu nie wiąże się wcale z pierwszym, a obraca się około nowego zupełnie tematu.

Przejdźmy dalej do aktu trzeciego. Rzecz się dzieje, podobnie jak w akcie drugim, w zamku Złotoryi, zajęтым przez Władysława. Po scenie wstępnej w której występuje Wiszota, Stefan z Trłanga i Przedpełko ze Stęszewa, opowiadając sobie w sposób charakterystyczny przygody ostatniej wycieczki, spotykamy się z Władysławem. Sądziłoby wypadało, że marzy o tronie, że zastanawia się nad środkami energicznego urzeczywistnienia grózb rzuconych publicznie przed tron Ludwika! W czémże inném szukać punktu kulminacyjnego całego dramatu! Autor rzecz tę zupełnie inaczej pojął. W obszernym monologu przedstawia nam księcia Białego srodze zakłopotanego miłością dla Anny; w obec téj miłości zapomina o wszystkim inném, o swój missyi dziejowej, o swych groźbach i marzeniach rycerskich, staje się natomiast sentymentalnym, zgnuśniałym, niepraktycznym kochankiem.

Ona, i wszędzie ona! (woła) czy śród bitwy
 W szale zwycięztwa nacieram na wrogi,
 Czyli wracając z zwyciężkiej gonitwy
 Z rogów oddźwiękiem wstępuję w te progi:
 Ona i wszędzie ona! śród modlitwy,
 W nocy bezsennój, czy gdy sen złowrogi
 Spadnie ołowiem, jak kiru zasłona...
 Ona, i wszędzie ona! wszędzie ona

Precz (mówi na końcu), precz złote mary, wielkości i sławy!

Precz panowania zwodnicze mamidła!
 Precz szlaku bojów, pożoga jaskrawy!
 Strząsam te więzy, odpycham te sidła!
 Szczęście jedyne: kochanki wzrok łzawy.
 Spokój jedyne: pod miłości skrzydła.
 Nad sławę, która wojownika czeka,
 O! wyższém stokroć jest szczęście człowieka!

Wszystko to bardzo jest piękném i daje dowód głębokiego poetycznego uczucia autora, ale niestety jest zarazem i dowodem braku jasnego pojęcia: jak dramatu w ogólności, tak w szczególności dramatu historycznego. Pretendent do tronu, rycerz bohatérski, porzuca wszystkie swe dążności, zmienia niejako całą swą naturę to dla szumu gajów, to dla sentymentalnej miłości. Rzucił rękawicę rycerską pod nogi potężnemu królowi, a teraz już po raz drugi odstępuje od dzieła bez poważnej przyczyny. Czyż Władysław mógł być do tego stopnia zaślepionym miłością, że nie wiedział jaki los go czeka gdy się powtórnie podda królowi? czyż sądził, że się będzie mógł poświęcić swęj miłości i owemu szczęściu człowieka, gdy się dostanie w ręce królewskie w skutek nieczynności? Według nas, miłość w charakterze takim jakim był Władysław, i jakim go przedstawia sam autor w prologu i akcie pierwszym, mogła mieć tylko za skutek rozbudzenie energii do nowych czynów, chęć osiągnięcia jak najwyższych celów. Przecież to ten sam Władysław mówił w prologu o swęj pierwszej miłości:

Gdybyś ty była żyła, Maryo! gdybyś była
 Uśmiechem dalej chrobre rozgrzewała serce,
 Nigdyby się skroń moja w proch nie poniżyła,
 Byłby dziś drżał przedemną król, kraj i oszczerce.

Czy powtórna miłość tegoż samego bohatera miała mieć zupełnie przeciwne skutki! W miejsce czynów rycerskich, zgnusniała, bezmyślną nieczynność! Przecież Władysław to nie Hamlet!

Ten sentymentalizm wcale nie bohatérski dochodzi do najwyższego szczytu w następnych scenach, szczególniej w rozmowach Władysława z Wiszotą i z samą Anną.

Do Wiszoty książę mówi między innymi:

Niech giną me czyny!
 Pamięć niech zginie mych zwycięstw na ziemi!
 Wielkim ten tylko, kto szczęsnym być umię.
 W inném miejscu mówi:
 Nic o wielkości i nic już o sławie!

A gdy Wiszota donosi księciu, że wojska królewskie przed Złotoryą nadcigają, aby ją oblegać, wtedy Władysław bez wielkiego namysłu, postanawia zrzec się wszelkiej obrony i walki.

Wszystko mi mówi (woła): wypadki swym biegiem,
 Serce me biciem, sumienie rozgrzane
 Tętnem miłości: rzuć bój Władysławie!

Stosownie do tego książe rozkazuje stanowczo, aby wywieszono na wieży białą chorągiew' na znak, że zamierza oddać zamek bez boju. Wszelkie perswazyje Wiszoty, mają tylko za skutek, że książe wyznaje Wiszocie, że kocha córkę puszkarza, i że dla swęj miłości, nie chce dalej prowadzić krwawego boju. Wiszota wypełnia rozkazy księcia, lecz zaprzysięga w swym duchu zemścić się krwawo na puszkarzu i jego córce za to, że swemi dumnymi zamysłami obałamucili Władysława. Ten zaś wypowiada główną myśl autora, sprowadzając w następnych słowach całą swoją wewnętrzną walkę do przeciwieństwa między *powinnością i miłością*.

Będę szczęśliwy, ach jestem szczęśliwy,
 Odkąd nie myślę o tronu podbojach,
 Lecz o podbiciu jedynego serca!
 Straszna ofiara: ja dla niej poświęcam
 Prawo, uczciwość, sumienie! kraj cały.
 W Piastów potomka wzrok wlepił i serce,
 Zdradzam ich wiarę, ja zdradzam ich wiarę!
 Straszna rozterka: *powinność i miłość!*

I tak z wyżyn historii zstąpiliśmy teraz zupełnie na pole zwyczajnego, obyczajowego dramatu. Powinność i miłość, oto oś, około której obecnie całe działanie się obraca. Ten temat codzienny usunął do reszty pierwiastek historycznego dramatyzmu z naszego utworu. W obec tęg rozterki, pozbawionej znaczenia prawdziwego, Władysław przestaje być charakterem historycznym, a staje się osobą zwyczajną, codzienną. Takim go tęg widzimy w rozmowie z Anną, gdy zapominając o nadciągającym nieprzyjacielu, swą miłość gorącą jęg wyznaje. Anna wprawdzie wierna swęj żyłce heroicznęj, którąśmy w akcji drugim poznali, nie chce, aby książe dla niej na wpół drogi stanął, nie chce, aby dał pierwszeństwo miłości przed *powinnością*; mówi mu nawet otwarcie:

Tylko nikczemny
 To co rozpoczął, nie kończy ze sławą.

i domaga się, aby nie ustąpił, aż na swęj głowie nie ujrzy korony.

Na twojęj skroni, o Panie—korona!
 Tyś mój Bóg, król mój, mój anioł i pan!

Ja cię nie będę miłością kobiety
 Płatać na drodze, gdzie czynów swych żniwo;
 Tobie korona, rycerskie podniety...
 Mnie... bądź ty wielki! ja będę szczęśliwą!

Wszystko to jednak nie było w stanie rozbudzić w Władysławie p. Kościelskiego krwi rycerskiej i zagrzać jęć do czynów. Nawet na heroizm Anny, która, jak widzimy, wyrzeka się miłości dla wielkości księcia, Władysław patrzy okiem najwyczejniejszego kochanka. Jedyną odpowiedzią na wysoki polot jęć ducha, są trywialne słowa księcia:

Ona mnie kocha! ach ona mnie kocha!

Pojmujemy dobrze i głęboko miłość, rozumiemy, że Władysław mógł pokochać Annę; ale nie pojmujemy, jakim sposobem książę krwi królewskiej, dążący do tronu, mógł wpadać w niewymowny zachwyt i sądzić, że dosięga szczytu szczęścia dlatego tylko, że go kocha Anusia, córka puszkarza!

Po rozmowie Władysława z Anną, następują trzy sceny (7, 8 i 9), w których jako główne postacie występują Wiszota, Hanko i Wszebój. Sceny te są dobrze udratyzowane, dialog płynie żwawo, myśli się iskrzą i grozą wybuchem w czynie; sama zaś rzecz niestety nie ma bezpośredniego związku z główną ideą utworu, z główną sprężyną całego naprężenia dramatycznego. Każda z wymienionych postaci działa na własną rękę, jest osobnikiem oderwanym od związku z całością.

Wiszota zaprzysiągł zemścić się na Hance i jego córce i stara się w tym celu zapewnić sobie współdziałanie Stefana i Przedpełki. Hanko też się szczęśliwie nasuwa. Mężni rycerze nacierają we trzech na niewinnego starca, zarzucając mu, że ich chce zdradzić i oddać w ręce królewskich. Hanko już się gotuje na śmierć, wołając:

Oto pierś moja, gdy krwi wam potrzeba
Złopcie: nasyćcie zwierzęce pragnienia!

Wtém zjawia się na szczęście Wszebój i staje w obronie ojca Anny. Wszebój podsłuchiwał był tajemnie rozmowę Władysława z Anną; wie zatem, że Hanko niewinny, a chcąc się zemścić na Władysławie, postanawia ocalić Hanke, żeby go użyć za narzędzie swęj zemsty. Wrywa tedy szczęśliwie starca ze szponów Wiszoty i bierze na stronę, aby wtajemniczyć go w swoje zamiary.

Tymczasem nadeszły wojska królewskie pod mury Złotoryi. W skutek wywieszenia białęj chorągwi, zjawiają się w zamku jako posłowie: książę Kazimierz szczeciński i Bartosz ze Sokołowa, domagając się od Wiszoty wydania kluczy zamkowych. Wiszota odmawia. Powstaje spór między nim i posłami. Wtém nadbiega Władysław. Czy odda królewski miecz, aby zostać szczęśliwym kochankiem? Bynajmniej, autor zgotował nam nową niespodziankę, a jego bohater obecnie już po raz czwarty zmienia swoje *stanowcze* postanowienia.

Stójcie! (woła Władysław) proponiec niech zwiną z nad bramy.

Bronić się będę do śmierci.

Książę Kazimierz ochładza niespodziewany zapał bohatera, zwracając uwagę na to, że teraz już zapóźno się bronić. Władysław na to odpowiada słowami zdradzającemi dziwną mieszaninę sentymentalnej dobroduszości i spóźnionego heroizmu.

Bracie szczeciński (mówi), w chwilowej rozterce
 Umysł mój chory odbieżał odwagi:
 Z zamku ustąpcie, ja bronić się będę.

Nie można się dziwić, że rycerz prawdziwy, jakim zdaje się być książę Kazimierz, na podobne postępowanie i podobne słowa niema innej odpowiedzi nad wzgardę. To też Kazimierz otwarcie wyznaje Władysławowi, że go ma za nędznika, który nie zna rycerskiej uczciwości, i że znieważa rycerskie prawa, bo mu wygodniej z mnisiami podstępami niżli z prawością rycerza. Cóż na to Władysław? Otóż jak zwykle zmienia swe postanowienie jako chwiejna trzcina. Już zamku bronić nie myśli, a natomiast proponuje *bratu* szczecińskiemu pojedynek na włócznie, mówiąc:

Słuchaj o *bracie*, jam *jeszcze (!)* rycerzem,
 Głos powinności znam *jeszcze (!)* i cenię,
 Jeszcze ja jestem rycerzem—niech zginę,
 Jeśli nie takim jak znałeś mię ongi.
 Głos twój mi wcześniej obudził sumienie,
 Ale z nim razem straszliwą rozterkę;
 Oddać ci zamek *powinność* mi każe,
 Każe *powinność* mych bronić przyjaciół:
 Chceźli, niech oręż rozstrzygnie zawikość.

I otóż już znowu nowa rozterka, nowa zawikość dramatyczna, zdaje się już czwarta w naszym dramacie. Ta nowa rozterka ma miejsce w samej idei powinności, jest rozterka między powinnością, poddania i powinnością bronięcia zamku. Zkąd ta nowa zawikość powstała, nie wiemy, bo nie wiemy dlaczego książę Biały odrazu znowu odstąpił od zamiaru poddania się królowi. Żeby Władysław p. Kościelskiego lepiej nie był tyle filozofował o powinności a natomiast działał jak mu natura nakazywała, toby nie potrzebował być wyszukiwać sztucznie tak subtelných rozterek. Brak jednolitości i konsekwencyi w przeprowadzeniu pierwiastkowego naprężenia dramatycznego, ciągła zmiana zasadniczej idei dramatu, nadwergęzenie historycznego charakteru jak w całości tak i w szczegółach, oto niedostatki rażące, które nam zaznaczyć należy w obec powyższego przebiegu działania. Na umowie pojedynku między Władysławem i księciem szczecińskim kończy się akt trzeci.

Akt czwarty przedstawia coraz to nowe rozterki i zawikości. Jesteśmy w obozie Sędziwoja pod Złotoryą. Dowiadujemy się że książę

że Szczeciński poległ pod murami zamku, w pojedynku z Władysławem. Z drugiej zaś strony słyszymy, że i Wszeboj odniósł cios śmiertelny z ręki Bartosza. Nadto spotykamy się zupełnie niespodziewanie z Anną i Martą, które w drodze do Gniezna schwytane zostały przez żołdactwo i dostawione do namiotu Sędziwoja. W jakim celu opuściły Złotoryę? Trudno byłoby się domyśleć, gdyby Anna sama nam nie powiedziała, że opuściła zamek na to tylko, aby miłość jej nie osiadała rdzą gnuśną na mieczu i sercu Władysława. Czyn to do pewnego stopnia heroiczny, ale motywa sztuczne i naciągane. Główne zaś sceny aktu czwartego wypełnione są rozmową Sędziwoja z Wszebojem. Ten ostatni chce się zemścić na Władysławie, zjawia się potajemnie w obozie Sędziwoja z propozycją wypuszczenia królewskich przez furtkę otoczoną do Złotoryi, według słów Wszeboja; Hanko przyrzekł być pomocnym w tej rzeczy: Sędziwój zaś okazuje się szlachetniejszym niż książę Władysław w akcie drugim, i zrazu nie chce skorzystać ze zdrady dla zajęcia zamku. Wtém jednak zjawia się goniec królewski, który donosi Sędziwojowi, że zostaje usunięty z godności wodza naczelnego i że na jego miejsce królowa naznaczyła jakiegoś Węgra. Ta okoliczność skłania Sędziwoja do przyjęcia propozycji Wszeboja w celu bezzwłocznego zajęcia zamku. Sędziwój już wydaje rozkazy w tym celu, lecz Anna wysłedziwszy Wszeboja, usłyszawszy o co rzecz idzie, występuje otwarcie przeciw zdrajcy i stara się sparaliżować jego zamiary, dowodząc Sędziwojowi, że Wszeboj jego samego zdradzi. Nim zaś ta scena rozwikłaną została, nadchodzi wiadomość, że książę Gniewkowski napada na obóz. W następnej chwili zjawia się sam Władysław i ocala niespodziewanie Annę z rąk Wszeboja, który ją do piekła wtrącić zamierza. Władysław zaś i Anna pomimo gwaru bitwy i szczyku oręża, jako wierni kochankowie, nie mają naturalnie nic pilniejszego do czynienia jak przycisnąć serce do serca. Akt kończy się objęciem kochanków i sentymentalnym wykrzykiem Anusi:

Luby! na wieki już twoja!

Cóż tu dodać do tej treści aktu? Oto powiemy tylko że cały ten akt składa się z samych niespodzianek! Niespodzianie spotykamy Annę i Martę w obozie nieprzyjacielskim, bo motywa ich ucieczki z zamku nie są dostatecznie wyjaśnione. Niespodzianie nadchodzi goniec królewski, bo o działaniu stronnictwa królewskiego po akcie pierwszym nieśmy już nie słyszeli, król Ludwik zginął ze sceny bezpowrotnie. Czyż na to tylko wystąpił w akcie pierwszym, aby zaraz po tém zejść na zawsze z widowni naszego dramatu? Królów, potężnych przedstawicieli przeciwnego bohaterowi działania, tak pobieżnie nigdy traktować nie należy. Ludwik niema żadnego znaczenia dla całego przebiegu działania dramatycznego. Więc po co wystąpił na scenie? Czy tylko dla efektu? Dalej pytamy: w jakim stosunku Sędziwój pozostaje do rządów królewskich? jakie powody mogły skłonić króla czy królowę do usunięcia tak wiernego i ważnego sprzymierzeńca? Jakie zamiary miał Sędziwój, przystawając na zdradzieckie zaję-

cie Złotoryi? czy chciał oddać zamek nowemu wodzowi Wegrowi, czy też zamierzał działać na własną rękę? i t. d. Oto pytania które się nam nasuwają na widok gońca królewskiego, pytania wielkiej wagi dla dramatu historycznego, w którym akt czwarty ma być dalszym ciągiem aktów poprzednich, szczególniej pierwszego. Kilka wiadomości rzuconych pobieżnie przez samego gońca, nie mogą służyć za dostateczne rozwiązanie wszystkich tych pytań.

Niespodziankę w tym akcie stanowi nawet zjawienie się Władysława w obozie Sędziwoja. Scena ta najprzód zbyt podobną jest do ostatniej sceny aktu drugiego, aby nas nie miała uderzyć powtórzeniem. Nadto nie możemy sobie wytłumaczyć powodu, dla którego Władysław napadł na obóz nieprzyjacielski. Według umowy z księciem Szczecińskim, pojedynek miał stanowić o posiadaniu zamku. Władysław zwyciężył, więc zamku nie wydaje: to w swoim porządku. Lecz z jakiego powodu bezpośrednio po tym pojedynku napada na Sędziwoja? Przed pojedynkiem zrzekł się nawet obrony zamku, a teraz znowu sam rozpoczyna działania zaczepne? Zkąd ta nowa zmiana? Czy znowu zamarzył o koronie? czy też szukał z mieczem w ręku swojej Anusi? Odpowiedzi nie mamy.

Wreszcie i Anna, najkonsekwentniejsza i najudatniejsza ze wszystkich postaci naszego dramatu, przedstawia się nam na końcu tego aktu zupełnie inną niż na początku. Opuściła zamek aby nie stać Władysławowi na zawadzie w osiągnięciu wielkości i chwały; dała sobie słowo, że się prędjéj nie uspokoi, aż nie ujrzy na jego głowie korony. Tymczasem jedno maluczkie zwycięstwo z jego strony wystarcza dla niej do powrócenia w jego objęcia i do oddania się mu na wieki! Czy sądziła, że po tém małym zwycięztwie, Władysław już będzie mógł odpocząć na swych laurach, że jéj miłość już na przyszłość nie będzie dla niego hamulcem, wstrzymującym polot jego wielkiej myśli? Jeżeli tak sądziła, to była bardzo łatwowierną.

Przechodząc do statniego aktu, do aktu rozwiązania, wyznać musimy, że takowy rozpoczyna się pod bardzo niefortunną gwiazdą. Ma on rozwikłać węzeł dramatyczny: lecz na czém takowy polega? Jesteśmy w kłopotcie co odpowiedzieć na to pytanie. Czego się spodziewa czytelnik po tym akcie? Czy może być mowa o jakimś naprężeniu dramatyczném, którego rozwiązania moglibyśmy wyglądać z niecierpliwością. Władysław pobił wojska królewskie. Anna powiedziała, że jest jego na wieki; zdrajca Wszebój wykryty przez Annę: czegoż więcj potrzeba. Otóż żeby nie skończyć na czterech aktach, autor wymyślił nowe naprężenia dramatyczne.

Akt 5-ty rozpoczyna się monologiem Hanki. Miał on zamiar wraz z Wszebojem zdradzić Władysława, gdyż Wszebój wmówił w niego że książę znajduje się w blizkich stosunkach z jego córką Anną. Uciezka Anny z zamku uspokoiła starego ojca, jako dowód że pozostała niewinną i że odbiegła od uścisków Władysława. Ale w tém

słyszysz dźwięk pieśni wojennej. Książę wraca do zamku ze zwyciężką i wycieczki. Hanko widzi na ramionach jego swoją córkę i woła:

Anna, na jego ramionach, o piekło!
On nie szedł chwały tam szukać, lecz swój,
Swojój... o Boże! nie daj mi wymówić!
Hanko! to córka twoja, córka mieszczańska
W księcia objęciach! o gadzie niewdzięczny!

na ten fakt dojrzała w sercu Hanka zamiar połączenia się z Wszebojem dla zdradzenia Władysława.

Następuje scena efektowa, w której Władysław stara się ocucić zemłą Annę. Ma on znowu na myśli tron, mówiąc do kochanki:

Tron, Anno, bez ciebie
Zda mi się trumną: tyś słońcem móm, życiem,
Chwałą mą, czynem i bóstwem, aniele!

Anna zaś mówi o matce zmarłej, która ją do siebie woła, chcąc oderwać od ciepłej piersi kochanka, mówi dalej o ojcu, który chce zdradzić księcia wraz z Wszebojem. Władysław znowu tego wszystkiego jakby nie słyszał, mówi:

Przy sercu móm nowe
Życie się pleni.

Tymczasem Wszebój i Hanko gotują się do strasznej zemsty. Już im nie dosyć oddać zamek w ręce królewskich, ale nadto postanawiają zabrać co żywo i pastwić się nad wrogiem. Zemsta rozpoczyna się rozmową Hanka ze swoją córką, w sposób wprawdzie bardzo dramatyczny, lecz nienaturalny i straszny. Hanko opowiada Annie o zamiarze zdradzenia Władysława i domaga się nawet jej udziału przez postawienie lampy w oknie na znak wojskom królewskim. Anna naturalnie odmawia. Wtém nadchodzi Wszebój z wiadomością, że Władysław wie już o zamierzonej zdradzie. Idzie tedy o jak najspieszniejsze dokonanie dzieła. W tym celu Hanko wybiega a Wszebój woła na Annę o lampę. Ta zaś rzuca ją o ziemię. Wszebój napada na nią, mówiąc:

Ha! podła jaszczurko,
Wtóry raz mnich twój nie wstrzyma mých ciosów.

Lecz myli się. Władysław się znowu zjawia na ratunek Anny. Wszebój naciera na księcia, Władysław zaś wytrąca mu miecz z ręki i każe wiązać zdraycę. Anna zaczyna błagać księcia aby oszczędzał jej ojca. Władysław na to odpiera:

Ojciec twój cały, a miłość jest moja
Jego strażnikiem.

Następnie daje rozkazy, z nieznaną nam dotąd energią mówiąc:

Dać hasło z nad baszty,
 Tak jako zdrajca ułożył z Szubińskim;
 Bronę wraz podnieść, a skoro rabusie
 Wciskać się chciwie weń poczną, wraz spuścić,
 Wszystkich przytłoczyć, a rąbać kto żywy.
 Wszebój zaś związany pośrodku dziedzica,
 Spalon na stosie, niech widzi swe dzieło!

Takim sposobem, sentymentalny filantrop i kochanek, co tak często unikał rozlewu krwi, i marzył o szczęściu swoim i ludu, stał się dorazu okrutnym barbarzyńcą, co rąbie i pali bez litości. Prawdziwy Władysław, jakim go przedstawia historia, mógł mieć podobną żyłkę, ale energia i stanowczość jego miały przynajmniej pewien cel; chciał on osiąść tron, zedrzyć z obcej głowy koronę i włożyć na swoją, a tego wszystkiego bez gwaktów trudno osiągnąć. Tymczasem Władysław pana Kościelskiego, daleko jest skromniejszym w swoich dążnościach, bo się zadawalnia miłością dziewczyny. Jego srogość nie ma tedy żadnego celu, nie wiąże się ani z jego charakterem, ani z jego dotychczasowem postępowaniem.

Po powyższym rozkazie Władysława, następuje krótka scena, w której Stefan i Przedpełko postanawiają, mimo woli księcia, stracić i samego Hankę jako współnika Wszeboja. Anna przeczuwa, że ojcu jej grozi niebezpieczeństwo. W krótkim monologu wypowiada z tego powodu swój niepokój, zarzucając sama sobie, że własnego ojca zdradziła. Myśl o miłości Władysława i jego przyrzeczeniu oszczędzenia ojca, uspakaja ją zupełnie, lecz tylko na krótką chwilę, gdyż zrazu wbiega Marta i donosi, że w podwórzu zamkowym na stosie w płomieniach, pali się ojciec jej Hanko. Przypisując ten czyn okropny Władysławowi, Anna woła:

Zdradził mię—ojca wbrew słowu danemu
 Zabił niewierny! więc on mię nie kocha...
 Nie kocha! strasznie! mój ojciec!

Teraz i Anna myśli tylko jakby się zemścić nad Władysławem. W tym celu stawia kaganiec na oknie, na znak, żeby Sędziwój według umowy z Wszebojem wszedł do zamku przez furtę nadbrzeżną; sama zaś wybiega na podwórze i rzuca się w płomienie, które pochłonęły jej ojca. Przybywa Władysław, Anna umierając rzuca na niego przekleństwo. Tymczasem nadchodzi Sędziwój; Władysław broni się, lecz Sędziwój wytrąca mu miecz z ręki i bierze do niewoli pretendenta, mówiąc:

Idź skonać w klasztorze!

Nie można zaprzeczyć, że cały ten akt pełnym jest dramatycznych efektów i zdoła wywołać głębokie wrażenie; ale pomimo to, stanowi znowu osobną całość, niepowiązaną należycie z poprzedniemi działaniami i sprzeczną w sobie. Władysław, jak widzieliśmy, przedstawia się nam w odmiennym zupełnie świetle niż w aktach poprzednich. Działanie zaś wszystkich pozostałych osób daje się sprowadzić do jednego słowa: *zdrada*. Wszębój zdradza, Hanko zdradza, Anna nawet zdradza, a Sędziwój zwycięża przy pomocy zdrady. Gdzież tu szukać rozwiązania węzła dramatycznego, w czym się objawia zasadnicza idea całego utworu? Za co pokutuje Władysław? Czy za to, że zdeptał śluby klasztorne a wziął do ręki miecz rycerski? pokochał kobietę? Czy też za to, że wystąpił buntowniczo przeciwko uswięconej władzy królewskiej Ludwika? Czy za to, że jako Piast nie wypełnił swych powinności względem swego ludu, lecz oddał pierwszeństwo błahéj miłości? Czy wreszcie za to, że dał się uwieść zbytnią srogością przy ukaraniu zdrajcy Wszeboja, rozpalając stos, na którym zasądziło szczęście samego Władysława? Nie możemy dać żadnej stanowczej odpowiedzi na wszystkie te pytania, a jednak każde z tych pytań jest wyrazem zupełnie różnej *idei*, innego pojęcia całego utworu.

Daléj, Sędziwój zwycięża; lecz w jakim charakterze zwycięża? Czy jako wierny wódz królewski, co w chwili następnej ustąpi miejsca Węgrowi, czy téż w charakterze samodzielnie działającego wodza? On skorzystał ze zdrady Wszeboja w jakichś myślach ubocznych, „aby Węgier nie szczył z narodem.“ Może wzięcie do niewoli Władysława zatrzyma Sędziwoja na miejscu naczelnego wodza, lecz czyż przeto w kraju lepiej będzie, niż w pierwszym akcie, w którym Władysław wystąpił w obronie zdeptanego ludu? Jedném słowem, trudno, bardzo trudno dopatrzeć się w całym utworze jednéj głównej idei. Autor sam nie zdał sobie jasnej sprawy ani z charakteru Władysława, ani z idei historycznej, która się wiąże z jego dążnościami. Ztąd niejasność i chwiejność całego dramatu, brak jednolitości w przebiegu działania dramatycznego, brak spójności między różnemi aktami; ztąd ów nieoznaczony charakter dzieła, trzymający środek między dramatem prawdziwie historycznym wyższego zakroju, a dramatem obyczajowym osnutym tylko na tle historyczném. Autor naciąga coraz to inne sprężyny; ażeby wywołać naprężenie dramatyczne, tam stronnictwa polityczne, tu powinność i miłość, tam chęć sławy i żądza czynów, tu bezmyślna nieczynność, tam zdrada i podstęp, tu nieporozumienia i oszczerstwa; ale wszystkie te sprężyny i koła ruchu dramatycznego nie równoważą się nawzajem, nie wiążą się należycie ze sobą, i dlatego nie posuwają dzieła naprzód do pewnego celu, lecz mają za skutek bieg zygzakowy, w prawo i w lewo, w górę i na dół, naprzód i nazad, jak czółno na falach bez steru i sternika. Sądźmy, że czytelnik najprzychylniejszy autorowi, zapoznawszy się dokładnie z treścią naszego dramatu, nie dojdzie do innego o nim przekonania.

Z tém wszystkiém jednak nie możemy zakończyć tego rozbioru bez wykazania dodatnich stron jeżeli nie samego utworu, to przynajmniej talentu naszego autora. Dla tego talentu, który się w całym dziele przebija, zadaliśmy sobie pracę tak szczegółowego rozbioru tego dramatu. Pan Kościelski ma widocznie wielkie zdolności poety dramatycznego. Jego dyalogi odznaczają się życiem i niezwykłą dramatycznością, z nich tryska na każdym kroku chęć czynu, działania. Nawet tam, gdzie dyalogi mają za treść myśli oderwane lub uczucia serdeczne, jak np. rozmowy mnichów w prologu, lub dyalogi Władysława z Anną, towarzyszy im pewna dramatyczność; tutaj widać że myśli mówiących płyną różnym zupełnie korytem, że się ze sobą ścierają, wzajemnie naprężają. Podobnie i dykcya naszego autora odznacza się zwykle pięknoscą, powagą, siłą i jędrnością. Czczych słów mało, wszystko zdradza myśl lub głębokie uczucie, lub wolę namiętną. Wreszcie i pierwiastek działania dramatycznego nie jest zaniedbanym, przybiera nawet wielką efektywność w akcie ostatnim naszego dramatu. Wszystko to są zalety nader ważne, które mogą rokować naszemu autorowi piękną przyszłość, gdy zdolności dramatyczne wesprze należytemi studjami, tak psychologicznych jak i technicznych stron dramatyizmu. Wady jakieśmy zmuszeni byli zaznaczyć w obecnym utworze p. Kościelskiego, są głównie wynikiem braku takiego studjum. Autor wziął się do stworzenia wzniosłego dramatu historycznego, i wznosił się w samej rzeczy na początku dosyć wysoko; lecz nie umiał zatrzymać siebie i czytelnika na tych wyżynach, właśnie dla braku należytej znajomości warunków dramatu historycznego, dla braku studjów psychologicznych w konsekwentnem przeprowadzeniu charakterów historycznych. Nie wątpimy, że uzupełniając te braki, pracując nad sobą i nad swym przedmiotem, autor zdoła z czasem wydać dzieła doskonalsze, czyniące bardziej zadość wymaganiom krytyki. Według nas, nie brak autorowi do tego zdolności, i nawet wyższego talentu.

Henryk Sruwe.

Pisma Kazimierza Brodzińskiego. Tom VII. Wydanie zupełnie poprawne i dopełnione z nieogłoszonych rękopismów, staraniem J. I. Kraszewskiego. Poznań, 1874 (w 8-cc, str. 308 i VII).

Kiedy w końcu roku 1871 J. I. Kraszewski ogłosił prospekt na wydanie wszystkich pism Kazimierza Brodzińskiego, całość objąć miała sześć tomów; ale gdy kończył się tom właśnie szósty w druku, spostrzegł że pozostałe rękopisma potrzebują ram obszerniejszych. I oto mamy tom siódmy, którego większą połowę (od str. 1—229) stanowią *synonimy polskie*.

Z jednej strony przysłowia narodowe stanowią wielki skarbiec ojczyzniego języka, w którym lud oprócz wspomnień historycznych, złożył naukę wielu wieków i doświadczenia w jedrnych a węzłowatych wyrażeniach, odbijających jako w zwierciadle zarówno charakter rodowy, jak myśl, która ożywiała dawną społeczność. W nichto głębszy myśliciel znajduje obfity materiał do filozofii narodowej, a brak nam tylko zgromadzenia i spisania w wielką księgę, zabytków tak drogowych, nad którymi setki lat pracowały i tą duchową strawą, jako chlebem Bożym, zasilały ciągle młode pokolenia w żywym słowie sędziwych ojców i matek.

Z drugiej strony *synonimy* wykazują całe bogactwo języka, w gronie zasobu wyrazów prawie jednoznacznych, które przy bliższym i rozważniejszym rozpatrzeniu, okazują nie małą różnicę. Pierwsi ich twórcy przekazali je we właściwym znaczeniu, następcy poszli za ich przykładem; język bez pisma i gramatyk kształcił się sam powszechnym użyciem, bogacił nowymi nabytkami, które potrzeby społeczne wywołały. I znajdujemy już w XVI stuleciu kiedy rozwinęła się literatura polska we wszystkich kierunkach wiedzy, że język ten wystarczył każdemu zarówno moralistcie, jak historykowi i poecie. Imiona Reja z Nagłowic, Jana Kochanowskiego, Marcina Bielskiego, Żukasza Górnickiego, Cypryana Bazylika, jak i Piotra Skargi, stoją tu jako świeczniki.

Jeżeli Jan Kochanowski był prawodawcą ówczesnej pisowni polskiej, którą przez następne wieki szanowano: żaden z pomienionych pisarzy, korzystając z bogactwa języka, nie zastanawiał się nad synonimami. Pierwszy ślad ich dopiero znajdujemy w kazaniu ks. Rozwadowskiego (*Rozwód żaloszny*, 1632 r.), mimochodem rzucony.

„Kiedy kto idzie w drogę z Krakowa do Wilna i brata swego, który w Prusiech mieszka na onęj drodze, o nim nie myśląc, ani onego widzieć się spodziewając, z przygody *najdzie*: a kiedy umyślnie zgubionego klejnotu szukamy i dostajemy, tedy mówimy, żeśmy *wynaleźli*.”

Było to przez kaznodzieję potrącenie myśli przypadkowe: w następnych latach, nikt jej nie podniósł. Dopiero na początku naszego stulecia w *Pamiętniku Warszawskim* Franciszka Dmochowskiego tłumacza *Iliady* i Ludwika Osieńskiego, znajdujemy żywsze krzątanie się około synonimów polskich. Wreszcie Towarzystwo Warszawskie Przyjaciół nauk, któremu wiele pięknych prac, jak i pomysłów dla wzbogacenia literatury krajowej zawdzięczamy, po zredagowaniu obszernego programu do napisania „Historji polskiej“, w którym znać biegłego badacza dziejów (drukowany w *Pamiętniku* L. Osieńskiego, za czasów Księstwa Warszawskiego), uznało potrzebę wydania synonimów polskich i poleciło napisanie programu do konkursu prof. Bentkowskiemu. Niewiadomo z jakich powodów później inny program chciano mieć od K. Brodzińskiego, który go przedstawił spełniając dane sobie polecenie.

„Towarzystwo (pisze w nim) zwróciło uwagę na brak w polskim języku dokładnej synonimiki. Każdy język może jedno pojęcie różne-

mi wyrazami oznaczać, lecz w miarę ukształcenia się, wyrazy jednoznaczne, albo w mowie piśmienną nikną, albo logika, smak i uczucie, nadają im delikatne odcienia, tak, iż każdy wyraz przybiera swoje oddzielne znaczenie. Tym sposobem powstały słowniki synonimowe, a mianowicie w Niemczech Eberharda i Massa, we Francyi Girarda, Beauza, Rouband'a i w. i., które Guizot w jedno zebrał i na zasadach Eberharda udoskonalił.

„Język polski sam z siebie bogaty i przez nauki znacznie ukształcony w dziełach rozumu, czucia i smaku, ma już po większej części oznaczone obręby blisko-znacznych wyrazów, lecz dotąd słownikiem synonimicznym poszczycić się nie może. Towarzystwo widząc potrzebę takiego dzieła i możność wykonania onego w obecnym stanie języka, zaprasza osoby mogące tę przystępną narodowi uczynić do napisania: *Dykcjonarza Synonimów języka polskiego.*

„Jeżeli dzieło to, jako pierwsze w języku ojczystym nie zdoła dokładności Eberharda osiągnąć, obejmować przynajmniej powinno ogół wyrazów blisko-znacznych, z oznaczeniem ich podobieństwa i różnicy, nie tylko według zwyczaju powszechnego i znakomitych pisarzy, lecz ile możności według etymologii polskiej lub słowiańskich języków; szczególnież zaś, aby wykład synonimów nie był robiony według cudzoziemskich i do nich naciągany, lecz żeby się zasadzał na duchu i własności języka polskiego.“

Owóż cały program Brodzińskiego. Przy końcu znajdujemy *honorarium* oznaczone:

„Za dzieło za najlepsze uznane przeznaczona się medal złoty wartości *złotych polskich sto*, które prezes Towarzystwa na ten cel ofiarował. Nadto Towarzystwo zostawia autorowi własność rękopismu i drukowanie onego na swoją korzyść. Gdyby zaś autor zyczył sobie rękopism Towarzystwu na własność oddać, natenczas wydaje Towarzystwo swoim kosztem i autorowi 200 egzemplarzy złoży.“

Brodziński zabrał się szczerze do tej mozolnej pracy, a potrzebującej nie tylko rozległej znajomości dawniej literatury i języka, ale i oddzielnego poczucia, w zrozumieniu i pojęciach cieniowania się wyrazów, dla tym właściwszego oddania rzeczy. Owoc wieloletnich trudów *Śpiewaka Wiesława*, mamy teraz przed oczyma. Pragnęlibyśmy zwrócić uwagę naszych badaczy nad językiem polskim na tę pracę Brodzińskiego i w tym celu o tym jedynie tomie szerzej wspominać. Gdy wydawnictwo całe ukończonem zostanie i zamknięte w VIII tomach, we właściwym dziale podamy studia nad stanowiskiem zgasłego poety i estetyka. Dwom mężom zawdzięczamy uratowanie drogich pism Brodzińskiego: w ostatnich latach swego życia, sędziwy Fr. S. Dmochowski pierwszą myśl tego podjął, z zapałem młodzieńczym i niezwykłą energią dokonał, odszukawszy rękopisma uważane jako zatracone w łódzkiej bibliotece i przesał J. I. Kraszewskiemu. Ten wszelako mniej miał trudu w przygotowywaniu ich do druku, w tym

porządku i tak starannie, jak to widzimy w niniejszem wydawnictwie. Jestto obu rzeczeczywiście nie mała zasługa literacka i obywatelska.

Myśl zacna Towarzystwa Przyjaciół nauk nie przebrzmiała daremnie ani usiłowania Brodzińskiego, otrzymujemy bowiem pewną wiadomość, że dostojny ksiądz biskup A. S. Krasieński, tak chlubnie znany już w literaturze naszej, autor *Prawa kanonicznego, Słowa o pułku Igora*, i w. i. opracował i wykończył do druku: *Synonimologię polską*, którą oparł na ogromie cytat tak starożytnych jak i dzisiejszych autorów naszych. Tom świeżo wydany Brodzińskiego, może nie mało przyłożyć się do wzbogacenia tak pożądaney pracy dla literatury polskiej.

W.

Lud. Jego zwyczaje, sposób życia, mowa, podania, przysłowia, obrzędy, gusła, zabawy, pieśni, muzyka i tańce przedstawił Oskar Kolberg. Krakowskie. część III, (Kraków, w drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego 1874 r. w 8-ce str. 350).

W zeszycie na miesiąc kwiecień Biblioteki Warszawskiej r. b. złożyliśmy sprawozdanie o wydanym tomie drugim opisu etnograficznego, w którym nasz niez mordowany badacz wziął pod uwagę Krakowskie. Obecnie mamy część trzecią, która całość stanowi w sobie.

Po przedstawieniu w pieśniach i tańcach usposobienia krakowskiego ludu, tu autor wkracza w dziedzinę jego ducha, a w szczególności, dotykając jego wyobraźni, wykazuje zarazem gusła, zabobony i przesady. Na czele stawia nam *świat nadzmysłowy*: wyobrażenia o początku świata, o ziemi, niebie, piekle, wspominki z historii świętej i t. p. Godném tu jest uwagi, jak lud po swojemu przerabia Pismo Święte i jego podania; pojęcia o słońcu, księżycu, gwiazdach, obłokach, jak i fantastyczne postacie, którym przewodzą *dyabeł i upiór*.

Obszerny ustęp stanowią zebrane ciekawe szczegóły o czarach, wróżbach, gusłach, przepowiedniach; niemniejszy o zwierzętach, ptakach, gadach i owadach, które w świecie ludowym tak przeważną grają rolę, jako też o *roślinach*, mających mieć własności lecznicze i czarodziejskie. Dział *przesady*, obejmuje wszystkie niemal, które stanowią najgłówniejszą część życia wieśniaka, podług których zastosowywa gospodarstwo domowe i rolne, oraz ratunek w chorobach rodziny swojej. Obszerne *przypisy* (od str. 188 do 352) uzupełniają pracowicie zgromadzone wiadomości i podają w streszczeniu dwa w przeszłych wiekach sławne dzieła, a mające ściśłą łączność z przesadami, o których autor w tym tomie mówi. Pierwszem jest *Młot na czarownice*, wydane w Krakowie 1614 r. Tłumaczem z łaciny jest Stanisław Zabkiewicz sekretarz księcia Ostrogińskiego, ale w tym

przekładzie pomieścił własne *dodatki*, malujące charakterystycznie społeczność polską tego okresu, na co nasz badacz nie zwrócił swojej uwagi. Drugim dziełem jest: „*Dyabeł w swojej postaci*” ks. Jana Bohomolca dwa tomy wydane w Warszawie 1777 r. Druga część ma najwięcej styczności z pracą O. Kolberga, albowiem opowiada nam w niej świątły kapłan zdarzenia, na jakie sam patrzył, lub miał z najwiarogodniejszych źródeł, szczególnież też wielce zajmujące sceny z upiorami. Wdzięczni jesteśmy autorowi, że w *przedmowie* gruntownie ocenia dzieło Ryszarda Berwińskiego: „*Studia o literaturze ludowej*”, w którym lekkomyślnie i bez krytyki, odmawiając wszelkiej samodzielności naszemu ludowi, wszystko przypisuje naleciałkom z obczyzny, coby się jedynie dało zastosować do najwyższej warstwy społeczności naszej. Zaraz po wyjściu tych studyów w Bibliotece Warszawskiej zdaliśmy obszernie o nich sprawozdanie, przedstawiając całą nieznaną ludu i dorywczosć zdań zarozumiale wypowiedzianych. „Sąd tak bezwzględnie przez R. Berwińskiego postawiony, mówi dobrze O. Kolberg, ostać się długo, jako pewnik, nie mógł. Zaprzeczając bowiem umysłowi naszego ludu twórczości i na bierne, naśladowcze jedynie skazując go ducha stanowisko, ubliżałby on naturze ludzkiej w ogóle, która jakkolwiek uległa być może prądom wypadków, czy to gwałtownie, czy mniej nagle z zewnątrz na nią napływających, nie zrywa przecież odrazu wszystkich ogniwi, wiążących ją z przeszłością, nie wyrzeka się jój bezwarunkowo, chociaż nie zawsze czuje wagę i pojmuje znaczenie przechowanych w swém łonie tradycy. Jak tedy z jednej strony skutkiem nowszych coraz wypadków i wyobrażeń, mógł on w pewnych kraju miejscach, nie jedno zapomnieć, uronić, to z drugiej zapamiętał także i zachował nie małą zabytków podobnych ilość (acz je często zwichnął), tam zwłaszcza, gdzie wpływy wyżej wskazane działały słać. Jeżeli i u innych narodów, nad którymi niemniejsze, jak nad naszym huczały dziejów nawałnice, są mnogie tego rodzaju zabytki, to nie widzę przyczyny, dlaczegoby znaleźć ich nie było można i wśród naszego ludu umysłowo i pamięciowo nieupośledzonego.”

Tom ten, jak i poprzedni, wydany z pomocą funduszu księcia Jerzego Romana Lubomirskiego, pod zarządem Akademii Umiejętności w Krakowie, zamyka jedną z najobszerniejszych monografij nie tylko w wydanych materiałach etnograficznych O. Kolberga, ale i w literaturze naszej.

K. Wł. W.

A'bum F. Kostrzewskiego, wykonane w zakładzie artystyczno-litograficznym B. Sławoszewskiego. (folio kart 24) r. 1874.

Z pojawieniem się pierwszych druków polskich na początkach XVI-go stulecia, pokazują się *karykatury* w drzeworytach, odpowiednie do treści wydawanych broszur; wszakże w nich nie szukajmy ani rysunków, ani jakiegokolwiek wartości artystycznej. Jeżeli mieliśmy malarzy, którzy umiejętnie władali pędzlem, nie było społecznej potrzeby do chwytania ołówkiem humorystycznych postaci, ani też zdolnych potemu wykonawców. Humor i dowcip skryształizował się w żywym słowie tak prozą jak wierszem, i po za te granice nie przedarł się wcale. W przeszłym dopiero stuleciu *Aleksander Orłowski*, który stworzył nam karykaturę polską, i zachwycał swemi rysunkami Warszawę jako stolęcę Księstwa Warszawskiego, najwięcej brał wątku, podobnie jak *Charlet* do typów wojskowych, i łatwo to objaśnimy sobie, gdy przypomnimy że Orłowski mieszkał w pałacu *pod Blachą* w Warszawie u księcia Józefa Poniatowskiego, ciągnął miał styczność z wojskowemi, i wdrożył się wybornie w świat żołnierski. Nie pomijał też brać postaci i z innych sfer społeczności polskiej. Widzieliśmy akwarellę wyborną, przedstawiającą grono kontuszowców podochoconych, jak idą niepewnym krokiem ulicą Warszawy z pełnemi puhanami. Jedni krzeszą ognia dobytymi szablami z bruku miejskiego, drudzy piją, inni śpiewają hulaczą piosenkę, za wtorem dziarskiego *teorbanisty*, który zawinawszy długi *seledee*, gra na teorbanie i przyśpiewuje, skacząc przytém *kozuka* w przysiadach. Większych rozmiarów była także akwarella tego artysty, którą słynny Taillerand zakupił. Przedstawiała wewnątrz kościółka ujazdowskiego, (na którego miejscu stoi dzisiaj Pałac Belwederski) w czasie odpustu. Orłowski w tej kompozycji rozwinął prawdziwy humor i dowcip: czyto w postaci księdza wrzaskliwym głosem mówiącego z ambony, czy w przedstawieniu zgromadzonego ludu, który w postaciach i ubiorze nietylko różnicę wydatną stanów ale i dwóch różnych pokoleń, podawał. Pomieszane ubiory kontuszowców i dworskie francuzkiego kroju, czupryny po szwedzku strzyżone z zawiesistym wąsem, i peruki pudrowane, a obok tego chłopci i wieśniaczki z poblizkich okolic, urozmaicały artystycznie cały ten obraz. Kiedy się z Warszawy Orłowski przeniósł do Petersburga, tu chwycił wybornie charakterystyczne typy Czerkiesów, Baszkirów, Kałmuków, służących w wojsku rossyjskiem, jako też i wskawionych Kozaków z kampanii 1812 roku. Lubo artysta ten mniej był karykaturzystą, w ścisłym tego słowa znaczeniu, a więcej rysownikiem typów charakterystycznych, pomimo to tyle rozlewał on w postacię przedstawiane humoru, że śmiało go postawić należy na czele polskich ołówkowych humorystów.

Od roku 1818 zyskał sobie rozgłos *I. Sokolowski*, którego rysunki zdobią dzieło *Pustelnika z Krakowskiego Przedmieścia*, i *Tygodnik polski i zagraniczny* Brunona hr. Kicińskiego. W pierwszym odzworował nam postacie znane z ulicznego handlu, obnoszących garunki i rynki, cebule, płótna i kołdry, orzechy włoskie i t. p.: w drugim artystów naszych dramatycznych, w rolach zarówno poważnych jak i komicznych.

W długie lata po Sokolowskim pojawił się już w ostatnim okresie *Wincenty Smokowski*, dzielny rysownik, który śmiałością otówka przypominał żywo Orłowskiego. Jego polonusy, żydzi i figury ludowe, są wybornie z życia pochwycone.

Piawski, wydawca *Kramu warszawskiego*, znakomite zajmuje miejsce obok Orłowskiego. i jak on jest więcej charakterystycznym rysownikiem. Dopiero prawdziwy humorysta otówkowy pojawił się we *Franciszku Kostrzewskim*. Talent ukazał najprzód w *Wolnych żartach*, następnie w *Tygodniku Ilustrowanym* i *Kłosach*, a obecnie zasila wszystkie większe i mniejsze ilustracje.

Kazimierz Chęłdowski jeden ze zdolniejszych młodych pisarzy, w zajmującej rozprawie: „*O Karykaturze* (Przewodnik Naukowy i Literacki. Zeszyt IV, 1874 r. Lwów) w zamknięciu takowej, wspomniawszy o Orłowskim, o ostatnim artyście naszym, którego słusznie uważa za humorystyczną podporę pism ilustrowanych warszawskich pisze:

„Kostrzewski rysuje bardzo dużo, więc nie dziw, że wielu z tych rysunków zbywa na prawdziwej werwie: gdyby jednak zrobić wybór z jego rysunków, tobyśmy znaleźli tam rzeczy prawdziwie cenne i z wielkim oddane humorem. Jego typy ludowe, typy uliczne warszawskie, noszą cechę prawdy i często wybornie są obmyślane.“

Spełnił to życzenie po części nasz artysta, z tą różnicą, że nie powtórzył w świeżo wydaném *Albumie* dawniejszych swoich postaci, ale podaje nam nowe typy charakterystyczne.

Na czele stawia nam chłopka Mazura wychodzącego z domu, wiadać w dalszą podróż, w baranięj czapce, ciepłym kożuchu z palicą w rękę i fajką zapaloną, z tém pełném chłopskiego filozofa zdaniem: *Zawdy ciek wie, jak wychodzi z domu, ino jak niby będzie wracał, to tego ni jak nie wie*; bo widać znał słabość swoją do kwaterki i pociąg do karczem przydrożnych. Następnie widzimy młodą i piękną wieśniaczkę, smutnie stojącą z załamanemi rękoma nad zdechłym prosiakiem, który miał dać sutą okrasę przez całą zimę. „*Oj paskudny miesiąc na mnie się zwałił, (mówi ze łzami), bom dopiero co owdowiała, dzieciśka niedomagają i mój kochany prosiacek padł: o mój Boże!*“

Wyborne są obiedwie postacie ze świata wioskowego, zarówno jak i *ekonom*, który na zapytanie pani jadącej karetą i dopytującej się o drogę, z gniewem się odwróciwszy mówi: *Patrzcie ją! „Jak się ta wieś nazywa mój poczciwy człowieku“.* *Ja nie żaden poczciwy człowiek, tylko ekonom.*

W ogóle naszemu humorystcie najlepiej się udają postacie ludowe, zarówno wiejskie jak miejskie; na dwadzieścia cztery rysunków w tém

Albumie, te głównie wydatnieją. Góral, stróż kamieniczny, piaskarz, do nich się liczą. Z wyższej sfery najdowcipniejszy jest rysunek przedstawiający szczęśliwych rodziców.

Matka siedzi w fotelu, a ojciec z podniesionymi okularami, z obliczem uśmiechniętym, ale wymownie bezmyślnym, czytając list w te się do swęj małżonki odzywa słowa: „Patrz i słuchaj asydzko, jak to nasz Feluś z Paryża pisze: „Drogi ojcze, wybacz że do ciebie piszę w negliżu, ale tak gorąco!... Jakto zaraz widać grzeczność paryżką.“

Pod względem wydawnictwa rysunki te są starannie wykonane przez artystę, a odbicie czyste i troskliwe, dobrze poleca nowy zakład litograficzny p. B. Sławoszewskiego. R.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej.

Szanowny recenzent dzieła *Wiadomości Archeologiczne*, obok pochlebnych słów o pomieszczonej w niem między innymi mojęj pracy, zrobił mi zarzut, iż niesłusznie zużycie ułamku znalezionej na *stacyi krzemiennej* toporka przypisuję zeszkrobaniu takowego na leki starożytnych mieszkańców z czasów użytku krzemienia. (Bibl. War. t. II str. 509 z r. b.). Ponieważ powodem zarzutu stała się tylko pewna niejasność mego wyrażenia, a nie różnica naszych przekonań; winienem przeto rzecz sprostować. O owym toporku tyle napisałem, mając na myśli zabobony ostatnich wieków i dzisiejsze, a nie czasy przedhistoryczne. „Zupełne zużycie wszystkich boków tego szczątku przez tarcie, a z drugiejęj strony powszechna wiara ludu naszego w lekarskie własności tak narzędzi kamiennych, jak strzałek pirunowych (belemnitów) i rogów jelenich, skrobanych od wieków na leki, tłumaczy w części rzadkość tych młotków w niektórych okolicach: (lud wielkopolski ma oddzielne wyrażenie *utrząd choremu kamyczka*).” Mówiąc o ludzie „naszym” lub „wielkopolskim,” t. j. współczesnym i o dzisiejszych jego zabobonach, znalazłszy także toporek koło jego mieszkań, nie mogłem tu myśleć o czasach przedhistorycznych użytku narzędzi krzemiennych. Wyrażenie „od wieków” ma tu znaczyć tylko, że przesąd nie jest płodem ostatniejęj chwili, tak jak owe zabobony, o których szanowny recenzent wspomina, że były „używane *niegdys* w zachodniejęj Europie.” Wszystkie bowiem te przesady znane są *od wieków*, na co się obadwa zgadzamy, będąc zarazem najmocniejęj przekonani, że o środkach lekarskich mieszkańców Litwy z czasów użytku krzemienia nic nie wiemy: i do żadnych pewników nigdy nie dojdziemy. Wina moja, że nie przypuszczając mniemania, o które zostałem posądzony, nie obwarowałem zdania mego jasnymi słowami.

Jeżewo, dnia 22 czerwca 1874 r.

Zygmunt Gloger.

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

WARSZAWA.

— *Warszawa, czerwiec 1874.* Z drukarni A. Pajewskiego wyszedł: *Warszawski Rocznik literacki poświęcony literaturze, bibliografii, oświacie i księgarstwu.* Rok trzeci 1873 r. Redaktor Stanisław Czarnowski magister prawa i administracyi (w 8-ce, str. 159 i 20). Jestto wydawnictwo pożyteczne, streszczające ruch umysłowy z całego roku 1873.

— Szósty miesiąc się zaczyna od otwarcia *Zakładu rękodzielniczego dla kobiet w Warszawie.* Zakład ten zatwierdzony przez władzę jako szkoła rzemiosł, potrafił zgromadzić 109 kobiet tak miejscowych, jak i z różnych stron, z Ukrainy, Wołynia, Podola i Litwy. Ogłoszone drukiem sprawozdanie przez zarząd, wykazuje jakie przedmioty i nauki są już rozwijane w oddzielnych działach zakładu. Widzimy że obok wykładu buchalteryi, są: rękawicznictwo, nauka kroju i szycia sukien, introligatorstwo, nauka robienia sztucznych kwiatów. Jak się rozwinię pomieniony zakład i z jaką korzyścią dla społeczności, czas dopiéro dłuższy wykazać jest w stanie: początki dobrą są wróżbą.

— D-r Syrski, Polak rodem, obecnie dyrektor muzeum miejskiego w Tryeście, będzie jednym z nauczycieli arcy-księcia Rudolfa następcy tronu austriackiego. Ma mu wykładać zoologią.

— W Krakowie wyszła monografia p. n. *Zegiestów w Galicyi.* Zarys balneologiczny, napisał D-r Bolesław Lutostański redaktor „Zdrowowiska”. W drukarni Leona Paszkowskiego 1874 r. w 8-ce str. 42. Wydanie staranne, illustrowane.

— Wyszła z pod prassy rozprawka p. n. *Společne znaczenie poezyi i współczesne jej stanowisko,* w krótkim rysie skreślił Antoni Pilecki (w 12-ce, str. 48). W ustępie (od str. 18 do 21) co mówi autor o literaturze polskiej a głównie poetach, zaczawszy od Reja z Nagłowic, pokazuje zupełną nieznamość przedmiotu.

— Znany z prac archeologicznych Zygmunt Gloger poczynił w tych dniach dosyć odkryć dawnych siedlisk ludzkich z czasów użytku krzemienia w Łomżyńskiem i Tykocińskiem koło wiosek: Zambrzyce,

Zalesie Stare, Kobylino i Kruszewo. Odkryte narzędzia są przedziwniej roboty, szczególniej bełty strzał piękniejsze od duńskich i w ogóle zagranicznych. Archeolog nasz przyszedł do przekonania, że w owych czasach, które mniej więcej mogły być współczesne państwu rzymskiemu, kraj nasz miał już prawie wszędzie mieszkańców i przecięciowo na pięć siół dzisiejszych niezawodnie istniała jedna wówczas osada. Siedlisko jej znajdowało się zawsze na pagórku piaszczystym.

— Otrzymaliśmy pismo: *Krynica, dwutygodnik poświęcony ojczystym zakładom zdrojowo-kąpielowym*, pod główną redakcją D-ra Michała Zieleniewskiego. W trzecim numerze z dnia 15 czerwca r. b. znajdujemy, oprócz rozpraw poświęconych właściwemu przedmiotowi, *Listę gości* przybyłych do Krynicy już od 9 maja r. b., kiedy opłata mieszkań o trzecią część jest niższą od ceny taryfowej. Wydawnictwo to, wielce pożądane dla szukających pomocy w zdrojowiskach krajowych, zawdzięczamy niezmordowanym zabiegom D-ra Zieleniewskiego, który od wielu lat jest w Krynicy naczelnym lekarzem i głównie się przyłożył do szerokiego rozgłosu tej miejscowości. Pragnąc należy ażeby dwutygodnik ten mógł objąć wiadomości potrzebne i z innych krajowych zdrojowisk: że myśl tę podziela redakcyja widziwny w jej odezwie, ażeby *Listę gości* zarządy innych zdrojowisk nadsyłać zechciały.

— Archeolog i numizmatyk Karol Beyer z Warszawy, któremu zawdzięczamy przepyszne albumy z wystaw starożytności w Warszawie i Krakowie, ofiarował gabinetowi archeologicznemu wszechnicy jagiellońskiej, naturalnych rozmiarów kopią słynnych spiżowych podwoi katedry gnieźnieńskiej z wyobrażoną na nich w wypukłej rzeźbie historyą męczeństwa Ś-go Wojciecha, która to kopia wykonana jest z masy papierowej. Pan Beyer ofiarował był poprzednio takąż kopią drzwi do muzeum starożytności w Wilnie, a niedawno znowu Zakładowi Ossolińskich; ale odlew, który świeżo wzbogacił zbiór uniwersytecki, jest nierównie od tamtych cenniejszy. Doszły zbioru tego także fotografie różnych zabytków katedry gnieźnieńskiej, oraz przerysy starożytnych, cudownych obrazów N. M. Panny, przygotowane do dzieł, których wykonanie zapowiedział ksiądz J. Polkowski.

— Drukowany przed dwoma laty nakładem J. K. Żupańskiego dramat w pięciu aktach przez Ludwika Orpiszewskiego p. n. *Mikołaj Zebrzydowski*, ukazał się na pułkach księgarskich. O tym utworze we właściwym dziale złożymy obszerniejsze sprawozdanie.

— W ostatnich dniach maja r. b. przy niwelacyi ulicy w pobliżu Złotej bramy w Kijowie, odkopano dwie murowane ściany i kamienną płytę z napisem, który dobrze się dotąd przechował, na brzegach tylko wyrazy zostały uszkodzone. Znaleziono przytém kilka sztuk monety polskiej i rosyjskiej z XVII wieku.

— *O literaturze pobratymczych narodów słowiańskich. Odczyty publiczne w muzeum Techniczno-Przemysłowém w Krakowie A. H. Kirkora.* (Kraków 1874 r. w 8-ce str. 356). Jest to wykład popularny, ułożony dla szerszego koła publiczności, przedmiotu zupełnie

niewyczerpujący, ale zaznajamia z nim więcej tych, dla których rzecz sama była zupełnie obcą. Najwięcej miejsca w tej książce zajmuje literatura rosyjska, którą sam autor zbadał gruntowniej. Charakterystyczne anegdoty, opowiedziane z wielkim humorem, przyczyniają się do ożywienia wykładu. Najdowcipniejsze odnoszą się do Bułharyna, znanego powieściopisarza, którego *Wyżygina i Mazepę* znamy z tłumaczenia. Był on rodem z Litwy i za Napoleona I-go oficerem.

— *Zacni Ludzie. Książka do czytania dla młodzieży, ułożył Juliusz Starkeł.* We Lwowie 1874 r. (w 16-ce str. 470). Zawiera w sobie charakterystyczne ustępy z historii polskiej, najważniejsze wiadomości z geografii, astronomii, fizyki, w szerszych rozmiarach traktat z ekonomii politycznej, mianowicie o stowarzyszeniach zaliczkowych i konsumcyjnych, o ogrodnictwie, stolarstwie, leśnictwie, mineralogii i zoologii, w końcu o kupiectwie, książkach rachunkowych i higienie. Podane to jest wszystko jasno i przystępnie, stylem poprawnym i gładkim, ożywione duchem zacnym, przez co praca ta policzoną być może do najlepszych w dziale literatury ludowej.

— *Życiorys Rajmunda Rembielińskiego* przez S. W. Poznań 1873 r. (str. 96). Wydatna to była postać za czasów Księstwa Warszawskiego, jako zajmująca wysokie stanowisko w hierarchii urzędników administracyjnych. Prefekt departamentu płockiego, niezwykłą energią wprowadzał w wykonanie swobodę osobistą włościan, zapewnioną im przez nową ustawę z 1807 r. Życiorys ten ma niemałe zalety i dla badacza okresu pomienionego drogocennym jest materiałem.

— *Wzory prozy wedle rodzajów i kształtów chronologicznych z literatury zebrane przez prof. Jana Rymarkiewicza.* Poznań. Nakładem J. K. Żupańskiego 1874 r. (w 8-ce str. 562). Jest to wydanie już drugie tego użytecznego podręcznika dla szkół średnich. Do tego dołączony jest: *Dodatek*, obejmujący: „Historią poezyi w okazach” (str. 191).

— *Wspomnienia z przeszłości* Stanisława hr. Wodzickiego od r. 1768 do 1840, Kraków 1874 r. jako pamiętnik, niemałą mogą być pomocą dla badacza okresu, obejmującego lat 72 okrągło. Najbogatsze są tu zasoby do panowania Stanisława Augusta.

— Na posiedzeniu komisji archeologicznej *Akademii Umiejętności w Krakowie* z dnia 9 czerwca r. b. zajmowano się czytaniem obszernej pracy J. I. Kraszewskiego, obejmującej program encyklopedyi starożytności polskich. Do bliższego roztrząśnienia tego projektu i poczynienia odpowiednich wniosków, wyznaczono delegacją. Następnie poruszono sprawę dalszych badań zwalisk na wyspie jeziora Łednicy pod

Gniezmem. Wreszcie postanowiono upoważnić p. J. I. Kraszewskiego do reprezentowania akademii na kongresie antropologiczno-archeologicznym w Sztokholmie w sierpniu r. b.

— Ogłoszone zostały *! Warunki konkursu dramatycznego krakowskiego na rok 1874/75*: 1) Pierwszą nagrodę w kwocie 550 fl. otrzyma sztuka, dramat, tragedia lub komedia, zapełniająca cały wieczór, najmniej w trzech aktach. 2) Drugą nagrodę w kwocie 300 fl. otrzyma sztuka najmniej w dwóch aktach. 3) Pozostałe 300 fl. rozłoży komisya wedle swój woli z tém zastrzeżeniem, że gdyby nadesłana została sztuka ludowa, godna grania, mieć ona będzie pierwszeństwo do nagrody 200 fl. Gdyby dwie poprzednie nagrody przyznane nie zostały, kwota 300 fl. pod pozycją 3 wyrażona, musi być rozdana. 4) Termin nadsyłania utworów 1 stycznia 1875 r. 5) Sposób postępowania komisji będzie przy ocenianiu ten sam, co na poprzednich konkursach krakowskich. 6) Komisya wynagradzać będzie tylko utwory, mające warunki sceniczne. 7) Tylko takie utwory przyjęte będą do konkursu, które nie znajdowały się na poprzednich konkursach, które nigdy nie były grane lub drukowane. 8) Utwory nadsyłać należy pod adresem: *Stanisław Koźmian dyrektor teatru w Krakowie*. Nazwisko autora nie może się znajdować na okładce, lecz w zapieczętowanej kopercie. 9) Utwory wynagrodzone stają się własnością teatru krakowskiego; inne teatry, chcąc je wystawić, winny je od autorów nabywać. Termin rozpoczęcia czynności komisji, oznaczony został na 1 stycznia 1875 r. Do tego czasu, a najpóźniej do 15 stycznia, nadesłane być mają sztuki współbiegające się o nagrody na ręce dyrektora teatru p. Koźmiana. Każda sztuka polecona być musi przez dwóch członków, aby mogła być do wspólnego czytania przypuszczona. W tym celu komisya podzieliła się na 4 sekcye. Do pierwszej należą pp. Bartels, Kłobukowski, hr. Tarnowski; do drugiej pp. Estreicher, hr. Potocki, Szukiewicz; do trzeciej pp. Koźmian, Pawlikowski i Siemieński; do czwartej pp. Lisicki, Ładnowski, Sokołowski. Komisya ukończy swoje posiedzenia i czynności d. 15 lutego 1875 r. i większością głosów orzeknie o losie współbiegających się sztuk.

— Odbyte dnia 11-go maja pierwsze ogólne zgromadzenie Towarzystwa Tatrzańskiego, pozwala wróżyć, że Towarzystwo to pomyślnie rozwijać się będzie i wiele zrobić będzie mogło w kierunku swego zadania, którym jest wspieranie badań naukowych nad przyrodą Tatrów, rozpowszechnianie tych badań oraz ułatwianie publiczności podróży w Tatry. Towarzystwo Tatrzańskie, którego prezesem jest hr. Rey, wiceprezesem pan Uznański, a sekretarzem dr. Maksymilian Nowicki, professor Uniwersytetu Jagiellońskiego, liczy obecnie 26 członków założycieli, reprezentujących kapitał 2,600 zhr. i 172 członków zwykłych, opłacających rocznie po 9 zhr., czyli razem 1,548 zhr. Ogól-

ne zgromadzenie uchwaliło zmieniony statut, wydział zaś zaraz naza-jutrz ułożył budżet wydatków na pierwsze potrzeby, uchwalił wydać mapę całych Tatrów, zarządzić straż tatrzańską dla ochrony kozic i świstaków, zarządził niektóre pomniejszych naprawy i budowy potrzebne dla wygody zwiedzających Tatry, oraz ułożył program wycieczek, jakie w porze do zwiedzania Tatrów najstosowniejszej urządzić zamierza.

— Stanisław Grudziński ogłosił drukiem odczyt w Krakowie mianym d. 28 listopada 1873 r. p. n. „*Adam Mickiewicz, w obec dzisiejszego społeczeństwa*”.

— P. Tadeusz Żuliński wydał rozprawę p. n. *Nasi uczeni*. Jest to gruntowna krytyka dzisiejszego jednostronnego kierunku, fałszywie opartego na pozytywizmie.

— Królem kurkowym we Lwowie na rok 1874/5 został p. Eutele Paweł, rzeźbiarz, a pierwszym marszałkiem p. Schumann August. Strzelanie do tarczy celem zostania królem kurkowym odbywało się w strzelnicy miejskiej podczas Zielonych Świątek, następnie we środę i przez całą sobotę tegoż tygodnia, a zamknięte zostało w niedzielę. Każdy kandydat na „króla“ miał do dyspozycji 40 strzałów; musiał on zapowiedzieć, którym strzałem rozpoczyna strzelanie „na króla;“ kto w 40 zapowiedzianych strzałach zrobił najcelniejszy strzał, ten został królem. Otóż strzał najcelniejszy zrobił p. Eutele, i jemu też dostało się w tym roku berło królewskie, ofiarowane lwowskiemu towarzystwu strzeleckiemu przez króla Zygmunta Augusta. Drugi najlepszy zapowiedziany strzał zrobił p. Schumann, i jemu też przypadła godność pierwszego marszałka.

— W dniu 2-gim czerwca r. b. odbyło się w Poznaniu posiedzenie wydziału nauk historycznych Towarzystwa przyjaciół nauk, na którym znany badacz D-r Szulc odczytał rozprawę p. n. „Jeden z ważniejszych głosów o autentyczności kamieni mikoszewskich“. Nad tymi zabytkami wielu archeologów poświęciło długie studia: Aleksander Przeddziecki napisał i drukował obszerną rozprawę za ich autentycznością, przeciw temu wystąpił Karol Estreicher, uważając za podrobione. Spór trwa ciągle; *Akademia Umiejętności* w Krakowie zachowuje oba kamienie w swém muzeum, i nie uznała wniosku niektórych, ażeby je usunąć ze swego zbioru. Teraz poważny głos D-r Szulca przemawia za ich autentycznością. Rzecz się więc, mamy nadzieję, dokładniej zaczyna wyświecać.

— Budowa teatru polskiego w Poznaniu energicznie jest prowadzona, co daje rękojmią że w zimowej porze r. b. rozpoczną się już w nim widowiska.

— Kółko inżynierów istniejące w łonie „Towarzystwa kształcącej się młodzieży polskiej w Monachium,“ zamieniło się w końcu marca r. b. na „*Towarzystwo politechników polskich,*“ egzystujące samoist-

nie. Celem politechników jest wzajemna pomoc naukowa, a prócz tego usiłowanie poznania bogactw mineralnych krajowych i umiejętnego zużytkowania tychże na korzyść krajową. W tym celu członkowie wspomnianego Towarzystwa, chemicy, za pośrednictwem dzienników poznańskich i galicyjskich wzywają właścicieli rudy, żelaznych kamieni, fabryk żelaznych i t. d. o nadsyłanie im okazów do analizowania, a każdy z nadsyłających otrzyma szczegółowe ocenienie wartości nadesłanego produktu.

Adresować należy: „An den polnische polytechnischen Verein in München.“

— W Rzymie wychodzi z pod prassy ważne dzieło deputowanego Dominika Bertego, byłego ministra oświecenia i profesora uniwersytetu rzymskiego: „O Koperniku“ a mianowicie o jego pobycie we Włoszech, wyczerpujące ten przedmiot. Berti opierając się na prywatném świadectwie O. Theinera prefekta watykańskiego archiwum, spodziewa się, że w archiwach jednej z papieżkich rodzin znajdują się współczesne, a bodaj własnoręczne dokumenta dotyczące naszego astronoma. Podaje on przytém ciekawy prognostyk Dominika Novarry nauczyciela Kopernika z 1504 roku o naszym kraju, tudzież zajmujące bardzo prorocstwo niejakiego Ameryka Polaka (Americus Polonus) z 1478 r. o Marcynie Lutrze, którego jak najdokładniej przepowiedział. Proroctwo to, którego oryginał pomienioną datę noszący znajduje się w archiwum księcia Baltazara Ludovi-Buoucampagni, zostało nie dawno dopiero znalezione, a dziejopisarz Kopernika umieścił je zaraz w przypiskach do swego dzieła, poświęconego jak wiadomo Uniwersytetowi Jagiellońskiemu.

— Stowarzyszenie polskie *pomocy naukowej w Paryżu* pod prezydencją Jana hr. Działyńskiego, ogłosiło sprawozdanie za r. 1873. Dochód roczny wynosił 10,317 fr. 20 c., z tego stypendystom wypłacano 4,755 fr., uczącój się młodzieży 3,070; na tezy i wpisy 325, do kapitału żelaznego 678 fr. 45 c. Kapitał żelazny Towarzystwa wynosi obecnie 18,628 fr. 65 c.

— W Londynie wyszedł zbiór opowieści ludowych słowiańskich w tłumaczeniu angielskiem p. t. *Slavonic Fairy Tales. Collected and translated by John T. Naake of the British Museum.* 8°. London, 1874. (Klechy słowiańskie wybrane i przetłumaczone przez Jana Bogumiła Naake, urzędnika Muzeum Brytańskiego). Zbiór ten składa się z 40 opowieści: polskich 11 (z K. Wł. Wójcickiego); czeskich 8 (z teki Erbeny); rosyjskich 8 (z B. Bronicyna i Czudińskiego), oraz 13 serbskich (z W. S. Karadzica). Przyczyną, dla której tłumacz nie zamieścił więcej klechd z Wójcickiego jest to, że wszystkie inne już były przetłumaczone dawniej i drukowane w czasopismach.

— Baron Aleksander *Hübner*, dyplomata austriacki, przedsięwziął w roku 1871 podróż prawie na około świata, wyjechawszy bo-

wiem z Irlandyi, przybył do Ameryki, następnie wielką koleją atlantycką dostał się do Kalifornii, popłynął przez Ocean Spokojny do Japonii i Chin, ztąd przez Egipt wrócił do Europy. Wrażenia z téj podróży spisał z wielkim talentem i wydał w r. 1873 w 2-ch tomach po francuzku p. t. *Promenade autour du monde*. Hachette, Paris, a teraz po niemiecku p. t. *Ein Spaziergang um die Welt*. Leipzig 1874. Weigel. Obraz Sawaanów, wizyta u Brigham Young, proroka Mormonów, szkice Chin, a szczególnie obszerny opis Japonii i uwagi co do stanowiska Francuzów, Anglików i Rossyan w Chinach, budzą żywe zajęcie.

— *Reinisch*, Leo w dziele: *Der einheitliche Ursprung der Sprachen der alten Welt* (Wien, 1873, Braumüller) dowodzi, że wszystkie rasy ludzkie pochodzą od jednej rodziny, zamieszkałej niegdyś w Afryce środkowej pod równikiem, w okolicy wielkich jezior. Dowodzenie jego polega na porównywaniu języków, „erytrejskich i indogermańskich“ z afrykańskimi, szczególnie zaś z językiem ludu Teda, które podobno od 3000 lat zamieszkuje wschodnią krawędź płaskowzgórza Libijskiego od pustyni Kufara do jeziora Tsad. Porównania jednak są tak hazardowne, że nie przekonywają wcale czytelnika; np. nazwa gołębia tabar, ayer, hakm, sipor, of, columba, pakshin i t. p. mają stanowić jedno brzmienie, świadczące o pokrewieństwie języków. Przy takich wywodach mimowolnie przypomina się staroświecki żart z filologów, że samogłoski u nich znaczą nie wiele, a spółgłoski jeszcze mniej.

— Ekonomia polityczna Scheffle'go wyszła w 3-ém całkowicie przerobioném wydaniu p. t. *Das gesellschaftliche System der menschlichen Wirtschaft*, ein Lehr und Handbuch der ganzen politischen Oekonomie etc. Tübingen, 1873, Laupp. 2 tomy. Oryginalną stroną tego dzieła stanowi kojarzenie zasad ekonomicznych z historią i filozofią, oraz wyjaśnienie korzyści, jakie pociągać za sobą musi pełnienie obowiązków moralnych, a nawet poświęcenie w zakresie gospodarstwa społecznego. Spożywanie podług Schöffle'go jest to przeobrażanie materii w siłę osobistą, celem gospodarstwa narodowego jest „najwyższy, czysty pożytek dla moralnego rozwoju i zaspokojenia potrzeb największej istoty organicznej na ziemi, mianowicie społeczeństwa ludzkiego.“ Pomiedzy wieloma cennymi ustępami, na szczególną uwagę zasługuje nowa teoria wartości. W niektórych wywodach swoich autor rozwija wnioski podane przed kilkoma laty w ważnej rozprawie p. t. *Capitalismus und Socialismus*.

OD REDAKCYI.

— *X. J. Piotrowskiemu w Polocznicy.* Księgarnia Gebethnera i Wolffa nie odebrała prenumeraty od pana i nie wysyłała zeszytów. Zapewne pan u innego księgarza prenumerował i u niego należy się téż upominać o zeszyty brakujące.

P. W. Brokl w Kijowie. Zeszyt na maj wysłany został d. 6 maja, zapewne dotąd musiał go pan odebrać. Jeżeli zaś zeszyt ten nie doszedł rąk jego, trzeba się o to upominać na stacyi pocztowej, i gdyby zatracony został, donieść redakcyi, która upomni się gdzie należy o stratę i panu zeszyt prześle.

Redakcyja Biblioteki Warszawskiej.

Redaktor odpowiedzialny **K. Wł. Wójciki.**

Wydawca *Józef Berger.*

PRENUMERATA
BIBLIOTEKI WARSZAWSKIĘJ

NA


Rok 1874.

Biblioteka Warszawska pismo peryodyczne poświęcone literaturze, naukom i umiejętności, wychodzi zeszytami miesięcznymi bez przerwy od dnia 1 stycznia 1841, to jest przez lat 33.

Prenumerata roczna w Warszawie rs. 9, na prowincyi z opłatą pocztową rs. 10. Półroczna w Warszawie rs. 4 kop. 50, na prowincyi rs. 5.

Główna ekspedycja Biblioteki Warszawskiej znajduje się w księgarni Gebethnera i Wolffa w Warszawie (Krakowskie Przedmieście Nr. 415). Każdy z prenumeratorów z prowincyi *nie gdzieindziej, lecz wyłącznie do tej księgarni* przesyłać zechce prenumeratę pocztową a *sarazem wskazać dokładnie nazwisko prenumeratora, miejsce zamieszkania i najbliższą stację pocztową*, z której zeszyty mają być odbierane.

Redakcyja zmuszona jest ostrzedz prenumeratorów na prowincyi, iż zwłoka i nieporządek w odbieraniu zeszytów z poczty, pochodzi najczęściej stąd, iż prenumeratorowie przesyłają prenumeratę nie wprost od siebie do księgarni Gebethnera i Wolffa, lecz do osób które nie wykonywają zlecenia, lub zajmują się ekspedycyją niedbale, a w takim razie Redakcyja pozbawiona jest nawet sposobności upominać się gdzie należy o stratę i przywrócenie porządku. Redakcyja oświadcza, iż każdemu z prenumeratorów pocztowych, który prenumeratę wprost do księgarni Gebethnera i Wolffa przesłał, na przypadek zatraty zeszytu na poczcie, prześle natychmiast inny egzemplarz pod warunkiem, ażeby prenumerator o zatracie zeszytu najdalej w ciągu miesiąca zawiadomił Redakcyją Biblioteki Warszawskiej pod adresem: Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej ulica Nowy Świat Nr 68.



Ekspedycya Główna Biblioteki Warszawskiej przypomina Prenumeratorom na prowincyi dotąd półroczną prenumeratę składającym, ażeby dla uniknienia przerwy w nadsyłaniu dalszych zeszytów drugiego półroczu, wcześniej przesłali wprost od siebie do księgarni Gebethnera i Wolfa w Warszawie przypadającą półroczną prenumeratę w ilości rs. 5.

Z początkiem trzeciego kwartału roku bieżącego, redakcya Biblioteki Warszawskiej przeniesioną została pod N-er. 68, ulica Nowy Świat, dom pana Bojogo.